



HAPPENINGI MŁODEJ POLKI I MŁODEJ SZWEDKI

Klimatyczny szwindel – Warzecha
wyśmiewa strajk ekologiczny

TYGODNIK LISICKIEGO

**DO
RZECZY**

CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

NR 27/329 1-7 LIPCA 2019

Kto oprócz Arabskiego
powinien odpowiedzieć
za Smoleńsk

SUKNIA
POLITYCZNA:
JAK SIĘ NOSZĄ
PIERWSZE
DAMY



„Do Rzeczy” na lato:
najlepsze winnice
świata

LEWOSKRĘT ADAMA BODNARA

Rzecznik praw obywatelskich
„ślepie na prawe oko”



ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829



9 772299 850000

Nakład: 77 tys. egzemplarzy



Pracownicze
Plany
Kapitałowe



W sumie się opłaca

Oszczędzaj na bezpieczną przyszłość ze swoim Pracodawcą i Państwem

Od 1 lipca 2019 r. Pracownicze Plany Kapitałowe obejmują firmy zatrudniające co najmniej 250 osób. PPK to proste i wygodne oszczędzanie na przyszłość, a zgromadzone środki są w pełni prywatne i dziedziczone.

Sprawdź, jak z PPK pomnażać prywatne oszczędności emerytalne.

www.mojePPK.pl
infolinia: 800 775 775

Pracownicze Plany Kapitałowe to:



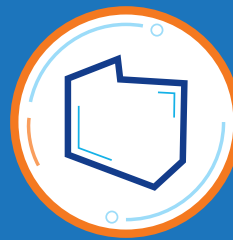
Pracownik

Ty **2%** + dobrowolna
składka do **2%**



Pracodawca

Składka **1,5%** + dobrowolnie
dodatkowo do **2,5%**



Państwo

250 zł na dobry początek
+ **240 zł** rocznie



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Wolność nad Wisłą

Czasem może się wydawać, że szalejąca od lat globalna wojna kulturowa jest przegrana. Również w Polsce pojawiają się niepokojące oznaki: wyraźnie widać, jak rok po roku radykalna lewica, feministki i środowiska LGBT, korzystając ze wsparcia możliwych tego świata, są coraz bardziej zuchwałe, coraz bardziej butne i pewne siebie. Pisałem już o skandalu, którym było udzielenie poparcia marszowi równości w Warszawie przez liczne globalne firmy; ich szefostwo coraz mocniej wykorzystuje zyski ze sprzedaży neutralnych produktów – usług finansowych, proszków do prania, lodów, odzieży, mebli – do promocji rewolucji obyczajowej.

Tak samo diabli mnie biorą, kiedy czytam o zaangażowaniu wielu ambasad, ponoć było ich w tym roku aż 53, w akcję wspierania gejów, homoseksualistów, lesbijek itd. Niektórzy ambasadory, np. pani Georgette Mosbacher, posunęli się w swym zapale tak daleko, że obwiesili na tęczowo swoje siedziby dyplomatyczne. Naprawdę, jeśli to nie jest przejaw kulturowego imperializmu, braku wyczucia, wrażliwości, krótko mówiąc: naruszenia dobrych reguł gościnności, to co to jest? Jakim prawem ambasador obcego państwa, zamiast szanować

polskie obyczaje, polską tożsamość i wrażliwość, pakuje się z butami w nie swoje sprawy, chce mnie pouczać i upominać? Niech poszczególni ambasadory, na czele z naszym największym sojusznikiem, zajmą się wolnością i prawami człowieka u siebie. Szkoda zresztą, że polskim dyplomatom brakowało w tej sprawie większej stanowczości i nie potrafili nazwać rzeczy po imieniu. Nie rozumiem, dlaczego ani naszemu ministrowi spraw zagranicznych, ani jego zastępcy nie mogli przejść przez usta proste słowa, wskazujące, że zaangażowanie wysłanniczkich prezydentów Donalda Trumpa we wspieranie ruchu LGBT w Polsce jest nie na miejscu i naraża na szwank relacje obu państw.

A co będzie, jeśli zamiast obwieścić budynki tęczowymi szmatami pani Mosbacher lub któryś z jej następców zacznie naciskać Polaków na zmiany w systemie prawodawstwa? Od 2015 r. w USA obowiązuje prawo, zgodnie z którym dwóch panów lub dwie panie mogą zostać mężem i żoną – prawo barbarzyńskie, głupie i żałosne, prawo, które przez większość Polaków, i słusznie, jest uważane za sprzeczne z naturą. Zaangażowanie na rzecz wspierania homoseksualistów to najbardziej fatalna część dziedzic-

stwa Baracka Obamy i szkoda, że obecnemu prezydentowi USA zabrakło odwagi, żeby z nim zerwać. Jeszcze bardziej żałuję, że błędy te i szkodliwe rozwiązania Ameryka próbuje rozpowszechnić w innych państwach. Szkoda, wielka szkoda.

W obliczu powszechnego szaleństwa tym bardziej warto docenić te zachowania, które pokazują, że nie wszyscy upadli na głowę. Taką odwagą i zdrowym rozsądkiem wykazali się sędziowie Trybunału Konstytucyjnego, którzy orzekli, że polski drukarz z Łodzi miał prawo odmówić wykonania usług na rzecz organizacji LGBT, skoro nie pozwalało mu na to sumienie. Bravo! Dobrze też, że publicznie zabrał głos w tej sprawie minister sprawiedliwości, Zbigniew Ziobro, który uznał, że orzeczenie TK to „święto wolności”. Drukarnia Adam J. odmówił wykonania usługi nie ze względu na „orientację seksualną” kontrahenta, lecz ze względu na treść materiałów, która stała w sprzeczności z wyznawanymi przez niego wartościami. – Wolność należy się wszystkim. Nikt nie powinien pod hasłami tolerancji używać aparatu państwa, by zmuszać innych do gwałcenia ich własnej wolności – stwierdził słusznie Zbigniew Ziobro.

Owo orzeczenie i te słowa to najlepsza odpowiedź na niemądrą i w istocie łamiącą reguły relacji międzynarodowych akcję ambasad. Przesłanie płynące z Polski jest jasne: wbrew coraz większej presji świata Polska będzie bronić wolności słowa i wolności sumienia. Może nawet warto zastanowić się nad kontrakcją: może w dniu 26 czerwca, kiedy to zapadł wyrok TK, co roku na polskich ambasadach i na ambasadach innych państw uznających prawo naturalne powinny pojawiać się plakaty lub hasła przypominające o wolności sumienia i o potrzebie jej obrony przed presją globalnej rewolucji LGBT. Dlaczego nie? ©©

RYSUNEK TYGODNIA





TEMAT TYGODNIA

18 WOJCIECH WYBRANOWSKI
RZECZNIK PRZYWILEJÓW LEWICY
 Światopoglądowe interwencje
 Adama Bodnara

KRAJ

24 KAMILA BARANOWSKA
SENATEM W PIS
 Plan awaryjny Platformy

28 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
KOGO JESZCZE OBCHODZI SMOLEŃSK?

30 PIOTR SEMKA
ALARM ZAMIAST RABANU

34 ŁUKASZ WARZECHA
KLIMATYCZNY SZWINDEL

38 ŁUKASZ ZBORALSKI
BABCIA SZURA I INNI

KULTURA

42 PIOTR GOCIEK
CZŁOWIEK Z VEGI
 Czy bać się filmu „Polityka”

45 ROZMOWA Z PAWŁEM BRODOWSKIM
NAJWAŻNIEJSZE PRZED NAMI

48 WIESŁAW CHEŁMIŃIAK
W 28 ARII DOKOŁA RZECZYPOSPOLITEJ

NIE PRZEGAP

50 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

56 PIOTR ZYCHOWICZ
EGZOTYCZNY SOJUSZNIK
 O relacjach polsko-amerykańskich

60 MARCIN MAKOWSKI
CZY NAZIŚCI PRZYLECIELI Z KSIĘŻYCĄ?

HISTORIA

62 ADAM HLEBOWICZ
APOKALIPSA 1938
 Jak w ZSRS prześladowano katolików

ŚWIAT

66 JACEK PRZYBYLSKI
NA KRAWĘDZI WOJNY?
 Trump kontra ajatollahowie

70 ROZMOWA Z IVÁNEM VÉLEZEM CIPRIANO
EUROPEIZACJA
TO DLA NAS ZAGROŻENIE

72 OLIVIER BAULT
WAJCHA BLAIRA

76 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
„POSTĘPOWA” ZAMIANA RÓL

EKONOMIA

78 STEFAN SĘKOWSKI
WINDOWANIE WIG-U
 Pracownicze pieniądze na giełdzie

STYL

82 TOMASZ KAŻMIEROWSKI
W STRONĘ BURGUNDII
 Wakacyjny cykl „Do Rzeczy” o winie

84 JOANNA BOJAŃCZYK
SUKNIA POLITYCZNA

O ZDROWIU

86
CYFROWA REWOLUCJA W POLSKIEJ
MEDYCYNIE

90 KATARZYNA PINKOSZ
JAK POKONAĆ CUKRZYCĘ

Drodzy Czytelnicy,

Dziś dopowiedzenie pewnej poruszanej ostatnio w „Do Rzeczy” historii. Zachęcamy do przesyłania listów i przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl

„Ekspresja włókna i kamienia”, Joanna Bojańczyk, „DRz” 24/2019

Jestem stałym czytelnikiem tygodnika „Do Rzeczy”. [...] Chciałbym przekazać parę słów w sprawie tekstu o Magdalenie Abakanowicz. Mam uwagę do pewnego stwierdzenia. Jednak może coś na wstępie o sobie. Jestem emerytowanym inżynierem z dużej warszawskiej firmy budowlanej. Dziadek mój (od strony matki) to oficer (ppłk) biorący udział w kampanii wrześniowej (brat przed-

To z bigłego kowia?



wojennego ministra oświaty i wyznań dr. Sławomira Czerwińskiego) poszukiwany przez gestapo. Dziadkowie przed wojną znali się z państwem Konstantym i Heleną Abakanowiczami, a moja matka miała kontakty z siostrą Magdy – Teresą. Ukrywający się skutecznie dziadek trafił do folwarku (zakupionego w 1932r. przez panią Helenę) państwa Abakanowiczów w Nowej Krępie koło Sobolewa. Pracował tam jako nadzorca tartaku. Miejsce okazało się bardzo bezpieczne, bo ukrywał się tam kilka lat aż do momentu, gdy dowództwo AK wyznaczyło go w 1944 r. na ostatniego komendanta obwodu lwowskiego.

Sporadycznie wobec stałej konspiracji do Krępy jeździły moja babcia i matka, aby się z nim spotkać. I teraz moja uwaga do fragmentu Pani tekstu: „Matka postrzelona przez niemieckiego

żołnierza straciła prawą rękę”. Moja babcia i mama opowiadały mi w latach chyba 60. o tym zdarzeniu zupełnie co innego. Przyjechały właśnie do dziadka w odwiedziny i w nocy podjechała pod dwór furmankami czerwona banda z GL lub AL. Rabowali żywność po okolicznych dworach. Zapewne wiedzieli, że państwo Abakanowiczowie pomagają żołnierzom AK. Dobijali się głośno do drzwi i pobudzili mieszkańców. Babcia z matką, zszokowane, czekały, co się wydarzy. Na wszelki wypadek zdjęły i schowały pierścionki. Straciły tylko zegarek. Pani Helena nie pozwoliła mężowi otworzyć drzwi i sama poszła ich wpuścić. Ponieważ trochę to trwało, a oni się stale dobijali, w pewnym momencie jeden z bandziorów puścił serię z pepeszy w drzwi, trafiając ją w rękę. Ramię było tak pokiereszowane, że trzeba było je amputować.

Taką ja znam wersję. Stwierdzenie o tym Niemcom było dobre za komuny, gdy była wymagana poprawność polityczna, ale o to – broń Boże – Pani nie podejrzewam.

A na koniec ciekawostka. Dziadek po powrocie w 1948 r. z obozu u Sowieców zaczął przez Czerwony Krzyż poszukiwać kontaktu z państwem Abakanowiczami. Mieszkaliśmy wtedy w Gdańsku i dowiedział się, że przebywają oni w Tczewie i prowadzą taki mały kiosk. Była wielka radość, że się cali znów spotykają. I co się po latach okazało? Pracowałem w firmie w latach 70.–80. razem z dyr. Kosmowskim, mężem pani Magdaleny. Mielśmy sobie dużo do powiedzenia. Przekazał pozdrowienia dla teściowej. Mnie było przyjemnie, bo dowiedziałem się od niej, że dziadkowie byli pierwszymi i nielicznymi, którzy odszukali ich po wojnie i podziękowali za ochronę w czasie konspiracji.

**Z poważaniem
Imię i nazwisko do wiadomości redakcji**

Od autorki

Szanowny Panie, bardzo dziękuję Panu za ten ciekawy list uzupełniający historię rodziny Magdaleny Abakanowicz.

Z każdym nowym świadkiem historii otwierają się nowe, niezbadane dotąd obszary prawdy o II wojnie światowej. Dlatego Pana świadectwo jest bardzo cenne.

**Najserdeczniej Pana pozdrawiam
Joanna Bojańczyk**

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPÓŁEM: Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan**, **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:

Cezary Gmyz, Piotr Gociel, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłowski, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemiński
Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Robert Bogdański, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Marek Budzisz, Sławomir Cenkiewicz, Wiesław Chelminiak, Dominika Cioś (Bruselo), Krzysztof Czabarski, Piotr Gursztyn, Maria Kądzelska, Katarzyna, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczyk (Rzym), Jakub Kowalski, Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Małkowski, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Filip Memches, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Stefan Sękowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torasiński, Szwach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert

PORTAL DORZECZY.PL redaguje Antoni Trzmiel (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: Karol Gac (zastępca), Blanka Aleksowska, Zuzanna Dąbrowska (także Radio Maryja), Zofia Magdziak, Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzry, Damian Cygan, Jan Fiedorczyk, Przemysław Harczuk (także „Super Express”)

Studio graficzne: Wojciech Niedziółko (szef studia), Jakub Tański, Jacek Nadarowski, Anna Sobieska-Wojtowicz, Włodzimierz Zakrzewski
Fotoodciska: Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk
Korekta: Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agnieszka Wasilewska

Rysownicy: Andrzej Krauze, Cezary Krzysztofa
Okładka: Dariusz Golik/Forum, Andrzej Grygiel/PAP, Andrzej Hulimka/REPORTER

WYDAWCA: Orle Pióro sp. z o.o.
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

PMGP
POLSKIE MEDIA SA

spółka
notowana na GPW

POLSKA WYDAWCA

Zarząd PMGP Polskie Media SA:

Piotr Piaszczyk, Robert Pstrokoński, Ewa Rykaczewska

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386

PUBLIC RELATIONS

(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż);

Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza),

prenumerata@pmpg.pl; tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829

Nakład 77 tys. egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Chadecy last minute

Moim zdaniem powinny być dwa bloki – powinien być blok lewicowy, bo to są wspólne ideały, wspólny program i nie ma co naginać sobie kręgosłupa [...], i drugi – centrowo-chadecki – taką opinię wyraził niedawno Władysław Kosiniak-Kamysz, lider PSL. W podobne tony uderza Andrzej Halicki z Platformy Obywatelskiej: „Jeśli nie uda się stworzyć szerokiej koalicji, być może powstaną dwa mniejsze bloki: socjaldemokratyczny i chadecki”.

Czyżbyśmy mieli mieć za chwilę w Polsce chrześcijańską demokrację? Kto ma robić w takim bloku za centrum, a kto za chadeków? PO jako centrum, a PSL jako wyznawcy chrześcijańskiej nauki społecznej Kościoła?

Z zaskakującą nonszalancją wyciąga się z lamusa kostium chrześcijańskiej demokracji. Na gwałt, bo jedne wybory źle poszły. Polska nigdy do tego nurtu politycznego nie miała szczęścia, choć wielu cudzoziemców dziwiło się, jak to jest możliwe w tak katolickim kraju.

Partie katolickiego centrum próbował w II RP stworzyć Wojciech Korfański, ale zamach majowy wyrzucił go do opozycji, a potem

emigracji i na koniec do więzienia. Po II wojnie światowej Chrześcijańsko-Demokratyczne Stronnictwo Pracy uległo presji komunistów. A po 1989 r. partyjki chadeckie nie zdobyły większej popularności.

Silne przez pewien czas Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe było raczej siłą postendecką, a nie chadecką.

Nawet Jarosław Kaczyński nie zdecydował się na szyld chadecji dla swojej partii z początku lat 90. – wolał bardziej ogólnikowe określenie Porozumienie Centrum. A powstały w 2001 r. PiS starannie unikał afiliacji z tradycją chadecji.

Co najbardziej znaczące – sam Kościół po upadku komunizmu niespecjalnie żwawo sekundował tworzeniu jakiegokolwiek chrześcijańskiej partii.

I teraz Władysław Kosiniak-Kamysz nagle chce zmienić ludowców w chadeków. Działacze PSL, owszem, dbali o to, by żyć dobrze z lokalnym proboszczem, ale nigdy katolickiej nauki społecznej nie ogłaszali podstawą programu partyjnego. Wśród ludowców bywali zwolennicy laickości, np. Mikołaj Kozakiewicz, marszałek sejmiku

kontraktowego. A i potem kolejni prezesi PSL – Waldemar Pawlak, Janusz Wojciechowski, Jarosław Kalinowski czy Janusz Piechociński – unikali ideologii chadeckiej. Dzisiaj tonący Kosiniak-Kamysz chwytą się chadeckiej brzytwy, aby uratować zielony sztandar od zagłady. Tyle że będzie niespecjalnie wiarygodny w nowych, chadeckich szatach.

Jeśli lider PSL chciał pokazać swój pryncypialny stosunek do wiary i Kościoła, trzeba by reagować na czas i opuścić salę UW po antykościelnej tyradzie Leszka Jażdżewskiego.

Wyborcy PSL nie przepadają za profanacjami świętych obrazów ani nie zachwycają ich programy LGBT. Pytanie, czy kupią nagłą metamorfozę ludowców z zielonego lobby wsi w partię prokościelną. Na dodatek w ewentualnym sojuszu z PO, która jeszcze nie tak dawno szczyciła się, że nie kłęka przed księdzem.

Politycy opozycji od 26 maja nie wybierają już między dobrym a lepszym planem, lecz walczą o życie. I dlatego PSL stroi się w prokościelne barwy. Pytanie, jak mu wyjdzie ta maskarada. ©©



FOT. ANDRZEJ HULIK/AG. FORUM

DUDA I MORAWIECKI NA CZELE SONDAŻU

Andrzej Duda i Mateusz Morawiecki – to politycy, którzy cieszą się największym zaufaniem Polaków. Według najnowszego sondażu IBRiS dla Onetu prezydentowi ufa 47 proc. ankietowanych. Zaufanie do premiera ma 44,6 proc. badanych. Na najniższym miejscu podium znalazła się Beata Szydło. Europoseł z PiS ufa 38,2 proc. pytanym. Czwarte miejsce w sondażu zajął Jarosław Kaczyński (zaufaniem darzy go 35,5 proc. badanych), a piąte Donald Tusk, któremu ufa 32,7 proc. badanych. (jap) ©©


RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Wyborcy pierwszego sortu

Zawetowanie przez premiera Morawieckiego ambitnych planów europejskiej „polityki klimatycznej” – zerowa emisja CO₂ do roku 2050 – musiało oczywiście rozwścieczyć dwie grupy fanatyków. Tych, którzy fanatycznie nienawidzą PiS, i tych, którzy fanatycznie wyznają religię „klimatyzmu”, odmawiając przyjęcia do wiadomości, że nawet gdyby jej

o tak marne promile, że na klimat nie wpłyną w żaden sposób. W zamian za to napędzą one bilionowe zyski dzierżącym patenty „ekologicznych” technologii koncernom kosztem zubożenia setek milionów wydutkanych ludzi i pozwolą mocarstwom trwale uzależnić od siebie mniejsze, obecnie wolne państwa.

Jeśli więc za owo postawione w polskim interesie weto krytykuje premiera z PiS „Gazeta Wyborcza”, to mamy niejako dwa w jednym i możemy się spodziewać wyjątkowej dawki zacietrzewienia. A gdy ktoś się zacietrzewi, łatwo zaprzeczyć samemu sobie.

Pisze oto we wspomnianej gazecie pan Bielecki, pośród innych komentarzy, że trzeba nam podporządkować się europejskim planom, bo taka jest wola tamtejszych wyborców – zatroskanych o „klimat i czyste powietrze”. Pomińmy notorycznie powtarzane kłamstwo, usiłujące utożsamić

wydumaną walkę z CO₂ z rozwiązywaniem realnego problemu, którym jest smog: otóż cała histeria dotyczy CO₂, naturalnego składnika atmosfery, i na czystość powietrza nie ma żadnego wpływu. Przede wszystkim jednak kuriozalnie brzmi ten argument w gazecie obcesyjnie podważającej prawomocność władzy, wybranej i popieranej przez większość Polaków. Jeśli większość Polaków głosuje na PiS, to znaczy, że została przekupiona, jest ciemna, patologiczna i w ogóle uległa „populizmowi”. Natomiast jeśli większość, na przykład Niemców, wybrała „zielonych” – to po prostu sprawa zamknięta, argument ostateczny.

Jasno z tego wynika, że w demokracji takiej, jaką ją widzą „klimatysty” i anty-PiS, jest pierwszy sort wyborców – tych z Europy, i tych tu, którzy głosują na „siły europejskie” – oraz jest drugi. Jaśniej się już nie da. ©©

Jeśli większość Polaków głosuje na PiS, to znaczy, że została przekupiona, jest ciemna i w ogóle uległa „populizmowi”

podstawy były prawdą (a nie są, ale o szczegółach kiedy indziej i gdzie indziej), to wszystkie podejmowane w ramach „klimatycznej” histerii „ambitne” działania mogą zmniejszyć zawartość oskarżanego o wszelkie zło CO₂ w atmosferze


WOJCIECH
WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Na układy nie ma rady

Politycy partii rządzącej skonsumowali już frukta wynikające z podpisania przez prezydentów Andrzeja Dudę i Donalda Trumpa umowy zwiększającej militarne bezpieczeństwo Polski. Ale gdzieś w cieniu tego wszystkiego pozostali weterani misji na Bliskim Wschodzie, a to ich umiejętnościom, doświadczeniu, odwadze – nie politykom – zawdzięczamy, że Wielki Brat uznał, iż polska armia może być dla niego wiarygodnym partnerem.

Weterani dziś pozostają w cieniu. A ten pozwala też niejednemu kręcić na nich niezłe lody. Ot weźmy na przykład konkurs ofert MON na

działalność na rzecz weteranów poszkodowanych w akcjach poza granicami kraju. Niemal pełną pulę – ok. 340 tys. zł – zgarnia z MON były chorąży K, dziś stojący na czele stowarzyszenia, z którego – uważając, że pomaga ono bardziej królikowi i znajomym królika – nie tak dawno wystąpiło wielu rannych na misjach w Afganistanie.

Wśród opiniujących, komu kasę dać, jest, jak mówią mi żołnierze, były ppłk S, szef Centrum Weterana MON, a prywatnie bardzo bliski kumpel pana K. Obaj panowie trzymają się razem mocno i słyną z zamięłowania do wspólnego biesiadowania. Nie tylko z tego –

ppłk S. zasłynął też robieniem PR Ewie Kopacz, występując obok niej w wojskowym mundurze, a niedawno też z tego, że zatrudnił i forował w centrum panią, która co prawda posłużyła się sfałszowanymi dokumentami, ale za to miała niezłe warunki i fotki na stronie z ofertami towarzyskimi.

Kropką nad „i” jest to, że weterani, którzy od lat wspierali swoich kolegów rannych na misjach intensywnym wysiłkiem sportowym, np. kursami nurkowymi, nie dostali na swoją działalność od MON ani grosza, choć prosili tylko o 40 tys. zł. Jak to w wojsku: na układy... ©©



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Niemiecko- -holenderskie jajca blues

Statek niemieckiej organizacji pozarządowej „Sea Watch” pod holenderską banderą 10 czerwca w libijskiej strefie ratunkowej wziął na pokład z pontonu 53 migrantów. Zgodnie z obowiązującymi zasadami zwrócił się do władz libijskich o wskazanie bezpiecznego portu. Libijczycy wskazali Trypolis, więc statek popłynął w odwrotnym kierunku – na włoską wyspę Lampedusa, co tłumaczono tym, że w Libii biją Murzynów. Oh yeah!

Włosi zakazali statkowi wpływania na swoje wody, ale go zaaprowidowali i przewieźli na wyspę 11 migrantów potrzebujących pomocy, w tym dwie kobiety w ciąży. „Sea Watch” zaskarżył zakaz władz włoskich do sądu administracyjnego, ale nic nie wskórał. I przez kilkanaście dni statek bujał się na wodzie 15 mil od Lampedusy. Być może buja się nadal. W tym

czasie Rada Europy i rzecznik Wysokiego Komisarza ds. Uchodźców ONZ wydali ostre orzeczenia, w których odsądziła władze włoskie od czci i wiary. Jeden z włoskich postępowych księży obwinił o wszystko diabolicznego wicepremiera Matteo Salvini, sugerując, że najlepiej byłoby faceta ubić. Oh yeah!

Salvini wyjaśnił, że statkiem niemieckiej organizacji pod banderą holenderską i jego pasażerami powinien się zająć rząd Niemiec albo Holandii. Dodał, że gdyby „Sea Watch” nie marudził koło Lampedusy, już dawno dopłynąłby do Amsterdamu albo Hamburga. Sęk w tym, że tam go nie chcą. Salvini oświadczył nawet, że gdy Holandia i/lub Niemcy zgodzą się przyjąć 42 migrantów ze statku, ten będzie mógł natychmiast wpłynąć do portu na Lampedusie. Jednak rządy Niemiec i Holandii także na tę propozycję się wypięły. Na dodatek oskarżyły Italię o złamanie prawa międzynarodowego, brak empatii i uznały się za niekompetentne w całej sprawie, tłumacząc, że decyzje powinna podjąć Bruksela. Bruksela milczy. Za to na wniosek „Sea Watch” sprawą zainteresował się Trybunał Praw Człowieka w Strasburgu. Oh yeah!

Oczywiście do Niemiec i Holandii nikt nic nie ma. Wszystkiemu winien faszysta Salvini. Niezłe jajca, co? ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Rzecznicy **rzecznika**

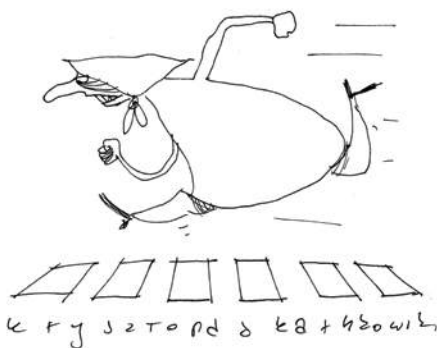
Niemal przez tydzień Twitter żył dyskusją na temat zarzutów rzecznika praw obywatelskich zbyt brutalnego potraktowania podejrzanego o morderstwo 10-latki. W związku z tym pojawiło się kilka pomysłów, jak działać łagodniej. Na początek Rafał A. Ziemkiewicz. „Halo, morderca? Dzwonię z policji uprzedzić, żeby się pan odpowiednio ubrał, bo jadą do pana antyterrorysty. Czy byłby pan też tak uprzejmy, żeby zawczasu określić, jak daleko zamierza posunąć się podczas zatrzymania, bo RPO zakazał nam używania nieadekwatnych środków przymusu?”. A teraz drugi kolega z redakcji, Wojciech Wybranowski: „Awizo powinien dostać. Z informacją, że jest wezwany w charakterze podejrzanego o dokonanie zabójstwa”.

„Rzecznik Praw Obywatelskich” wskazuje, że nie należało mordercy 10-latki zakładać kajdanek. Panie rzeczniku, jemu kajdanki, a Panu kaftan” – napisał natomiast Krzysztof Stanowski. „Proszę czytać ze zrozumieniem. W oświadczeniu mowa o kajdankach zespolonych. Czy przeprosi mnie Pan za ten kaftan?” – replikował Adam Bodnar. „Nie, kajdanki zespolone to też kajdanki. Zgodnie z przepisami w tej sytuacji. Uważam, że ma Pan codziennie tysiąc spraw, w których może Pan zabrać głos, a postanowił Pan zrujnować powagę reprezentowanego organu” – spuwentował dziennikarz.

Oczywiście pojawiły się też głosy wsparcia. „Tak. Warto bronić praw KAŻDEGO zatrzymanego do godnego traktowania. Bo jesteśmy ludźmi nawet wobec istot wyzbytych norm moralnych człowieczeństwa. A po drugie – to uwaga praktyczna – któregoś dnia, każdy z nas, nawet będąc niewinny, może zostać zatrzymany” – przekonywał Konrad Piasecki. Pełna zgoda. Weźmy chociaż Piotra Najstuba, którego uniewinniono za potrącenie staruszki na pasach, bez prawa jazdy i OC. Bo staruszka mogła „wtargnąć na jezdnię”. A my uznaliśmy go za winnego. Wstyd.

Gdyby ktoś nadal nie rozumiał, o co toczył się ten spór, Przemysław Szubartowicz wyjaśnia jego podstawy aksjologiczne. „Wiedzie, dlaczego Bodnar zabiera głos w sprawie stylu zatrzymania mordercy? Bo na tym polega cywilizacja. Z tego samego powodu na sali sądowej witano się z Breivikiem uściskiem dłoni. Tymczasem widzę, że w Polsce zwycięża styl barbarzyńskiego troglodyty o ciasnym i tępych umyśle”. ©©

Stop staruszkom drogąym!



NAGA RUSIN

Stało się! W sprzedaży ukazało się specjalne wydanie magazynu „Viva!” z rozebraną Kingą Rusin na okładce. Rusin tłumaczy, że zrobiła to ze szlachetnych pobudek, w imię walki o środowisko. – Nagość zawsze wywołuje szum, a ja chciałam zwrócić uwagę na ekologiczne przesłanie tego wydania „Vivy!” – Bo jest ważne – tłumaczy Rusin na łamach „Vivy!”. – W obronie środowiska wejść na barykady. Jeżeli będzie potrzeba, żeby się do czegoś przykuć, to to zrobię! Jeżeli mój udział w czymś, co uważam za dobre dla nas wszystkich, ostatecznie wymusi odgórne decyzje, jestem gotowa zrobić naprawdę wiele – dodaje. I tego ostatniego zaczynamy się naprawdę bać. Bo skoro rozebrana okładka już była, to co będzie następne?

KRET DO TRUMPA

Wysokie temperatury dały się we znaki wszystkim, nie tylko Kindze Rusin. Celebryci nagle masowo zaczęli sobie uświadamiać, jak wielkim problemem jest globalne ocieplenie. I poczuli potrzebę uświadamiania tego wszystkim wokół i dzielenia się swoimi przemyśleniami na ten temat. Po Kindze do akcji ruszył Jarosław Kret. – Gdy byłem dzieckiem, temperatura 31 stopni w Polsce to był szok. W ostatnich latach mamy często 35 i wcale nas to nie dziwi. Nikt nie chce zrozumieć, że jesteśmy świadkami strasznych zmian w klimacie – załamuje ręce w „Fakcie” poszukujący pracy pogodynek. – W lutym w Ameryce miały miejsce gigantyczne spadki temperatury. Donald Trump dziwił się wtedy: jak to jest, że niby klimat nam się ociepla, a tu nagle mamy minus 30. Mógł do mnie zadzwonić, wszystko bym mu wyjaśnił – dodaje Kret. I narzeka, że ludzkość nie chce słuchać naukowców. – Zastanawiam się, ile czasu nam zostało do totalnej katastrofy – mówi. Kwestią czasu jest, kiedy Jarosław Kret w celu ratowania Ziemi i swojej podupadającej kariery pójdzie w ślady Kingi Rusin. I to dopiero będzie katastrofa! Totalna.



FOT. PAWEŁ GROMADA

ZALAĆ POZYTYWNE

Celebrytka Agnieszka Hyży wypowiada wojnę hejtowi. Mówi, że problemem nie są wyłącznie skrajnie patologiczne przypadki, które można znaleźć w sieci, ale także na przykład popularni politycy, którzy szerzą nienawiść. Nie mówi, kto konkretnie, ale zdradza swój sposób na walkę z tym zjawiskiem. – Ryba psuje się od głowy. Jak czytam czasami tweety niektórych polityków, to włos mi się jeży na głowie i absolutnie tak nie może być – uważa Agnieszka. – Ludzie oddolnie powinni to krytykować. Nie hejtować, ale wyrażać swoją opinię w sposób kulturalny, a czasami bardzo miły, bo ja uważam, że naprawdę najlepszą bronią na hejtera i negatywne komunikaty jest zalanie go czymś pozytywnym. Bo często hejter, jak dostanie taki pozytywny komunikat, to on za bardzo nie wie, co ma z tym zrobić. Nie jest w stanie na to odpowiedzieć. A jak go zaatakujemy, to znów odpowie atakiem – radzi celebrytka. Po tym, jak już zaleje wszystkich hejterów czymś pozytywnym, Agnieszka powinna wziąć się do gaszenia konfliktów zbrojnych na świecie. Ewidentnie ma do tego dryg.

URLOP TEŻ PRACA



FOT. BARTOSZ KRUPA/EAST NEWS

Celebrytka Ania Wendzikowska wyjechała na urlop na Malediwy i co chwila zdaje światu relacje, jak wspaniale tam wypoczywa, jak się relaksuje i nie myśli o niczym poza tu i teraz. – Od jakiegoś czasu uczę się żyć chwilą. Nie zakotwiczać się w przeszłości,

nie wybiegać w przyszłość, po prostu być tu i teraz. Nie jest to takie proste wbrew pozorom. Ale tutaj to jest bardzo, bardzo łatwe – pisze na Instagramie Wendzikowska. – Naprawdę odpoczywam, a w moim przypadku nie jest to łatwe... wyłączyć głowę i przez chwilę nie myśleć o pracy – wyznaje celebrytka. Tak, oglądamy te jej liczne pozowane i skrupulatnie obrabiane zdjęcia i mamy poczucie, że ona na tym urlopie to cały czas pracuje. Bo przecież wrzucanie fotek na Instagram to też praca. Zwłaszcza gdy jest się znaną głównie z tego. ©©

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW



Kochani, to nieprawdopodobne, jak bardzo trzeba uważać na słowa. Jak pewnie słyszeliście, Agora została postawiona do pionu przez jedną z organizacji judeopozytywnych, iż użyła słowa na „P”, aby opisać, co hiszpańska młodzieżówka zrobiła polskiej na mistrzostwach Europy.

i mowa nienawiści, ale musimy przypomnieć, że w określeniach dotyczących mieszkańców tego kraju można sobie pozwolić na więcej. I na tym skończymy komentować sprawę, iżby samemu nie wyjść na antysemitów.

Jak już ustaliliśmy, to Niemcy byli pierwszymi ofiarami nazizmu. Wygląda też na to, że są ostatnimi, a naziści z księżycą mają mściwą satysfakcję. Otóż w miejscowości Ahlbach w polu kukurydzy wybuchł niewypał z czasów II wojny i pozostawił tam spory krater. Szeroki na 10 metrów i głęboki na 4, a więc wg naszych przybliżeń, na ile pozwala nam dyskalkulia, obliczyć – wielki w chooy.

Co prawda istnieje możliwość, iż bomba była aliancka, ale w końcu alianci po to bombardowali nazistów, iżby wyzwolić od nich Niemców. Tak więc z powodu nazistowskiej okupacji jeszcze 60 lat

po wojnie Niemcy nie mogą być spokojni.

Wogóle okazuje się, iż obecna geografia jest płynna, a przynależność kontynentalna państw może podlegać negocjacjom oraz nie jest ustalona raz na zawsze.

Jak bowiem inaczej wytłumaczyć fakt, iż w piłkarskich mistrzostwach Ameryki Południowej biorą udział Japonia i Katar? To piękny przykład na to, iż państwo może swobodnie definiować swoją przynależność i tożsamość.

Of kors tradycjonałści się burzą, iż przecież Japonia to Azja, Katar zresztą też – a my pytamy: co z tego? Pozwólmy wszystkim decydować samodzielnie, kim są. Kontynenty bez granic! ©©

Jak już ustaliliśmy, to Niemcy byli pierwszymi ofiarami nazizmu

A jeszcze nie tak dawno postępowe media w tym kraju oburzały się na wpis na Facebooku PZPN, gdzie wynik 4:0 w meczu ten kraj – Izrael był też opisany zakazanym słowem na „P”. Jakkolwiek mamy świadomość, że będąc przedstawicielami narodu sprawców, nie możemy poddawać pod dyskusję, komu zarzucany jest antysemityzm

f FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

REKLAMA

POLSKIE RADIO

Lato z radiem FESTIWAL

ZAKOPANE 28-29.06

PUCK 19-20.07

STAŁOWA WOLA 9-10.08

KRAKÓW 30-31.08

Audycje plenerowe na żywo

Strefy festiwalowe

Koncerty wstęp wolny

KORTEZ DARIA ZAWIAŁOW KAYAH PERFECT NOSOWSKA KRZYSZTOF ZALEWSKI

ORKIESTRA POLSKIEGO RADIA W WARSZAWIE BARBARA WROŃSKA MUNIEK STASZCZYK

SKUBAS MAZOLEWSKI/PORTER SŁAWEK UNIATOWSKI VOO VOO

JULIA PIETRUCHA ANITA LIPNICKA I INNI

latozradiem.pl

Irytacja na Nowogrodzkiej. Wszystko dlatego, że jedna z gazet ujawniła partyjne dylematy: Gdzie wystawić jesienią premiera Mateusza? Sprawa rozważana jest od kilku miesięcy i miała pozostawać najściślejszą tajemnicą. Chodzi o coś dużo ważniejszego niż bicie rekordów zebranych głosów w stylu Bełaty Szydło. Chodzi o to, że premier Mateusz nigdy jeszcze nie przechodził chrztu bojowego w żadnych wyborach, a bez tego – podnoszą jego partyjni przeciwnicy – nie ma mandatu, by być następcą Kaczora Dyktatora.

Dziennik” trafnie opisał, że z wyścigu odpadły już Warszawa i Wrocław. Z tego, co wiemy, od samego początku jako potencjalne miejsce testu wyborczego premiera Mateusza rozważane były Poznań i Katowice. Nawet dalej są rozważane.

No i masz ci los – będzie drugie mrowisko. Opozycyjne. Mrowiskiem, jak ujawniliśmy tydzień temu, Kaczor Dyktator nazywa takie spędy różnych mądralińskich, którzy długo gadają, zwane dla niepoznaki „kongresami programowymi”. PeŁo pozazdrościła PiS mrowiska w Katowicach i robi tydzień później własne – w Warszawie. Wiemy, że partie uczą się od siebie nawzajem. Dlaczego jednak zawsze tych najgorszych rzeczy?

Ciekawe rozbieżności dotyczą kongresu/mrowiska PeŁo. Platformersi opowiadają w mediach, że będzie na nim kilkadziesiąt paneli tematycznych. A nam wiewiórka od Scheta mówiła, że dokładnie 18. Rozumiemy jednak, że partia, która ma kłopoty z liczeniem – bo uważa np., że popiera ją większość Polaków – może sądzić, iż 18 to kilkadziesiąt.

Wczasie gdy PeŁo i jej przystawki mają kongresować, własny plan ogłaszał będzie Jarosław Gowin, szef Partii, Której Nazwy Nie Pamięta Nikt Prócz Gowina. Będzie to plan „Miasto Plus”, którego celem jest przyciągnięcie do Zjednoczonej Prawicy

Mrowiskiem Kaczor Dyktator nazywa takie spędy różnych mądralińskich, którzy długo gadają, zwane dla niepoznaki „kongresami programowymi”



FOT. ROBERT CARZINSKI

dwaj panowie

młodych, wykształconych, przedsiębiorczych z wielkich miast. Zapytaliśmy w rządzie, czy wicepremier i lider PKNNPNPG konsultował zawartość tego ambitnego przedsięwzięcia ze sztabem wyborczym albo coś. Gromki śmiech był jedyną odpowiedzią.

Sensacja-rewelacja! Po raz pierwszy zgadzamy się z Bašką Nowacką, która o tym, jakie ugrupowania wejdą do nowej Grześkowej koalicji antypisowskiej, powiedziała: „Skład, mówiąc szczerze, jest drugorzędny”. Zgadzamy się w pełni. Naszą zgodę rozciągamy także na sam sztab, którego skład Grzesiek ogłosił. Tam, gdzie drugorzędne persony, tam i drugorzędny skład.

Najbardziej fascynuje nas to, że mózgiem i liderem sztabu PeŁo & Company ma być Brejza Krzysztof. „Patopolityka”, „Wybiłem im te populistyczne zęby”, „Takiego zezwierzęcenia obyczajów politycznych jak za rządów PiS nigdy wcześniej nie było” – to tylko niektóre cytaty dowodzące, że Brejza to nie tylko wybitny strateg, lecz także oryginalny, głęboki myśliciel.

Àpropos powiększania koalicji. Mamy złą wiadomość dla PeŁo. Choćby zamiast Nowackiej w sztabie na zachętę dla Peezelu był duch Wincentego Witosa albo przynajmniej Stanisław Gucwa, to i tak nie bardzo by się tam ludowcom śpieszyło. Wszystko dlatego, że w partii wciąż żywa jest pamięć o tym, jak świetnie funkcjonował poprzedni sztab.

Abyło tak. Dawno, dawno temu, kiedy o europarlament walczyła KoŁe (Koalicja Łeuropejska) i gdy jakiś peezelowiec przychodził na sztab, zawsze słyszał: „Nie ma”, „Nie wiem”, „Zabrakło”, „Nie będzie”. No dobra, przesadzamy. Czasem słyszał coś innego. Na przykład gdy mówił „Potrzebny jest spot”, odpowiedź brzmiała: „No to sobie zróbcie”.

Peezel jednak nie powinien się cieszyć, bo może przelicytować. Wiewiórki z PeŁo opowiadają, że

O rany, nie wiem... no to może Vega?!



**W MSZ wykryto,
że nie wszystkie
dobrozmianowe nominacje
ambadorskie były
strzałem w dziesiątkę**

Grzegorz Ludojad Schetyńa już podjął decyzję i postawił krzyżyk na Peezeli. Woli wziąć sobie na pokład SLD i jego terenowe struktury, które zastąpią w koalicji struktury peezelowskie. Zatem ci ludowcy, którzy liczyli, że manewr z Koalicją Polską pozwoli zielonym braciom wytargować lepsze miejsca na listach PeŁo & Company, mogą się grubo przeliczyć.

Tymczasem smuta u kukistów. Szeregowi posłowie, nie mówiąc o takich znanych i lubianych, tracą wiarę w naczelnego kukistę Kukiza Pawła. Mają ku temu dwa powody: po pierwsze Paweł niczego im nie mówi, po drugie ciężko znaleźć Pawła.

Jeszcze o politycznym planktonie. Partia Teraz! zmienia nazwę na Teraz! Ryszarda Petru. Nie kumamy. Powinno być Wczoraj! A panią Ryszardę zostawili- byśmy w spokoju.

A jednak! Mamy dowód na to, że PiS buduje w Polsce system bolszewicki, stalinowski i leninowski oraz wszystko to, co tam gadał Michnik z Tuleją sędzią! Dowiodła tego komisja

ds. wyłudzeń VAT. Wszystko dzięki Barto- wi Simpsonowi polskich służb, Bartło- mijewi Sienkiewiczowi. Trudno było nie zauważyć, że to prawdziwy hrabia: strasznie się obrażał, że ktoś ośmielił się mu zadawać jakiekolwiek pytania. A kto mógł przeszukiwać bezlitośnie hrabiego? Tylko bolszewicy. Co było do udowodnienia.

Mamy też dowód na to, że jednocześnie PiS buduje w Polsce państwo wyznaniowe, teokratyczną dyktaturę, ciemnogród i papistan. Kontrolowana przez państwo (a państwo to PiS) firma Totalizator Sportowy doprowadziła do tego, że wielka kumu- lacja na 15 baniek padła w kolekturze w miejscowości Boguchwał. BOGU CHWAŁA! Przypadek? A dlaczego nie w Europeanach, Wolnomysłicielowicach lub przynajmniej na placu Konstytucji?

Ups. Dalajlama stał się PiS-owcem. W wywiadzie dla BBC powiedział, że nie wolno oddawać Europy muzułmanom i Afrykańczykom. Orszak zaapelował „Keep Europe for Europeans”. Czekamy na reakcję rzecznika Bodnara, Dulczessy Gdańska oraz Brejzły.

Wspomniana Dulczessa, czyli prezydentka Gdańska imieniem Aleksandra, na krzywy ryj usiłuje organizować własne obchody rocznicy wybuchu II wojny światowej. Nie uwierzycie, kto twierdzi, że jej pomaga. To niejaki Andrzej Gąsiorowski, jeszcze kilka lat temu ścigany listem gończym za aferę Art-B. Sprawa się przedawniła,

więc Gąsior może na nowo rozwijać skrzydła.

Gąsiorowski od pewnego czasu łązi więc po rozmaitych kręgach i opowiada, że ma upoważnienie, by wraz ze swoją fundacją w Gdańsku zorganizować rocznicowy Marsz Życia. Fundacja Helping Hands Coalition to dziwny konglomerat – dzieci byłych esesmanów (ponoć skruszone), weterani Armii Czerwonej i ocaleni z Holocaustu. Nie wiedzieliśmy, że na Westerplatte przeciw Niemcom walczyli Żydzi wraz z Sowietami, ale liczymy, że Dulczessa wkrótce udowodni, iż 1 września polscy naziści ze Szlezwika-Holsztynu napadli na Żydów na Westerplatte, co zapoczątkowało Holocaust.

WMSZ odkryto, że nie wszystkie dobrozmianowe nominacje ambasadorskie były strzałem w dziesiątkę. Będą więc do wzięcia placówki, z których przedterminowo zjeżdżają ambasadorzy. Choćby Helsinki. Nie dość, że panował tam chaos, to jeszcze ambasador, gdy dowiedział się, że mają go puknąć, zaczął łązić po stolicy Finlandii i wyrzekać na dobrą zmianę. To, oczywiście, dopełniło jego losu.

Inna piękna stolica – Tokio. Też będzie powrót. W centrali MSZ odkryto, że ambasador się nie przemęcza, zaszczycając miejsce pracy swą obecnością najwyżej przez dwie-trzy godziny dziennie. Żli ludzie bąkają też coś o rodzinnych wycieczkach po Kraju Kwitnącej Wiśni. I o kieszonkowym dla żony w formie diet. Tradycyjnie nie wierzymy złym ludziom.

Praga. Tutaj losy pani ambasador wciąż się ważą. Broni jej jak lew Srebrny Lis Polskiej Dyplomacji, bo to jego, znaczy Waszcza, serdeczna przyjaciółka. Gdy liczba skarg płynących z Pragi sprawiła, że resort musiał rozpocząć procedurę antymobbingową, Waszczu zaczął rozsyłać SMS-y po wszystkich świętych. Twierdzi w nich, że za wszystkimi planowanymi zmianami ambasadorów stoi oficer Agencji Wywiadu, który robi miejsce dla swoich kumpli szpiegów. Dodajmy, że Srebrny Lis nie stosował do rozsyłania tych wiadomości żadnego szyfrowania, co pod znakiem zapytania stawia jego znajomość ustawy o ochronie informacji niejawnych. ©©



Banki centralne Polski i świata

Tak jak Atlas trzyma Ziemię, tak banki centralne podtrzymują rynek finansowy – napisał francuski ekonomista Philippe Herlin. Ten komplement pod adresem banków centralnych jest uzasadniony. Trudno sobie dzisiaj bowiem wyobrazić funkcjonowanie gospodarki bez banków centralnych

Banki centralne są jednak znacznie bardziej współczesnym tworem niż mity greckie. Powstanie banków centralnych w krajach Zachodu było związane z rozpowszechnianiem się w nich pieniądza w formie papierowej, na przełomie XVII i XVIII wieku. Kwity depozytowe, wystawiane w zamian za zdeponowany kruszec lub monety przez ówczesne domy bankowe, które wówczas się pojawiły, znacząco ułatwiły handel. Jednak nowe rozwiązanie nie było wolne

od wad, związanych z ryzykiem upadłości prywatnych domów bankowych, w związku z czym stopniowo zmniejszano liczbę banków uprawnionych do emitowania banknotów, by ostatecznie prawo to przyznać tylko pojedynczym instytucjom, początkowo prywatnym, które ostatecznie przyjęły formę współczesnego banku centralnego.

BANKOWA REWOLUCJA

Pierwszy bank centralny powstał w 1668 r. Szwedzki Bank Narodowy

(Sveriges Riksbank) został decyzją parlamentu utworzony na bazie banku prywatnego Stockholms Banco. Emitowane przez Sveriges Riksbank kwity okazały się o wiele wygodniejsze niż używane wówczas miedziane monety (tzw. platmynty), wążące niekiedy nawet po 20 kg. Śladem Szwecji poszły szybko inne kraje. W 1694 r. powstaje Bank Anglii, blisko wiek później Banco de España (1782) i Banque de France (1800). W XIX w. został utworzony m.in. Bank Polski (1828), Reichsbank (1876), Bank Japonii (1882) czy Banca d'Italia (1893).

Dla rozwoju współczesnej bankowości centralnej największe znaczenie miało jednak powstanie Banku Anglii. Jego działalność rozpoczęła się od udzielenia państwu pożyczki w kwocie 1,2 mln funtów na 8 proc. w skali roku.

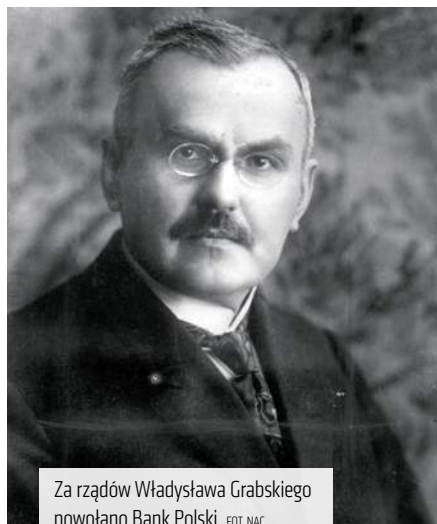
W zamian za pożyczkę rząd zobowiązany był m.in. nadać bankowi wyłączne prawo do emisji kwitów bankowych. W 1921 r. Bank Anglii jako jedyny w tym kraju miał prawo emisji banknotów, pełniąc także związane z tym dwie ważne funkcje – pożyczkodawcy ostatniej instancji oraz skarbcza rezerw złota i walut obcych. W krótkim czasie stał się najważniejszą instytucją finansową w Anglii.

Utworzony w 1828 r. w Królestwie Polskim Bank Polski był – co było i do tej pory jest rzadko spotykane – bankiem państwowym, który prowadził nie tylko działalność emisyjną, lecz także brał udział w kredytowaniu przemysłu i rolnictwa oraz zakrojonych na szeroką skalę inwestycji własnych i rządowych.

Na przełomie XIX i XX w. banki emisyjne obecne były już w większości państw europejskich. Ich wspólnymi cechami były: wyłączne prawo do emisji banknotów danego kraju, nadzór nad płynnością komercyjnych banków oraz obowiązek organizowania emisji pieniądza według systemu waluty złotej (funkcjonujący w latach 1870–1914 system waluty złotej – uznawany za pierwszy międzynarodowy system walutowy – polegał na tym, że bank centralny utrzymywał rezerwy złota i walut wymienialnych na złoto w stałej proporcji do ilości wyemitowanego pieniądza i gwarantował wykupienie złota, zgodnie z ustalonym parytetem).

Odmienne było u nich zaangażowanie w akcje kredytowania w poszczególnych gałęziach gospodarki. Z biegiem czasu rozwijał się zakres ich funkcji. Wraz z podstawową funkcją banku emisyjnego i połączoną z nią obsługą finansową państwa od lat 40. XIX w. banki centralne zaczęły pełnić funkcję kredytodawcy ostatniej instancji, kredytując inne instytucje bankowe pod zastaw instrumentów finansowych. Przekładało się to na rezygnację z bezpośredniego udziału w rynku kredytowym, co wcześniej pozwalało bankom centralnym osiągać zyski. Przyjęcie funkcji banku banków oznaczało również stopniowe obejmowanie nadzorem działalności banków komercyjnych. Instytucje te powoli odchodziły także od finansowania budżetu państwa, tym samym zyskując niezależność od rządów.

z 1997 roku. Pierwszy polski bank centralny – Bank Polski – powołano w Królestwie Polskim w 1828 r. dekretem cara Rosji i króla Polski Mikołaja I (ponad 30 lat przed utworzeniem rosyjskiego centralnego banku). Bank emisyjny, którego celem było doprowadzenie do aktywizacji gospodarczej Królestwa, obsługiwał także rachunki instytucji publicznych i prywatnych, przyjmował wkłady pieniężne, udzielał kredytów inwestycyjnych oraz handlował walutami.



Za rządów Władysława Grabskiego
powołano Bank Polski. FOT. NAC

Bank prowadził budżet państwa, zapewniając mu środki z emisji obligacji, także za granicą. Obsługiwał operacje handlu zbożem i innymi towarami. Sfinansował powstanie Zagłębia Staropolskiego i inne istotne inicjatywy przemysłowe na terenie Królestwa – budował drogi lądowe, otwierał szlaki wodne, uczestniczył w budowie Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, doprowadził do powstania licznych ośrodków życia gospodarczego. W czasie powstania listopadowego poparł powstańców i wspierał finansowo ich działania wojenne. 1 stycznia 1886 r. bank postawiono w stan likwidacji, a jego majątek i operacje przejął Bank Państwa.

Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości w 1918 r. rolę banku centralnego odgrywała Polska Krajowa Kasa Pożyczkowa, emitująca marki polskie. PKKP stworzyła warunki do powołania nowej instytucji centralnej, mierząc się także po drodze z trudnymi warunkami powojennej hiperinflacji.

Gruntowne reformy premiera Władysława Grabskiego pomogły również Polsce uporać się z hiperinflacją, z którą

II RP borykała się od 1923 r. Nowy premier narzucił ostry reżim oszczędnościowy i wprowadził równowagę budżetową. Zgodnie z planem Grabskiego zaprzestano również dodruku pieniądza, a gdy jego ilość w obiegu odpowiednio się zmniejszyła, zastąpiono markę nową walutą: polskim złotym. W 1924 r. powołano do życia Bank Polski SA z siedzibą w Warszawie jako nowy bank centralny.

W okresie wielkiego kryzysu polskie władze dążyły za wszelką cenę do utrzymania parytetu złotego, co wymagało prowadzenia polityki deflacyjnej. 8 lipca 1933 r. II Rzeczpospolita przystąpiła do „złotego bloku”. Kraje w nim zrzeszone – poza Polską były to Belgia, Francja, Holandia, Luksemburg, Szwajcaria i Włochy – utrzymywały wymienialność własnych walut na złoto, przy jednoczesnej swobodzie międzynarodowego przepływu kapitałów. Niestety, z powodu powstania bloku szterlingowego, który odszedł od wymiany na złoto, kraje „złotego bloku” stawały się mniej konkurencyjne. Złoty blok przetrwał więc jedynie do roku 1936.

W czasie II wojny światowej Bank Polski działał najpierw w Paryżu, a potem w Londynie, zarządzając wywiezionymi z kraju rezerwami złota. Natomiast na terenie Generalnej Guberni od 1939 r. działał powołany przez władze III Rzeszy Bank Emisyjny w Polsce z siedzibą w Krakowie. Bank ten emitował złote nazywane potocznie „krakowskimi” lub „młynarkami” – od nazwiska prezesa banku Feliksa Młynarskiego. Na banknotach tych widniały polskie napisy, ale nie było na nich polskiego godła. Bank Emisyjny został postawiony w stan likwidacji niemal natychmiast po wejściu Armii Czerwonej. Na jego miejsce powołano najpierw Kasę Resortów w Lublinie, potem Centralną Kasę Skarbową, a ostatecznie – w styczniu 1945 r. – działający do dziś Narodowy Bank Polski (NBP).

NBP w czasach Polski Rzeczypospolitej Ludowej funkcjonował według innych zasad niż obecnie. Przede wszystkim pełnił nie tylko funkcję banku emisyjnego, lecz także instytucji mającej kompetencje w zakresie udzielania kredytów. Przejął on zadanie bieżącego kredytowania sektora przedsiębiorstw uspołeczniczonych i państwowych. Obsługiwał nie tylko przemysł i różnego rodzaju przedsiębiorstwa usługowe, lecz także – obok wciąż działających banków branżowych – transakcje eksportowe

200 LAT DLA ROZWOJU GOSPODARCZEGO

Narodowy Bank Polski swoją obecną postać zawdzięcza konstytucji



EBC odpowiada za wspólną
politykę pieniężną strefy euro

FOT. ADOBE STOCK

■ i importowe. W efekcie w połowie lat 50. XX w. odpowiadał on już za blisko 90 proc. kredytu obrotowego w polskiej gospodarce. Jako bank centralny Polski funkcjonuje nieprzerwanie od stycznia 1945 r. Poza tym – co dziś byłoby nie do pomyślenia – prezesem NBP był jeden z wiceministrów finansów; zmieniło się to dopiero w 1981 r.

Wówczas rozpoczęły się stopniowe zmiany instytucjonalne w polskim sektorze bankowym. W 1989 r. wydzielono z NBP dziewięć banków komercyjnych, a w samym NBP pozostały kompetencje związane stricte z działalnością banku centralnego. Wzmocniono też pozycję NBP poprzez wprowadzenie kadencyjności prezesa banku, który zyskał bardzo szerokie uprawnienia, m.in. do kształtowania parametrów polityki pieniężnej i kursowej. Unowocześnienie bankowości centralnej było niezbędne – Polska borykała się z hiperinflacją. W styczniu 1990 r. roczna dynamika CPI osiągnęła blisko 1300 proc. NBP ze wzmocnioną pozycją i z uprawnieniami odegrał kluczową rolę w walce z tym zjawiskiem, usztywniając kurs złotego do dolara i kontrolując podaż pieniądza.

W 1998 r. weszły w życie ustawa o NBP i ustawa prawo bankowe, które – obok wprowadzonej w życie kilka miesięcy wcześniej Konstytucji RP – stanowią umocowanie dla działalności NBP. Zgodnie z Konstytucją RP NBP odpowiada za wartość polskiego pieniądza oraz ma wyłączne prawo ustalania i realizowania polityki pieniężnej. Ustawa o NBP doprecyzowuje ten podstawowy cel działalności

jakim jest utrzymanie stabilnego poziomu cen (inflacji). NBP jest zobowiązany do wspierania polityki gospodarczej rządu, jednak tylko wówczas, gdy poziom cen jest stabilny. Odpowiedzialność za ustalanie realizacji polityki pieniężnej Konstytucja RP powierzyła nowemu organowi NBP – Radzie Polityki Pieniężnej.

Ponadto zgodnie z Konstytucją RP NBP ma wyłączne prawo emisji pieniądza. Ustawa o NBP określa dodatkowe – poza działalnością emisyjną – zadania NBP, w tym organizowanie rozliczeń pieniężnych, zarządzanie polskimi rezerwami walutowymi i regulowanie płynności banków oraz ich refinansowanie. W 2015 r. do zadań NBP doszło działanie na rzecz stabilności całego systemu finansowego (polityka makroostrożnościowa), choć nadzór nad poszczególnymi instytucjami finansowymi pozostawiono utworzonej w 2006 r. Komisji Nadzoru Finansowego (polityka mikroostrożnościowa).

PO CO NAM NBP?

Rola banku centralnego i pełnione przez niego funkcje uległy istotnej zmianie od czasu powołania pierwszych banków emisyjnych. O ile w początkowym etapie funkcjonowania bankowości centralnej instytucja ta zajmowała się głównie emisją pieniądza, obsługą rachunków budżetu państwa oraz udzielaniem finansowania na jego potrzeby, o tyle teraz przede wszystkim skupia się na prowadzeniu polityki pieniężnej i – w wielu przypadkach – nadzorowaniu działania systemu finansowego.

Dzisiejszy bank centralny pełni trzy podstawowe funkcje: banku emisyjnego, banku banków oraz banku państwa.

W ramach funkcji emisyjnej NBP jako jedyny w Polsce ma prawo emisji pieniądza będącego środkiem płatniczym w całym kraju. W praktyce oznacza to, że bank centralny tworzy wzór banknotów i monet, określa ich specyfikację techniczną, w tym wzory zabezpieczeń, oraz zleca produkcję wyspecjalizowanym podmiotom. Jest także emitentem pieniądza w postaci bezgotówkowej. Pieniądz wprowadzany jest do systemu gospodarczego w postaci kredytów udzielanych bankom komercyjnym, dzięki czemu bank centralny organizuje obieg pieniędzy i reguluje jego płynność, dostosowując emisję do ilości pieniądza w obiegu.

Jako bank banków NBP pełni wobec innych banków funkcję regulacyjną, przez co zapewnia bezpieczeństwo ulokowanych w nich wkładów oraz dba o stabilność całego sektora bankowego. Udziela bankom komercyjnym pożyczek i utrzymuje powierzone przez nie depozyty na lokatach. Oprocentowanie tych instrumentów ustalane jest na comiesięcznych posiedzeniach Rady Polityki Pieniężnej w postaci stóp procentowych NBP. Bank centralny organizuje także system rozliczeń pieniężnych, prowadzi rachunki międzybankowe i realizuje transakcje z innymi bankami centralnymi oraz instytucjami międzynarodowymi.

Pełniąc funkcję pożyczkodawcy ostatniej instancji, NBP jest realną ostatnią deską ratunku dla banków, które znajdują się w kryzysowym położeniu. Pełniąc funkcję pomocową, bank centralny interweniuje, kiedy będący w potrzebie bank ma problem z pozyskaniem finansowania z innego źródła, w ten sposób przyczyniając się do stabilności całego sektora finansowego.

Ponadto od 2015 r. prezes NBP przewodniczy obradom Komitetu Stabilności Finansowej w zakresie nadzoru makroostrożnościowego. Nadzór ten jest nakierowany nie tyle na monitorowanie ryzyka pojedynczych instytucji finansowych, ile na ograniczanie ryzyka dla całego systemu finansowego.

W roli banku państwa NBP, mówiąc najprościej, rozlicza przychody i wydatki budżetu państwa. Obsługuje rachunki Skarbu Państwa, na które wpływają przychody z podatków, opłat i cel, a także środki służące finansowaniu deficytu pochodzące ze sprzedaży obligacji czy

bonów skarbowych. Z rachunków tych pochodzą na przykład pieniądze na zasiłki, dotacje, pensje urzędników czy inwestycje publiczne. Bank centralny dokonuje w imieniu państwa operacji finansowych, zarządza spłatą kredytów zagranicznych oraz utrzymuje rezerwy obcych walut i złota. Zajmuje się także obsługą deficytu budżetowego i zarządza długiem publicznym.

Najważniejszym celem NBP jest utrzymywanie stabilnego poziomu siły nabywczej pieniędzy w portfelach Polaków, co wiąże się przede wszystkim z odpowiednim poziomem inflacji. Celem polityki pieniężnej jest utrzymanie inflacji, tj. rocznej zmiany indeksu cen towarów i usług konsumpcyjnych (CPI), na poziomie 2,5 proc. z symetrycznym przedziałem odchyień o szerokości ± 1 punkt procentowy. Podstawowym narzędziem banku centralnego w zakresie polityki pieniężnej są stopy procentowe. Przy ich wykorzystaniu Narodowy Bank Polski kształtuje koszt pieniądza w gospodarce, co pozwala wywierać pośredni wpływ na przyspieszenie lub spowolnienie wzrostu gospodarczego w krótkim terminie, a tym samym na dynamikę cen w gospodarce.

EUROPEJSKI BANK CENTRALNY

Za wspólną politykę pieniężną strefy euro odpowiada Europejski Bank Centralny (EBC) z siedzibą we Frankfurcie nad Menem, powołany w czerwcu 1998 r. na bazie Europejskiego Instytutu Walutowego. Stworzenie strefy euro i powołanie samego EBC stanowiło kolejny, po utworzeniu wspólnego rynku, etap integracji gospodarczej w Europie.

Głównym zadaniem EBC jest – zgodnie z Traktatem o funkcjonowaniu Unii Europejskiej – utrzymywanie stabilności cen. EBC dąży do utrzymania przeciętnego rocznego wzrostu cen w strefie euro na poziomie poniżej – ale w pobliżu – 2 proc. Do oceny poziomu stabilności cen wykorzystuje się roczny wzrost zharmonizowanych wskaźników cen konsumpcyjnych (HICP). Obejmują one ceny koszyka ok. 700 produktów i usług nabywanych przez przeciętne gospodarstwo domowe strefy euro.

W ramach Eurosystemu, na który obok EBC składają się banki centralne państw członkowskich strefy euro, prowadzone są operacje z bankami komercyjnymi, operacje walutowe, zarządzanie rezerwami walutowymi



Decyzje Rezerwy Federalnej USA pilnie śledzą inwestorzy na całym świecie. FOT. ADOBE STOCK

państw członkowskich i organizuje się funkcjonowanie systemu płatniczego.

EBC i Eurosistem współpracują również z bankami centralnymi krajów Unii Europejskiej nienależących do strefy euro, tworząc wraz z nimi Europejski System Banków Centralnych (ESBC). Od momentu wejścia Polski do UE w 2004 r. należy do niego także Narodowy Bank Polski.

EBC posiada uprawnienia do emisji wspólnej europejskiej waluty i jest bankiem centralnym dla państw członkowskich UE, które wprowadziły euro. Prezesi krajowych banków centralnych strefy mają prawo głosu w posiedzeniach, na których podejmuje się decyzje w zakresie polityki pieniężnej. Swoje uprawnienia w obszarze realizacji polityki pieniężnej zachowały natomiast banki centralne spoza strefy euro, w tym Narodowy Bank Polski.

NAJPOTĘŻNIEJSZA INSTYTUCJA FINANSOWA ŚWIATA

Ogromne emocje wśród inwestorów budzą również decyzje bankierów zza oceanu. Centralny bank Stanów Zjednoczonych Ameryki powstał na mocy Ustawy o Rezerwie Federalnej z 1913 r. i rozpoczął działalność w listopadzie 1914 r., kiedy w Europie trwała już I wojna światowa. Chociaż wcześniej funkcjonowały w USA banki noszące cechy banków centralnych – Pierwszy Bank Stanów Zjednoczonych (First Bank of the United States) działający w latach 1791–1811 i Drugi Bank Stanów Zjednoczonych (Second Bank of the United States) również z 20-letnią kadencją

w latach 1816–1836, to dopiero System Rezerwy Federalnej (nazywany w skrócie Fed) ujednolicił system pieniężny USA i pomimo stosunkowo młodego wieku w relacji np. do szwedzkiego Riksbanku czy Banku Anglii pozostaje jedną z najbardziej wpływowych instytucji finansowych świata. Decyzje i przewidywania Fed śledzone są przez inwestorów i analityków, dyktują warunki na rynkach całego globu, w tym wywierają wpływ także na indeksy warszawskiej Giełdy Papierów Wartościowych.

Fed, inaczej niż NBP czy EBC, zamiast jednego nadrzędnego celu, realizuje trzy równorzędne, którymi są: stabilność cen, utrzymanie maksymalnego poziomu zatrudnienia oraz utrzymanie umiarkowanego poziomu długookresowych stóp procentowych. Odpowiednikiem polskiej Rady Polityki Pieniężnej, a w EBC Rady Prezesów i Zarządu, czyli organem decyzyjnym odpowiedzialnym za kształtowanie polityki pieniężnej w Fed, jest Federalny Komitet do spraw Operacji Otwartego Rynku (FOMC). Jego posiedzenia, podczas których ustala się poziom stopy funduszy federalnych, odbywają się osiem razy w roku. System nadzoru nad sektorem bankowym w USA zorganizowany jest odmiennie niż w Polsce – realizowany jest zarówno przez sam Fed, jak i oddzielną, niezależną instytucję działającą przy Departamencie Skarbu (Office of the Comptroller of the Currency, OCC) oraz federalną agencję ubezpieczającą depozyty w Stanach Zjednoczonych (Federal Deposit Insurance Corporation, FDIC). © Wszelkie prawa zastrzeżone

Rzecznik przywilejów lewicy



FOT. DARIUSZ GOLIŃSKI/PRZEM



Wojciech Wybranowski

Rzecznik praw obywatelskich coraz częściej budzi kontrowersje, stając światopoglądowo po stronie lewicy. Kiedyś potrafił też działać wbrew swojemu środowisku politycznemu

Kiedy w lipcu 2015 r., rywalizując z Zofią Romaszewską, został wybrany przez Sejm, głosami koalicji PO-PSL, na fotel nowego rzecznika praw obywatelskich, na prawicy zawrzało. Część komentatorów znających mocno lewicowe poglądy dr. Adama Bodnara, wówczas szefa Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka, ostrzegała przed możliwością skrajnego upolitycznienia działań RPO

i wykorzystywania tej instytucji do promocji lewicowych, szczególnie genderowych ideologii. Inni wskazywali, że w okresie rządów koalicji PO-PSL dr Bodnar jako szef HFPC często podejmował interwencje np. w sprawie kibiców zatrzymywanych i skazywanych za krytyczny stosunek do Donalda Tuska.

Cztery lata kadencji Adama Bodnara mogło zaskoczyć i jednych, i drugich.

Rzecznik praw obywatelskich z roku na rok coraz bardziej stawał się frontmanem lewicowej opozycji wydającym bulwersujące oświadczenia lub podejmującym interwencje na rzecz jednej – skrajnie lewicowej – strony sporu ideologiczno-religijnego.

– Adam Bodnar radykalnie upolitycznił urząd Rzecznika Praw Obywatelskich. Angażuje się mocno, gdy osobą pokrzywdzoną może być osoba ze środowisk

lewicowych – wytyka w rozmowie z „Do Rzeczy” wiceminister sprawiedliwości Sebastian Kaleta. I dodaje: – Jest osobą, która, niestety, traktuje urząd RPO jako trampolinę do politycznej kariery jednego z liderów przyszłej „postępowej” lewicy.

Kilkanaście dni temu dr Bodnar wywołał burzę, krytykując funkcjonariuszy policji za sposób, w jaki zatrzymali mężczyznę podejrzanego o brutalne morderstwo 10-letniego dziecka.

BO POLICJANCI BYLI NIEDELIKATNI?

Chodzi o Jakuba A., 22-latkę podejrzanego o zabójstwo 10-letniej Kristiny w Mrowinach. Ustalenia policyjnych śledczych wskazują, że Jakub A., zakochany w znacznie od niego starszej matce dziewczynki, zabił dziecko, by usunąć „przeszkodę” stojącą na drodze do jego związku z kobietą. Dziecko miał zabić do samochodu, wywieźć w ustronne miejsce i zamordować w okrutny sposób – zadając Kristinie kilkadziesiąt ciosów nożem.

Został zatrzymany przez dolnośląską policję w domu jego dziadka we Wrocławiu. Policjanci sforsowali bramę, weszli do środka i zakuli mężczyznę w tzw. kajdanki zespolone – zakładane na nadgarstki i kostki, połączone łańcuchem. Dolnośląska policja opublikowała film z zatrzymania. Widać na nim zakładanie kajdanek, a potem prowadzenie zatrzymanego do policyjnego samochodu. Mężczyzna ubrany jest w koszulkę i majtki, nie ma obuwia – bo w takim stroju został zatrzymany.

Bodnar opublikował oświadczenie podległego mu Krajowego Mechanizmu Prewencji Tortur, w którym skrytykował zastosowanie kajdanek zespolonych i chwytu obezwładniającego, przekonując, że było to niepotrzebne, ponieważ zatrzymany nie stawiał oporu.

– Mam krytyczne zdanie na temat kadencji pana dr. Bodnara, podzielał bowiem zarzuty zbyt dużego zaangażowania RPO w obronę lewicowych ideologii, ale w tej konkretnej sprawie ma zdecydowanie rację – uważa Jacek Stefaniuk, prawnik i adwokat. Nasz rozmówca tłumaczy, że to, na co zwrócił uwagę Bodnar, czyli rodzaj i sposób zastosowania środków przymusu bezpośredniego, wyprowadzenie zatrzymanego niemal w neglizm i wykonywanie z nim czynności procesowych w takim stanie i bez obecności obrońcy, dają podstawy, by twierdzić, iż nie zachowano zasady proporcjonalności wynikającej z art. 6 ustawy o środkach przymusu bezpośredniego

i broni palnej oraz naruszono prawo do obrony. – Natychmiastowe upublicznienie policyjnego nagrania i zdjęć zatrzymanego wskazuje nadto, że dodatkowym celem był pokaz siły spójny z nieakceptowaną retoryką odwetu – mówi mec. Stefaniuk.

Wielu komentatorów zwróciło jednak uwagę, że w praktyce RPO więcej uwagi i empatii okazał podejrzanemu o brutalne morderstwo niż zabitej dziewczynce i jej rodzicom, a wreszcie także policjantom, którzy zatrzymując niebezpiecznego człowieka, sami narażają własne zdrowie. – Mam wrażenie, że rzecznik praw obywatelskich nie docenia groźby, która czyha w sytuacji zatrzymywania podejrzanego o morderstwo. Oburzenie policji rozumiem bardzo dobrze. Policja zasługuje w tej sprawie na szacunek – mówił prof. Michał Kleiber z Polskiej Akademii Nauk w TV Polsat.

Mariusz Ciarka, rzecznik Komendy Głównej Policji, stwierdził, że rzecznik praw obywatelskich powinien przede wszystkim pochylić się nad tragedią rodziny zmarłej dziewczynki, a policjantom podziękować za skuteczną akcję. – Zatrzymany był podejrzanym o brutalne zabójstwo. Ukrywał się, zacierał ślady, wiedział, że może grozić mu dożywocie, więc w akcie desperacji mógłby się np. okaleczyć lub atakować policjantów – wskazywał Ciarka.

Czy rzeczywiście chodziło wyłącznie o krytykę działań policjantów, które mogły być formą represji i tortur wobec zatrzymanego, ale w świetle prawa – do momentu wyroku – niewinnego mężczyzny? Można mieć wątpliwości, bo w grudniu 2018 r. Adam Bodnar wycofał swój wcześniejszy wniosek do Trybunału Konstytucyjnego dotyczący ustawy o środkach przymusu bezpośredniego, w którym wskazywał, że obecnie zatrzymany nie ma możliwości zaskarżenia środków przymusu, które wobec niego zastosowano. Wycofanie się Bodnara ze skargi spowodowało, że TK musiał sprawę umorzyć.

Mimo krytyki Bodnar w wywiadzie dla „Rzeczpospolitej” przekonywał, że swoje oświadczenie w sprawie zatrzymania podejrzanego o zabójstwo wydałby jeszcze raz.

Krytyczne dla policjantów sformułowania, które znalazły się w dokumencie sygnowanym przez RPO, już stały się elementem walki politycznej. W obronie Bodnara wystąpili lewicowi aktywiści i środowiska mocno plasujące się po opozycyjnej stronie sceny politycznej – m.in. prof. Monika Płatek, skrajnie lewicowa feministka, prof.

Andrzej Rzepliński, prof. Andrzej Zoll, prof. Wojciech Sadurski oraz politycy opozycji.

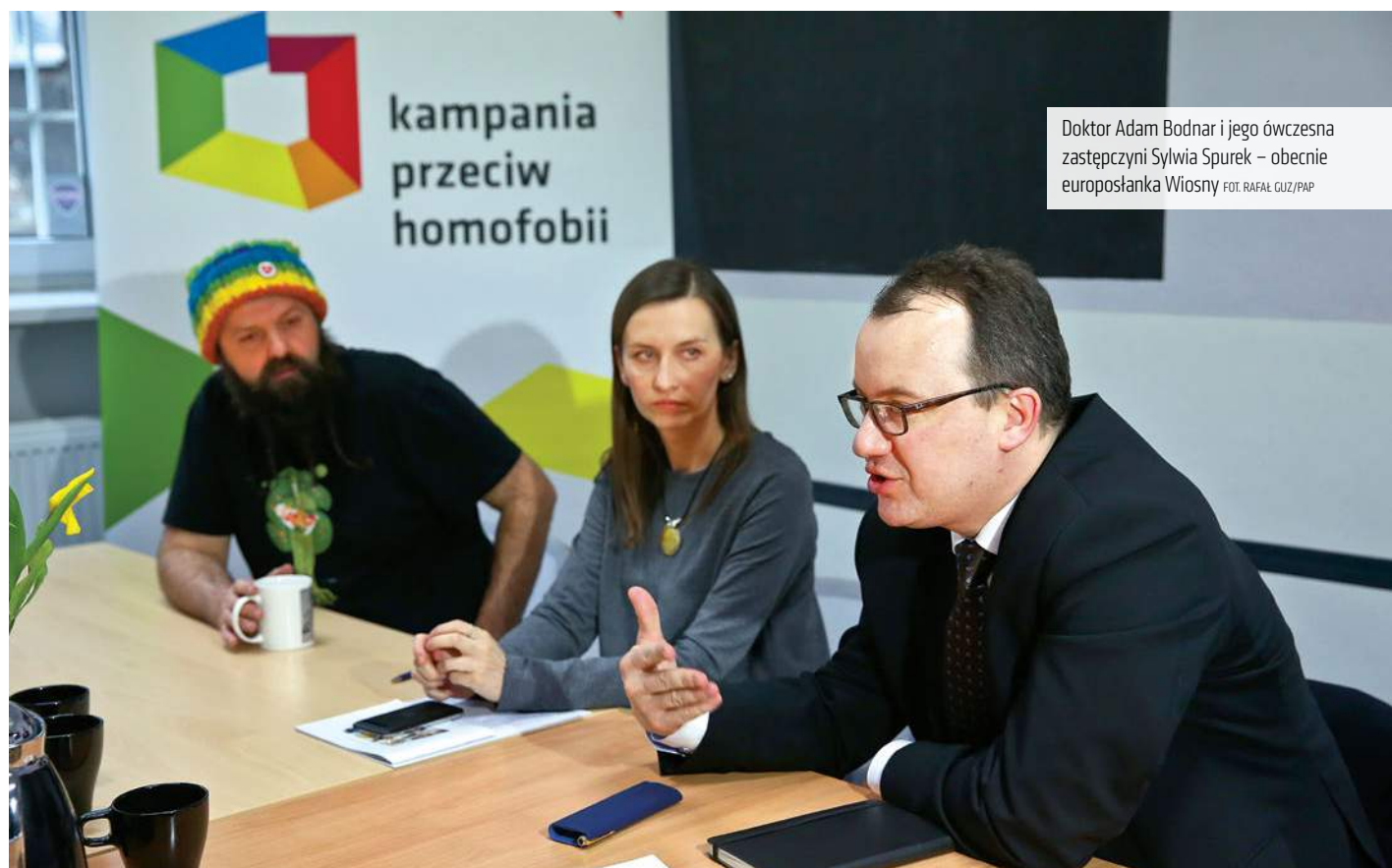
TĘCZOWA PROPAGANDA

Spora część zastrzeżeń co do aktywności dr. Bodnara w roli rzecznika praw obywatelskich wiąże się z jego zaangażowaniem we wspieranie aktywności środowisk LGBT. Krytycy Bodnara wytykają mu, że robi to w sposób, który może uderzać w prawo rodziny do wychowania dzieci, wolności sumienia i wyznania.

– Zgodnie z przewidywaniami z 2015 r., kiedy to całkowicie niespodziewanie został wybrany na RPO jako element zmiany orientacji Platformy na zdecydowanie bardziej lewicowo-liberalną, poświęcił się forsowaniu stricte ideologicznych, radykalnych koncepcji w obszarze praw człowieka. To oczywiście zaowocowało bardzo wieloma decyzjami, które były niezrozumiałe i nie odpowiadały powszechnemu poczuciu sprawiedliwości – mówi „Do Rzeczy” Jerzy Kwaśniewski, prawnik, prezes instytutu Ordo Iuris. Chodzi np. o „Tęczowy piątek” – akcję homolobby organizowaną w placówkach oświatowych, podczas której dzieci, często bez zgody i wiedzy rodziców, musiały uczestniczyć w pogadankach na temat gender i praw homoseksualistów. Po protestach rodziców i krytycznych artykułach w mediach, m.in. w „Do Rzeczy”, MEN zapowiedziało kontrolę w szkołach, w których takie imprezy zorganizowano.

„Środowiska polityczne i religijne wraz z Ministerstwem Edukacji Narodowej i kuratorami oświaty wytoczyły najcięższe działa, aby akcję zdusić w zarodku. W niektórych miejscach to się udało” – bulwersował się dr Adam Bodnar w publikacji „Czego polska szkoła mogłaby uczyć w »Tęczowy piątek«” (28 października 2018 r.). W grudniu 2018 r. RPO interweniował, pytając MEN o podstawy przeprowadzenia kontroli w szkołach, w których „Tęczowy piątek” zorganizowano. W styczniu resort oświaty odpowiedział mu, że kontrole przeprowadzono na wniosek rodziców zaniepokojonych zmuszaniem ich dzieci do uczestnictwa w zajęciach o charakterze światopoglądowym bez zgody ich opiekunów.

Adam Bodnar był też jedną z pierwszych osób, które pogratulowały prezydentowi Warszawy Rafałowi Trzaskowskiemu sygnowania Warszawskiej deklaracji LGBT+. Porozumienie gwarantuje lobby LGBT wprowadzenie do szkół edukatorów seksualnych



Doktor Adam Bodnar i jego ówczesna zastępczyni Sylwia Spurek – obecnie europosłanka Wiosny FOT. RAFAŁ GUZ/PAP

■ i udział dzieci w takich zajęciach. W marcu rzecznik praw dziecka Mikołaj Pawlak wskazał, że zapisy karty LGBT+ łamią konstytucyjne prawa rodziców do wychowania dzieci zgodnie z własnymi przekonaniem, i wezwał dr. Bodnara do działania. Ten odpowiedział, że problemu nie widzi, i podtrzymał swoje poparcie dla deklaracji LGBT+. W rozmowie z Radiem RMF FM rzecznik praw obywatelskich sugerował, że zapisów konstytucji chroniących prawa rodziców nie należy traktować już dziś jako bezwzględnie wiążących. – Każde prawo konstytucyjne, poza zakazem tortur, prawem do życia i zakazem eksperymentów naukowych, podlega ograniczeniom. Ograniczenia te mogą być przewidziane ustawą w sytuacji, kiedy są proporcjonalne i służą realizacji innego dobra. To prawo rodziców już teraz podlega ograniczeniom – przekonywał dr Bodnar w Radiu RMF FM. I dodawał: – Mamy chociażby ustawę o wychowaniu do życia w rodzinie, która przewiduje różnego rodzaju zajęcia z zakresu tego, co można by nazwać nawet edukacją seksualną, czyli wychowanie do życia w rodzinie.

W rozmowie z Radiem TOK FM dr Bodnar wzywał kolejne samorządy do podpisywania Warszawskiej deklaracji

LGBT+, a tym samym podjęcia działań wychodzących naprzeciw oczekiwaniom homoseksualnego lobby. I ostro skrytykował te samorządy, w których radni (np. na Lubelszczyźnie i w Małopolsce) przyjęli uchwały sprzeciwiające się promocji ideologii LGBT. „[...] Rzecznik stoi więc na stanowisku, że w świetle obecnej sytuacji prawnej i społecznej władze samorządowe powinny korzystać ze wszystkich dostępnych im w granicach kompetencji narzędzi, aby poprawiać sytuację osób narażonych na dyskryminację ze względu na orientację seksualną i tożsamość płciową” – przekonywał w swoim oświadczeniu. Zapowiedział też, że rozważy zaskarżenie uchwał samorządów do sądów administracyjnych.

Jako rzecznik praw obywatelskich Adam Bodnar ostro skrytykował też drukarza z Łodzi, który powołując się na konstytucyjnie zagwarantowane prawa, odmówił organizacji LGBT przygotowania promujących homoseksualizm bannerów. RPO uznał, że działanie drukarza było dyskryminacją organizacji pozarządowej w dostępie do usług ze względu na orientację seksualną. Jak wytknęli wówczas prawnicy Ordo Iuris, taka konstrukcja nie funkcjonuje w polskim prawie.

– Rzecznik Bodnar podejmuje takie działania jak skarga na decyzję lubelskiego magistratu zakazującego przeprowadzenie Parady Równości w Rzeszowie, a jednocześnie, niemal w tym samym czasie, udziela w Muzeum Polin porady prezydentowi Rafałowi Trzaskowskiemu, jak skutecznie zakazać Marszu Niepodległości w Warszawie – mówi Jerzy Kwaśniewski. – To są działania, w których przeciętnemu obywatelowi trudno dostrzec jakąkolwiek konsekwencję, rzeczywistą aktywność na rzecz praw i wolności zwykłego człowieka.

Tymczasem niedawno Trybunał Konstytucyjny uznał, że przepis kodeksu wykroczeń, który pozwala – tak jak w przypadku łódzkiego drukarza – na karanie za umyślną odmowę świadczenia usług, jest niekonstytucyjny.

Rzecznik praw obywatelskich pytany przez nas o to, czy nie skręca w lewo, stanowczo zaprzecza. – To nie ja skręcam, tylko polityka – tłumaczy nam dr Bodnar. – Staram się robić wszystko to, co robiłby każdy ombudsman na moim miejscu, czyli dbać o przestrzeganie konstytucji, szczególnie w kontekście art. 32 ustawy zasadniczej. Polityka zaś skręcała w taki sposób, że niektóre tematy zaczęły być uznawane za stanowiące o orientacji politycznej i zaczęło dochodzić do polaryzacji napięć, jeśli chodzi o podejście do nich.

RPO wskazuje przy tym, że ostatni zakaz organizowania Parady Równości wprowadzono w 2005 r., później przez kilkanaście lat żaden z prezydentów miejskich ośrodków nie próbował w ogóle ingerować w kwestie takich zgromadzeń, aż do lat 2018 i 2019, kiedy w Lublinie, Gnieźnie i Rzeszowie władze wydały zakaz organizacji Marszu Równości. – Moim zdaniem jest to związane z tym, że temat LGBT stał się gorący z punktu widzenia bieżącej polityki. A ja, jeśli chodzi o prawa osób LGBT, prezentuję dość podobny pogląd na całej przestrzeni mojego życia zawodowego. Nigdy też rzecznicy praw obywatelskich nie ignorowali tego tematu. Doktor Janusz Kochanowski dla przykładu zasłużył się w podjęciu tematu ochrony praw osób transpłciowych – dodaje.

HOLOKAUST, UBECJA...

Poważną wpadkę dr Bodnar zaliczył latem 2017 r. Rzecznik praw obywatelskich, występując w TVP, skomentował wówczas bulwersujący artykuł lewicowego niemieckiego dziennika „Frankfurter Rundschau”, sugerujący polską współodpowiedzialność za Holocaust. Jednoznacznie dał wtedy do zrozumienia, że w jego ocenie naród polski jest współodpowiedzialny za zbrodnie przeciwko Żydom w czasie II wojny światowej.

– Nie ma żadnych wątpliwości, że za Holocaust byli odpowiedzialni Niemcy. Musimy pamiętać, że wiele narodów współuczestniczyło w jego realizacji. W tym, o czym mówię z ubolewaniem, także naród polski – stwierdził dr Bodnar. Po tych słowach domagano się jego dymisji. Rzecznik przeprosił, sugerując, że jego słowa w ferworze dyskusji „mogły zostać źle odebrane czy być niezrozumiałe dla widzów”.

Rzecznik praw obywatelskich ostro sprzeciwiał się też tzw. ustawie dezubekizacyjnej, która obniża emerytury i renty za okres „służby na rzecz totalitarnego państwa” od 22 lipca 1944 do 31 lipca 1990 r. – Od początku pojawienia się tzw. ustawy dezubekizacyjnej otrzymałem ponad tysiąc skarg, które przedstawiają różne sytuacje życiowe. Różne sytuacje osób, które, powiedziałabym, gdzieś zaplątały się w wir tej ustawy w sposób zupełnie niepotrzebny i zbędny, bądź też osób, które na przykład odziedziczyły renty po swoich mężach, czyli osoba, która nie żyje,

miała jakiś okres służby, była możliwość wyboru renty – przekonywał Bodnar, zapowiadając, że wystąpi o nowelizację tego prawa.

Na stronie internetowej RPO umieścił – bez wcześniejszej weryfikacji – wzruszający list 95-latką przedstawianego jako jeden z ostatnich powstańców warszawskich. „Pod koniec życia za przelaną krew dla Polski, za pracę zawodową i społeczną zostałem nagrodzony dezubekizacją. Czuję się tak, jakbym został spoliczkowany” – napisał mężczyzna, który po wojnie pracował jako lekarz w przychodni MSW. List został natychmiast nagłośniony przez lewicowo-liberalne media jako przykład tego, że dezubekizacja ma jakoby krzywdzić niewinnych ludzi. Tymczasem list był nieprawdziwy. Jego rzekomego autora i podobnych mu przepisy dezubekizacyjne nie objęły.

Rzecznikowi praw obywatelskich nie podobał się również np. projekt zmian w polskich paszportach, w których pojawiła się historyczna dewiza: „Bóg, honor, ojczyzna”. Adam Bodnar przeko-

RPO nie podobał się m.in. projekt zmian w polskich paszportach, w których pojawiła się dewiza: „Bóg, honor, ojczyzna”

nywał wówczas, że działając w imieniu oburzonych obywateli, oczekuje zmian, bo „paszport to dokument urzędowy, a nie deklaracja światopoglądowa. Powinien być więc w najwyższym stopniu – z każdego punktu widzenia – neutralny i techniczny i nie budzić sporów”.

Politycznego, mocno lewicowego zaangażowania w wystąpieniach Bodnara nie sposób się nie doszukiwać. Ostro krytykował m.in. przeprowadzane przez Prawo i Sprawiedliwość zmiany w Krajowej Radzie Sądownictwa, a wcześniej skarżył przygotowaną przez partię Kaczyńskiego nowelizację ustawy o Trybunale Konstytucyjnym. – Mamy kryzys praworządności i trend do upolitycznienia sądów – przekonywał podczas spotkania z adwokatami w Bydgoszczy. Nie szczędził też słów krytyki Kościołowi katolickiemu w Polsce, twierdząc w rozmowie z „Tygodnikiem Powszech-

nym”, poświęconej pedofilii, że przez lata Kościół czuł się bezkarny.

ACH, CI DEMOKRACI...

Internauci, politycy i dziennikarze zwrócili też uwagę, że Bodnar nie reagował równie stanowczo jak w przypadku zatrzymania podejrzanego o zabójstwo 10-latki wtedy, gdy podczas zatrzymania zabójcy prezydenta Gdańska Pawła Adamowicza mordercy złamano nos. Chodzi o Stefana W., który w styczniu tego roku, podczas finału WOŚP w Gdańsku, pchnął nożem Adamowicza.

Nie dopatrzył się też „tortur”, kiedy – co pokazały media – funkcjonariusze policji w kajdankach zespolonych prowadzili na przesłuchania Zygmunta Miernika, oskarżonego i skazanego ostatecznie na 10 miesięcy pozbawienia wolności za atakowanie tortem sędzi, która uznała, że Czesław Kiszczak nie odpowiada za zbrodnie przeciwko górnikom w KWW „Wujek”. W sprawie samej kary więzienia dla byłego opozycjonisty biuro RPO nie znalazło, jak ogłosiło, podstaw do wniesienia kasacji od wyroku.

Nie interesowała go też sprawa Pawła K., uczestnika jednej z miesięcznic smoleńskich, który w jej trakcie został kilkakrotnie pchnięty nożem przez Adriana C., przeciwnika PiS. Paweł K. zmarł w szpitalu. Zbrodnia miała charakter przestępstwa z nienawiści.

Inaczej już jednak zachowywał się w sprawach kontrademonstracji „smoleńskich”, organizowanych przez przeciwników rządu – aktywistów Komitetu Obrony Demokracji i radykalnej grupy działającej pod szyldem Obywateli RP. Demonstracje te często nie były – w świetle ustawy Prawo o zgromadzeniach – legalne, a ich uczestnicy usiłovali zakłócić krzykami i wyśpiewywanymi przez głośniki piosenkami przebieg uroczystości smoleńskich.

RPO zaniepokoiły za to działania policji wobec najbardziej agresywnych lewicowych zadymiarzy. Tylko raz – i to w sposób ogólny – ujął się za atakowanymi i znieważanymi przez lewicowych aktywistów osobami, które 10. dnia każdego miesiąca przychodziły na Krakowskie Przedmieście.

W maju 2017 r., po tym, gdy Adam Borowski, były działacz opozycji w czasie PRL, został zaatakowany przez bojówkarza Obywateli RP, RPO wydał oświadczenie: „[...] Niezależnie więc od dzisiejszych rozwiązań ustawowych oraz towarzyszących im kontrowersji należy dbać o kulturę zgromadzeń publicznych. Samo prawo

bowiem, nawet najbardziej precyzyjne, nie wystarczy, jeśli nie towarzyszy mu dobra wola oraz poszanowanie godności drugiego człowieka”.

– Dla mnie wprowadzenie regulacji w postaci rejestracji „zgrupowań cyklicznych” było po prostu ograniczeniem wolności zgromadzeń. I dlatego przeciwko tej instytucji protestowałem – tłumaczy „Do Rzeczy” dr Adam Bodnar. – To nie na tym powinno polegać, że jednemu organizatorowi daje się jakieś pierwszeństwo i tak naprawdę decyduje w tej sprawie wydaje osoba związana z rządem, czyli wojewoda. System obowiązujący do tej pory był wystarczający – składa się zawiadomienie i tyle. A jeśli ktoś organizuje demonstrację, to ktoś inny ma prawo zorganizować kontrdemonstrację, pod warunkiem że nie odbywa się ona na tej samej trasie, a policja chroni przed przemocą i zabezpiecza pokojowy przebieg obu demonstracji.

POTRAFIŁ PŁYNAĆ POD PRĄD

Czy jednak obecnego rzecznika praw obywatelskich można oceniać jedynie przez pryzmat politycznego skrzywienia w lewo? Absolutnie nie. Doktor Adam Bodnar niejednokrotnie podejmował też interwencje w sprawach, które pły-

nęły pod prąd interesom jego środowiska politycznego. Jako RPO (a wcześniej szef Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka) interweniował np. po publikacji tygodnika „Do Rzeczy” w sprawie przewlekłego, trwającego ponad trzy lata aresztu Macieja Dobrowolskiego, kibica Legii Warszawa oskarżonego – wyłącznie na podstawie zeznań jednego, niezbyt wiarygodnego świadka koronnego – o handel narkotykami. To interwencja Bodnara i masowa akcja społeczna #UwolnicMacka skłoniły sąd do uchylecia decyzji o areszcie.

Zajął się też opisywaną przez „Do Rzeczy” sprawą molestowania seksualnego pracownic internatu we Włoszczowie i działań sądu, który w kuriozalnych okolicznościach uniewinnił dyrektora lokalnej szkoły i byłego wpływowego działacza PSL. Po interwencji Bodnara doszło do wznowienia procesu, po którym mężczyzna został skazany.

Szefując HFPC, bronił też przedsiębiorców przetrzymywanych w okresie zarówno rządów PiS, jak i PO w więzieniach „aresztach wydobywczych” – interweniował m.in. w głośnej sprawie Bestcomu, gdy właściciele tej dochodowej firmy na wiele miesięcy niesłusznie trafili do aresztu, a działania prokuratury wykończyły przedsiębiorstwo.

Gdy za kadencji prezydenta Bronisława Komorowskiego znolizowano ustawę o zgromadzeniach, Helsińska Fundacja Praw Człowieka i sam Bodnar weszli wówczas w ostry spór z odchodzącym prezydentem, krytykując go za naruszanie praw obywatelskich.

Niedawno wziął w obronę podopiecznych Miejskiego Ośrodka Pomocy Społecznej w Szczecinie, żyjących w tragicznych warunkach w pustostanie, pełnym pluskwów i szczurów, czy komórce piwnicznej.

Wspierał też spadkobierców osób, którym odmówiono rekompensaty za mienie zabużańskie, i złożył skargę kasacyjną na decyzję sądu, który ubezwłasnowolnił częściowo niepełnosprawną intelektualnie matkę dwojga dzieci.

– Miałem spore oczekiwania wobec dr. Adama Bodnara, z którym w wielu sprawach współpracowałem i którego cenię, licząc, że będzie kontynuatorem pracy dr. Janusza Kochanowskiego, najlepszego dotąd rzecznika praw obywatelskich – mówi Marcin Wątrobiński, prawnik. – Niestety jednostronne zaangażowanie ideologiczne dr. Bodnara, podejmowanie przez niego politycznie zabarwionych działań powodują, że w tej beczie miodu, którą jest jego rzecznikowanie, jest też duży garniec dziegiu. © Wszelkie prawa zastrzeżone

Kto poparł dr. Adama Bodnara, gdy skrytykował działania policji podczas zatrzymania podejrzanego o morderstwo 10-latk?

PROF. MONIKA PŁATEK, prawnik, feministka (w programie #RZECZOPOPOLITYCE): „To jest kraj Tomasza Komendy. To jest kraj Igora Stachowiaka. To jest kraj ludzi zabijanych przez policję i kraj ludzi przetrzymywanych niewinnie w więzieniach. Tamci się też przyznawali. Jeżeli jesteśmy torturowani, to się przyznajemy”.

SĘDZIA BARBARA PIWNIK, była minister sprawiedliwości w rządzie SLD, w Onecie o Jakubie A.: „Mamy do czynienia z młodym studentem psychologii, który funkcjonował do tej pory w społeczeństwie tak, że nie zwracał na siebie uwagi, nie przejawiał agresywnych zachowań”.

PROF. ANDRZEJ RZEPIŃSKI, były prezes Trybunału Konstytucyjnego (w programie Tomasza Lisa): „Policjanci potraktowali człowieka z Mrowin w sposób nieludzki. To nie jest pokaz siły państwa cywilizowanego. To jest pokaz w stylu rosyjskim. [...] Kajdanki zespolone w przypadku Jakuba A. zupełnie nie były potrzebne. To wyglądało tak, że oskarżony został przeniesiony jak kawał mięsa z jednego miejsca do drugiego”.

PROF. ANDRZEJ ZOLL, były RPO i były przewodniczący TK (w „Faktach po Faktach” TVN24): „W pełni się zgadzam ze stanowiskiem rzecznika praw obywatelskich. [...] Sam sposób

założenia kajdanek był elementem wskazującym na znęcanie się. [...] Co szkodziło temu człowiekowi dać się ubrać”.

PROF. EWA ŁĘTOWSKA, była sędzia TK i NSA, w rozmowie z Onet.pl: „RPO, kwestionując sposób zatrzymania osoby podejranej o okrutną zbrodnię, robi to, do czego go zobowiązuje konstytucja, na którą przysięgał, i jego ustawowe kompetencje, które musi wykonywać. Opluwanie, szczucie i kłamstwa co do rzeczywistego znaczenia jego działań są miarą tego, na jakim ugorze działa. Policja ma prawo zatrzymywać podejrzanych i stosować przy tym adekwatne środki. Nie ma potrzeby wyprowadzania podejrzanych w bieliznie i boso ani stosowania nadmiarowych środków przymusu bezpośredniego, czyli i kajdanek zespolonych, i chwytu obezwładniającego, wobec osoby, która nie stawia oporu”.

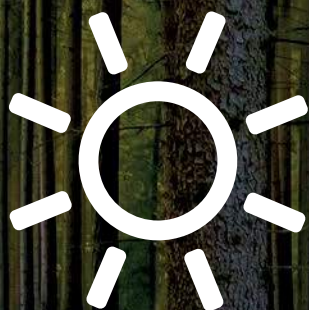
PROF. ZBIGNIEW CWIĄKALSKI, były minister sprawiedliwości w rządzie Donalda Tuska: „RPO zabiega o to, by podstawowe prawa podejrzanego były zachowane. A wszyscy wiemy, że sposób zatrzymania Jakuba A. był brutalny, prowadzono go bez butów, bez spodni... To było upokarzające, tym bardziej że ten człowiek nie stawiał przecież oporu. Były więc warunki do tego, by normalnie zdążył się ubrać i być normalnie wyprowadzony”. (ww)

CZY WIESZ, ŻE...

**PROMIENIE SŁONECZNE
DOCIERAJĄ DO ZIEMI
W CIĄGU OŚMIU MINUT.**

A CZY WIESZ...

**GDZIE JUTRO ZAŚWIECI
SŁOŃCE?**



interia **POGODA**



SPRAWDZA SIĘ!

SPRAWDŹ POGODĘ NA INTERII! PROGNOZA NA **25 DNI** DLA **3 MLN** MIEJSC

Senatem w PiS



Kamila Baranowska

Opozycja nie mówi dziś o wygraniu jesiennych wyborów, lecz skupia się głównie na wyborach do Senatu. Tam upatruje swojej szansy na pokonanie PiS. Pomóc w tym mają samorządowcy

Platforma Obywatelska, ogłaszając powołanie swojego sztabu wyborczego, nazwała go sztabem Koalicji Obywatelskiej i Samorządowców. To świadome i czytelne podkreślenie roli, którą ci ostatni mają do odegrania w tej kampanii. Mają pomóc opozycji odebrać PiS większość. Przynajmniej w Senacie.

Dlaczego tam? W wyborach do Senatu od 2011 r. obowiązują jednomandatowe okręgi wyborcze. Oznacza to, że w każdym ze stu okręgów tylko jeden kandydat, który uzyska najwięcej głosów, obejmuje senatorski mandat. Opozycja planuje więc wystawić w każdym okręgu jednego wspólnego kandydata, który cieszyłby się rozpoznawalnością i popularnością w da-

nym regionie. Na przykład popularnego prezydenta, burmistrza czy radnego.

Taki plan zarysował w swoim przemówieniu podczas obchodów rocznicy 4 czerwca były premier Donald Tusk, stawiając sprawę jasno – wygrana do Senatu, nawet jeśli wydaje się mało znacząca (większość sejmowa może odrzucać poprawki Senatu), ma nie tylko uprzykrzyć życie wygranym, lecz także być początkiem końca PiS.

– To są ludzie, którzy wiedzą, jak dzisiaj wygrywać – mówił o samorządowcach Tusk – Proszę was wszystkich, abyście poszli śladem naszych bohaterów z samorządu terytorialnego, żebyście przekonali się, że w wyborach do Senatu możemy im zrobić powtórkę z rozrywki z 1989 r. – mówił, przywołując słynne czerwcowe wy-



W sztabie wyborczym Platformy na nadchodzące wybory parlamentarne znaleźli się również samorządowcy, m.in. prezydent Łodzi Hanna Zdanowska (pierwsza z prawej) oraz prezydent Sopotu Jacek Karnowski (pierwszy z lewej) FOT. MATEUSZ WŁODARCZYK/FORUM

bory. – Mogłoby się komuś wydawać, że to wcale nie takie ważne, ale to był moment, kiedy ówczesny przeciwnik zrozumiał: ta gra jest skończona – mówił Tusk.

Tusk, kreśląc jeszcze długo przed wyborami do Parlamentu Europejskiego scenariusze swojego powrotu do polskiej polityki, chciał się oprzeć właśnie na związanych i sympatyzujących z Platformą samorządowcach. I choć po wyborach europejskich i wysokiej wygranej PiS musiał nieco zweryfikować swoje zamiary, to nadal pokłada nadzieje w środowisku samorządowców z jej trójmiejskimi przedstawicielami na czele (prezydent Gdańska Aleksandra Dulciewicz i prezydent Sopotu Jacek Karnowski).

Zwłaszcza że słowa o tym, iż „samorządowcy to są ludzie, którzy wiedzą,

jak dzisiaj wygrywać”, wielu polityków Platformy uznało za przytyk pod adresem lidera PO Grzegorza Schetyny, który – w domyśle – wygrywać nie umie.

Jeszcze bardziej wprost ujął to kilka dni temu sympatyzujący z Tuskiem prezydent Sopotu.

– Ogromnym sukcesem Grzegorza Schetyny było utworzenie Koalicji Europejskiej. Jednak to samorządowcy wiedzą, jak wygrywać wybory. Chcemy nie tylko dać ludzi do Senatu, ale też przekazać know-how, jak wygrać, bo mam wrażenie, że tego opozycji brakuje – powiedział cytowany przez „Gazetę Wyborczą” Jacek Karnowski podczas jednego z paneli dyskusyjnych.

Grzegorz Schetyna przystał na propozycję wzięcia samorządowców

na listy, uznając, że nie ma zbyt wiele do stracenia. Wręcz przeciwnie, w razie przegranej w Senacie będzie mógł się podzielić odpowiedzialnością z Tuskiem, który publicznie nawoływał do takiego rozwiązania. Wybory do Senatu stały się planem awaryjnym Platformy. Wygrana w Senacie złągodziłaby nieco, choćby wizerunkowo, ewentualną przegraną w Sejmie. Jednak ten plan ma przynajmniej kilka zasadniczych słabości, które stawiają jego powodzenie pod dużym znakiem zapytania. I to pomimo sensacyjnych plotek, rozpowszechnianych przez samych polityków PO, o badaniach, które dają zjednoczonej opozycji, wspieranej przez samorządowców, nawet 70 ze 100 mandatów w Senacie.

1. CZY OPOZYCJA SIĘ ZJEDNOCZY?

Trudno rozmawiać o wspólnych kandydatach do Senatu, jeśli wciąż nie wiadomo, czy opozycji w ogóle uda się dogadać co do wspólnego startu. Wciąż nie zapadły decyzje co do tego, czy PSL pójdzie do wyborów razem z Platformą i czy nie powstanie osobny blok lewicowy z SLD na czele.

To by oznaczało, że plan wyznaczania wspólnych kandydatów we wszystkich okręgach do Senatu mocno się skomplikuje. Ludowcy coraz bardziej przychylają się do startu bez Platformy. Do niedawna wszyscy, z kierownictwem Platformy włącznie, brali to za podbijanie stawki przed rozmowami koalicyjnymi, dziś po obu stronach widać wzajemne zniechęcenie tą przeciągającą się niepewnością.

Ludowcy stoją na stanowisku, że w eurowyborach Koalicję Europejską zgubiły zwrot w lewo i światopoglądowy radykalizm. Dlatego jako warunek postawili Platformie pozbycie się z koalicji SLD i innych lewicowych przybudówek. Schetyna odpowiedział umieszczeniem w sztabie wyborczym Barbary Nowackiej. Dla czego ludowcom tak bardzo przeszkadza koalicja z SLD? Kiedy jeszcze niedawno, przed wyborami samorządowymi, sondowali wśród wyborców to, jak zostałaby przyjęta koalicja PSL-SLD, z wewnętrznych badań wyszło, że bardzo dobrze. Okazuje się, że wyborcy PSL o wiele większą sympatią darzą SLD niż Platformę. – Stary SLD, który reprezentuje Czarzasty, jest przewidywalny, ale jaką mamy gwarancję, że na finiszu kampanii nie wyjdzie taka pani Żukowska [Anna Maria Żukowska, rzeczniczka SLD – przyp. red.] i nie walnie czegoś o LGBT czy innej paradzie równości – tłumaczy nasz rozmówca z PSL.

■ Ludowcy, których pytamy o rozmowy dotyczące Senatu, odpowiadają, że takich rozmów jeszcze w ogóle nie było. Deklarują też, że jeśli w wyborach do Sejmu pójdą osobno, to i do Senatu wystawią własnych kandydatów.

Takich deklaracji nie składa Włodzimierz Czarzasty z SLD. Mówi nam jedynie, że w żadnych rozmowach na temat Senatu nie brał jeszcze udziału i nic mu nie wiadomo, by którykolwiek z siedmiu SLD-owskich prezydentów miał kandydować do Senatu.

2. KTO ZECHCE KANDYDOWAĆ?

To kolejny problem z samorządowcami na listach do Senatu – nie każdy popularny prezydent czy burmistrz zechce porzucić swoją funkcję na rzecz Senatu. – Część z nas stanie przed bardzo dramatyczną decyzją, czy nie dać sobie i nie pójść na tę listę wyborczą do Senatu, także Sejmu. Jest to dla nas dość dramatyczna decyzja, bo jesteśmy rok po wyborach bezpośrednich do naszych miast czy gmin. Ale za rok tych samorządów możemy już nie mieć – mówił prezydent Sopotu Jacek Karnowski w TVN24. Pytanie, ilu z nich się na to zdecyduje i jak mocne to będą nazwiska. Funkcja w samorządzie to realna władza, bycie senatorem daje dużo mniejszy wpływ na rzeczywistość i często sprowadza się do głosowania tak, jak wskazuje partia. Spekuluje się m.in. o Jacku Karnowskim, prezydencie Sopotu, czy Zbigniewie Frankiewicz, prezydencie Gliwic, ale także o Hannie Gronkiewicz-Waltz czy Hannie Zdanowskiej, która właśnie została członkiem sztabu wyborczego. Nikt z nich nie potwierdził jednak startu. Jacek Jaśkowiak, prezydent Poznania, od razu zapowiedział, że nigdzie kandydować nie zamierza. – W Poznaniu, ale także w innych dużych miastach, start prezydentów nie jest chyba konieczny. Jest natomiast wiele regionów, w których – biorąc pod uwagę wyniki Koalicji Europejskiej w eurowyborach – wsparcie lokalnych autorytetów na pewno się przyda. To przede wszystkim tam musimy wybrać samorządowców, którzy mają na swoim koncie sukcesy oraz spore doświadczenie i są w stanie przekonać wyborców do proponowanej przez nas wizji Polski – stwierdził w rozmowie z „Gazetą Wyborczą”.

Tyle że – jak uważa senator Jan Maria Jackowski z PiS – wskazanie popularnego samorządowca nie gwarantuje sukcesu. – To nie jest takie proste, zwłaszcza w mocno rozproszonym terenie. Bo

popularność w jednym mieście czy powiecie nie musi przełożyć się na popularność w całym okręgu. Tu nie ma prostego przelicznika, że skoro opozycja wystawia wspólnego kandydata, to on zbierze głosy, które w innych okolicznościach rozłożyłyby się pomiędzy trzech innych – wskazuje.

3. MIT APOLITYCZNYCH SAMORZĄDOWCÓW

– Nie wiem, na czym miałyby polegać wartość dodana takich ludzi jak Zdanowska, Karnowski czy Trzaskowski, którzy są wzięci z jądra Platformy i których trudno przedstawiać jako apolitycznych działaczy lokalnych – mówi Radosław Fogiel ze sztabu PiS, tłumacząc, że sprawa umieszczania na listach do Senatu samorządowców nie spędza sztabowcom jego partii snu z powiek. – Groźna jest coraz bardziej widoczna próba ustawienia samorządu w ostrej kontrze do rządu i władzy centralnej, ponieważ to szkodzi i samorządowi, i państwu jako całości – dodaje.

Rzeczywiście pomysł, aby popularność lokalnych polityków przekuć na sukces ogólnokrajowy, nie jest nowy. Próbował już tego prezydent Wrocławia Rafał Dutkiewicz, który w 2011 r. powo-

Część polityków PO obawia się, że będzie zmuszona ustępować miejsca koalicjantom, a teraz dodatkowo jeszcze samorządowcom

łał ruch Unia Prezydentów – Obywatele do Senatu. Pomysł był podobny – popularni prezydenci wielkich miast mieli wskazywać własnych kandydatów do Senatu i pomagać im w kampanii. Mimo hucznych zapowiedzi skończyło się na zaledwie jednym mandacie dla wiceprezydenta Wrocławia Jarosława Obremskiego. Podobna filozofia przyświecała też wcześniejszemu projektowi Dutkiewicza i Kazimierza Michała Ujazdowskiego – Polsce XXI, przekształconej później w Polskę Plus. Tu również większych sukcesów nie odnotowano.

Dlaczego popularność lokalna niekoniecznie przekłada się na tę ogólnokrajową? Tak tłumaczył to w ostatnim wywiadzie dla „Do Rzeczy” Paweł Szefernaker,

wiceszef MSWiA. – Najnowsza historia Polski pokazuje, że często samorządowcy, którzy od lat rządzą w swoich regionach, gdy biorą się do polityki krajowej, nie odnoszą sukcesów. Najlepszy przykład to niezwykle skuteczny prezydent Rzeszowa Tadeusz Ferenc, który rządzi tam nieprzerwanie od kilkunastu lat. Jednocześnie dwukrotnie startował w wyborach do Senatu i nie zdobywał mandatu. Polacy zupełnie inaczej podchodzą do wyborów samorządowych i parlamentarnych. W wyborach parlamentarnych bardziej kierują się sympatią polityczną do danej partii niż do danego człowieka, w tym wypadku samorządowca – mówił, dodając, że nie należy zbyt precyzyjnie akurata tego pomysłu opozycji.

Inny podobny przykład to Artur Balazs, bardzo popularny w swoim regionie polityk, który w 2011 r. nie dostał się do Senatu. Startował z poparciem PiS w okręgu obejmującym część województwa zachodniopomorskiego, które na PiS nie głosuje. Na Balazsa też nie głosowało właśnie przez partyjny sztyl. Osiągnął dopiero trzeci wynik na czterech kandydatów.

4. KTO STRACI MANDAT?

Prezydent Sopotu Jacek Karnowski od razu 4 czerwca zapewniał, że celem samorządowców nie jest odbieranie miejsc w Senacie obecnym senatorom Platformy. Mówił, że trzeba celować w te miejsca, gdzie można zdobyć dodatkowe mandaty. Dziś Platforma w Senacie ma ich 34, a PiS 64, jeden mandat ma PSL, cztery mandaty mają senatorowie, którzy startowali z własnych komitetów (m.in. Grzegorz Bierecki i Marek Borowski). – Nikt o zdrowych zmysłach nie będzie szedł na Pomorze tam, gdzie jest Borsuk czy Sławek Rybicki, ale myślimy o tych miejscach, gdzie nie ma senatorów PSL czy PO, a na Pomorzu są dwa takie miejsca na sześć – przekonywał Karnowski.

To dobrze oddaje zmartwienia części polityków PO, którzy obawiają się, że tak jak europosłowie PO będą zmuszeni ustępować miejsca koalicjantom czy teraz dodatkowo jeszcze samorządowcom. Po wyborach do europarlamentu partyjne doły miały sporo pretensji pod adresem Grzegorza Schetyny, więc tego typu decyzje mogą wywoływać dodatkowe napięcia wewnątrz partii, co z kolei może przekładać się na zaangażowanie poszczególnych działaczy i struktur terenowych w kampanię wyborczą.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

HISTORIA
DO
RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



**ZDOBYŁEM MONTE CASSINO!
PORUSZAJĄCY WYWIAD
Z ŻOŁNIERZEM ARMII ANDERSA**

Piotr Zychowicz – **Wołyn zdradzony**
Szokujące dokumenty podziemia z Galicji Wschodniej
Sławomir Cenckiewicz – **Berling, won z pomnika!**
Mikołaj Iwanow – **Luksusowe życie Stalina**
Sławomir Koper – **Bestialskie zabójstwo żony magnata**
Gerald Posner – **Diabelskie eksperymenty dr. Mengelego**
Marcin Bartnicki – **Tajemnica zatonięcia „Kurska”**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

Kogo jeszcze obchodzi Smoleńsk?



FOT. WOLICIEH PACIENECZ/PAP



Rafał A. Ziemkiewicz

Katastrofa smoleńska przechodzi z wolna do pamięci prywatnej. O prawdę dopominają się już tylko rodziny

Wyrok skazujący Tomasza Arabskiego, byłego szefa Kancelarii Prezesa Rady Ministrów, za tragiczne w skutkach zaniechania w organizacji feralnego lotu do Smoleńska 10 kwietnia 2010 r. na 10 miesięcy więzienia w zawieszeniu wzbudził zdumiewająco małe zainteresowanie w mediach. Jeszcze kilka lat temu byłaby to okazja, by po raz kolejny podkreślić emocje – dziś najwyraźniej już one wygasły i ani media, ani mające na nie przemożny wpływ polityczne plemiona nie obiecują sobie po sprawie niczego więcej. A merytorycznym wyjaśnianiem

okoliczności tragedii, do czego wyrok ten również byłby niezłą okazją, nikt nie jest zainteresowany.

URZĘDNIK JAK Z BAJKI

Do nielicznych wyjątków należy publikacja Renaty Grochal w „Newsweeku”. Publikacja kuriozalna – jak to w „Newsweeku”, od czasu, gdy Tomasz Lis zamienił szanowany niegdyś tytuł w narzędzie prymitywnej propagandy i promocji swego wybujałego ego. Grochal, opierając się na opiniach osób, takich jak Aleksandra Dulkiwicz, Jacek Karnowski (prezydent Sopotu) czy ks. Kazimierz Sowa, kreuje Arabskiego na męczennika i ofiarę zemsty PiS. Wszystko według odwiecznych wzorców propagandy, stosownych na każdą okazję i dla każdej strony. Jest dużo wyciskania łez: skazany straci teraz pracę, co będzie z jego rodziną i dziećmi, poza tym to taki dobry człowiek, głęboko wierzący (tu wpłata red. Grochal bajkę o tym, jak to Arabski właśnie doprowadził do zawarcia przez Tuska w 2005 r. ślubu kościelnego z od wielu lat „cywilną” żoną, bo ponoć po-

stawił to sobie „za punkt honoru”; myśl, że chęć Tuska, fotografującego się wtedy z rodziną pod krzyżem, by zapunktować przed nadchodzącymi wyborami, miała coś do rzeczy, autorce do głowy nie przychodzi). Jest też rozdzierająca opowieść o tym, jak bardzo poświęcał się Arabski i cierpiał po Smoleńsku, pilnując w Moskwie sekcji zwłok, podczas gdy taki na przykład Macierewicz szybko ze Smoleńska „uciekł”. Jakim skrupulatnym był urzędnikiem, jak dobrym szefem, i z jaką solidarnością i wsparciem prostych gdańszczan spotyka się podczas każdego spaceru. Właściwie brak tylko wątku miłości do zwierząt.

Jednego, oczywiście, pani Grochal nie zauważyła. Że Arabski został skazany nie przez jakąś PiS-owską „czerezwyczajkę”, lecz przez gdański sąd, którego o sympatię dla rządu, a tym bardziej o wykonywanie jego poleceń posądzać nie ma żadnego powodu. I że skazanie to było wynikiem uporu, z którym o sprawiedliwość dobijała się od dziewięciu lat grupa prywatnych osób, rodzin ofiar tragedii. Prokuratura bowiem – także ta zdaniem tygodnika

„PiS-owska”, nieustannie oskarżana o „realizowanie linii partii” – postępowanie przeciwko Arabskiemu kilkakrotnie umorzyła. W takiej sytuacji snucie spiskowych teorii o zemście PiS możliwe jest tylko wtedy, gdy się, jak red. Grochal, przemawia do publiczności chorobliwie nienawidzącej PiS, która z całą pewnością nie będzie oskarżeń weryfikować ani przyglądać się ich logice.

Jeśli mimo to warto pochylić się nad kuriozalnym tekstem, to dlatego, że w tle tych „duszoszczepielności” widać coś bardzo charakterystycznego. W gruncie rzeczy „Newsweek” nie próbuje zaprzeczyć stwierdzeniu sędziego, że to do Arabskiego należało zadbać o sprawdzenie elementarnych warunków bezpieczeństwa lotu i że nie dopełnił on obowiązków. Broni go argumentem, że gdyby nie dał samolotu prezydentowi, „byłaby karczemna awantura” – oczywiście, kłamliwie przedstawiając okoliczności wcześniejszych prób upokorzenia prezydenta, jak i okoliczności lotu do Smoleńska premiera Tuska trzy dni przed tragedią. No tak, może Arabski nie powinien, ale „po prostu chciał mieć święty spokój”.

A poza tym – i to argument mający zamknąć całą dyskusję – to przecież nie tylko w KPRM należy szukać winy, lecz także w Kancelarii Prezydenta, i w nieistniejącym już 36. specjalnym pułku lotniczym. A tu tymczasem skazali tylko Arabskiego, a na przykład Jacek Sasin został niedawno awansowany.

„Newsweek” nie wzywa jednak bynajmniej do dalej idących rozliczeń, nie stwierdza, jak powinien to zrobić uczciwy komentator – zaniedbania w KPRM to jedno, ale pójdźmy dalej, wyjaśnimy wszystko, do końca, rozliczmy się z „tupolewizmem” jako takim. Nie, obok ubolewania, że winni są wszyscy, czyli nikt, a akurat na jednego pechowego Arabskiego się zle rodziny („przeważnie prawicowe”) zawzięły, mamy tu raczej ton: zostawmy już, po co to drążyć. Czy może nawet pogroźki: zostawcie Arabskiego, bo i do „waszych” jest się za co dobrać.

ZANIECHANIE

I, szczerze mówiąc, zostawiając już na boku wynurzenia „Newsweeka” – zachowanie PiS daje prawo do takiego stawiania sprawy. Fakt, że gdyby nie upór kilku osieroconych rodzin, sprawa odpowiedzialności za lot została już dawno skutecznie „zamiciona”, może zdumie-

wać, skoro przecież tragedia w Smoleńsku była tak eksponowana w narracji PiS przez wiele kolejnych lat. I tak ważne w przetrwaniu przez PiS ośmiu z rzędu wyborczych klęsk okazały się emocje wywołane rozmiarem tragedii oraz upokorzeniem Polski, nie wiadomo już nawet, czy bardziej tym, że „państwo z dykty” odwiecznym „jakoś to będzie” naraziło na śmierć Głowę Państwa i prawie stu wybitnych obywateli, szefów ważnych urzędów, organizacji społecznych i sił zbrojnych – czy tchórzostwem i nieudolnością, jaką jego władze z premierem na czele wykazały się potem, godząc się na upokorzenia pseudośledztwa z cynicznym uzasadnieniem premiera Tuska „wojny przecież Rosji nie wypowiemy”.

Jednak emocje te PiS, za sprawą Antoniego Macierewicza i jego grupy, skanalizował w dociekania dotyczące rzekomego zamachu. Latami brnięto w wyszukiwanie kolejnych miejsc domniemyanych wybuchów, w ocierające się o groteskę eksperymenty, niczego niebędące w stanie dowieść. Przy czym ci, którzy choćby w wątpliwy sposób forsowali radykalne

obowiązkiem państwa zrobienie wszystkiego, by ten zabójczy chaos nigdy więcej się nie powtórzył (skądinąd wiemy, że już co najmniej kilka razy powtórzył się także za obecnej władzy – na szczęście bez tak tragicznych skutków).

Trudno wyjaśnić to zaniechanie inaczej niż świadomością liderów PiS, że wyjaśnienie może być bolesne nie tylko dla przeciwników, lecz także dla własnych działaczy – a co gorsza, naruszyć założycielski mit Lecha Kaczyńskiego.

PiS rządzi już prawie całą kadencję, miał wszystkie możliwości, by zamiast brnąć w imitowanie wybuchów termobarycznych raz na zawsze wyjaśnić wszystkie okoliczności narodowej tragedii, te, do których zbadania wszystkie niezbędne ślady i dowody znajdują się w kraju. Jeśli tego nie zrobił, to widocznie tego nie chce. Dlaczego nie chce? Jeśli ktoś widzi inne rozwiązanie zagadki niż to, że „tupolewizm” okazuje się zjawiskiem ponadpartijnym – proszę je wskazać. Ja nie widzę.

SMOLEŃSK „PRZYSYCHA”

Ostatecznie rana smoleńska, jak w sławnych słowach Żeromskiego, „zabliźnia się błoną podłości”. Radykalne skrzydło PiS wierzy, że Macierewicz udowodnił zamach ponad wszelką wątpliwość, i na kwestionowanie tej „prawdy” reaguje wściekłością i wykluczeniem z rozmowy, podobnie jak na pytanie, dlaczego w takim razie PiS zachowuje się tak, jakby jego „dowodów” nie było, i sam Komendant publicznie mówi, że „prawdy nie poznamy pewnie nigdy”. Opozycja ma swoją narrację – wszystkiemu winne same ofiary, na czele ze zniechwalonymi Kaczyńskimi, tym umarłym i tym żyjącym, czego „dowodem” opowiadane w kółko brednie o rzekomym nagraniu „ostatniej rozmowy” braci.

I tak, Smoleńsk powoli „przysycha” – przynajmniej do czasu, gdy w ramach ewentualnej wojny o sukcesy wyciągnie go grupa Macierewicza, oskarżając o zatajanie prawdy o zamachu mniej radykalne frakcje. O prawdę dopominają się już tylko rodziny; jak wiele innych polskich tragedii tak i ta przechodzi z wolna do pamięci prywatnej. Symboliczny i odosobniony wyrok na Arabskiego, jeśli utrzyma się w kolejnych instancjach, pozostanie raczej symbolem trwającego nadal upadku państwa polskiego niż czymkolwiek zwycięstwem.

Gdyby nie upór kilku osieroconych rodzin, sprawa odpowiedzialności za lot została już dawno skutecznie „zamiciona”

hipotezy, byli politycznymi decyzjami wystawiani na front i nagłaśniani w panujących nad elektoratem PiS mediach, a ci, którzy chcieli widzieć sprawy bardziej złożonymi, wyciszani i odsuwani – tak na przykład zmarnowano inicjatywę „konferencji smoleńskich”, podczas których naukowcy z różnych dziedzin niezależnie, bez politycznego założenia, rozpatrywali rozmaite aspekty tragedii.

Tymczasem tego, co leżało na wierzchu: nawarstwionych latami zaniedbań, podejrzanych okoliczności rozdzielania wizyt i organizacji lotów, haniebnych decyzji oficjalnych przedstawicieli państwa w Moskwie, „kryjących” oczywiście kłamstwa Rosjan – tego w ogóle PiS nie tknął. Chociaż wydawałoby się, że to idealny materiał nie tylko do zgrillowania Tuska i jego ekipy na skwarę, lecz także być może nawet postawienia go przed sądem. I choć wydawałoby się oczywistym

Alarm zamiast rabanu

Paweł Milcarek i Tomasz Rowiński – dwóch autorów z pisma „Christianitas” – postanowili zadać wiele niełatwych dla polskich katolików pytań. Niekiedy mało przyjemnych, ale niezbędnych do dyskusji na temat przyczyn powolnej laicyzacji Polski, Europy i zachodniego świata. Biją na alarm, dociekając, jakie mogą być środki do pokonania kryzysu. To pytania odległe od naiwnego zachwyty nad papieżem Franciszkiem w stylu portalu Deon, ale i oficjalnego optymizmu „Przewodnika Katolickiego” czy redakcji katolickiej w TVP. Paweł Milcarek i Tomasz Rowiński poprosili o opinie



Piotr Semka

Bardzo chciałbym, aby książkę „Alarm dla Kościoła. Nowa reformacja?” przeczytali polscy biskupi. Nie jest to lektura dla katolików miła, ale na pewno niezbędna do podjęcia próby zatrzymania tego, co niszczy Kościół od wewnątrz

dziwięciu księży i zakonników oraz pięciu świeckich publicystów. Nazwiska wzbudzają zainteresowanie: o. Dariusz Kowalczyk, o. Jacek Salij, ks. dr Jarosław Tomaszewski, ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski, a po stronie świeckich – Grzegorz

Górny, Tomasz Terlikowski i nasz redaktor naczelny Paweł Lisicki.

PIĘĆ LAT CIERPLIWOŚCI

Środowisko kwartalnika „Christianitas” zawsze miało ambicje bycia głosem



Pojawienie się jednak nowego papieża Franciszka Paweł Milcarek i jego pismo przyjęli z dobrą wolą i brakiem uprzedzeń. Przez pewien czas przestrzegali swoich czytelników, by rozróżniać to, co nowy pontifex mówi, od tego, co z jego nauczania nagłaśniane było w liberalno-lewicowych mediach. Ta dobra wola z czasem się jednak zderzała z coraz większą liczbą wypowiedzi i faktów bulwersujących. Autorzy dokładnie określają we wstępie moment zakończenia prac nad książką – koniec stycznia 2019 r. – prawie sześć lat po inauguracji pontyfikatu papieża Franciszka.

„Prace nad tą książką kończymy, gdy jest jeszcze bardzo świeża pamięć Światowych Dni Młodzieży w Panamie. W mediach pełno było uśmiechniętych twarzy, ludzie tańczyli, śpiewali, radośnie prezentując swoje chrześcijaństwo. Światowe Dni Młodzieży dla wielu osób na świecie są znakiem pogodnego Kościoła katolickiego, znakiem przekazywanym całemu światu jako światło nadziei, »wiosny Kościoła«. Jednak gdy to świętowanie się kończy, wszyscy, prędzej czy później, wracamy do codziennego życia Kościoła, które jest życiem najważniejszym” – piszą autorzy.

A do tego codziennego życia wspólnoty wiernych przenikają obecnie coraz bardziej niepokojące pomruki, wstrząsy i obawy. „Niestety, nie są to jedynie zwykłe napięcia między Kościołem i światem. Teraz dzieje się to w samym Kościele, wśród ludzi przyznających się do wiary, a zgorszenia i niejasności zdają się przychodzić nie tylko z zewnątrz Kościoła”.

Gdy Milcarek i Rowiński pisali ten wstęp do książki, nie wiedzieli jeszcze, jak duży będzie wstrząs wywołany filmem „Tylko nie mów nikomu” braci Sekielskich.

Teraz, gdy opadło już nieco napięcie związane z filmem o pedofilii, warto sięgnąć po „Alarm dla Kościoła”, aby przejrzeć słabe strony życia religijnego w Polsce i na świecie. Nie jest to lektura miła, ale na pewno niezbędna do podjęcia próby zatrzymania tego, co niszczy Kościół od wewnątrz.

Autorzy nie omijają pytań o papieża, co w przypadku publicystów zaliczających się do „archipelagu Ortodoksji” musiało być niełatwym wyborem.

„Po tym, jak najpierw pocieszano się, że na przykład wiele »wieści z Rzymu« to jakieś przekręcenia lub nieszczęśliwe sformułowania Franciszka, nic więcej –

obecnie mało kto tak to widzi. Powstaje podejrzenie, że słowa i gesty układają się w całość, której nie zdradza się przed czasem, by nie obudzić silnych protestów [...]. To paradoks: pontyfikat Franciszka, którego początek dawał Kościołowi wiele nadziei i wciąż jeszcze wywołuje dobre emocje u niejednego katolika – a i u wielu pozostających poza Kościołem – stał się znakiem jego licznych bolączek. [...] Dlatego napisaliśmy z naszymi ekspertami »Alarm dla Kościoła«, ponieważ żyjemy w czasach poważnego kryzysu katolickiej wiary, moralności, kultury, duszpasterstwa”.

Milcarek i Rowiński we wstępie stawiają ważną tezę: „Obecny kryzys chrześcijaństwa katolickiego rozgrywa się w świecie, który nie tyle chrześcijaństwa nie zna, co raczej traktuje je jako coś, co może dowolnie modelować, odrzucając to, co mu nie odpowiada”.

Ilustrację tej niezwykle trafnej tezy przyniosła niedawna profanacja wizerunku Matki Bożej Jasnogórskiej, której domalowano tęczę LGBT na aureoli. Przez parę dni liberalne media cytowały wypowiedzi rozmaitych ludzi, np. prezydenta Warszawy Rafała Trzaskowskiego, że „jego osobiście tęcza na aureoli nie obraża”. Inny przykład takiego myślenia to artykuły poważnych niemieckich gazet, które omawiają oddolny ruch niemieckich katoliczek pod hasłem „Maria 2.0”, domagających się kapłaństwa kobiet. Dzienniki znad Renu piszą z entuzjazmem o tych postulatach, tak jakby nigdy nie słyszały o teologicznych podstawach odsunięcia kobiet od kapłaństwa.

I jeszcze jedno. W podtytule książki jej autorzy zadają pytanie: Czy grozi nam „nowa reformacja”? Mocno brzmi. Czy nie za mocno?

Milcarek i Rowiński zastrzegają się od razu: „Oczywiście każde porównanie współczesności z jakimiś wydarzeniami sprzed wieków kuleje. Chodzi nam jednak o format kwestii: chcemy powiedzieć, że obecny kryzys chrześcijaństwa rodzi się z podobnie głębokiego zamieszania i zgorszenia i obejmuje naraz wszystkie kluczowe dziedziny życia, a nie tylko jakąś jedną prawdę wiary lub jedną sferę moralności”.

Co jeszcze budzi niepokojące dla znawcy dziejów Kościoła skojarzenia? „Rzym wydaje się rozpolitykowany do granic możliwości, to znaczy zajmuje się nieustannie swoimi wewnętrznymi problemami, finansami, przepychankami między frakcjami. Różne lokalne

konserwatywnych katolików, wiernych mszy trydenckiej. Z okazji dziesięciolecia pisma w 2009 r. jego założyciel Paweł Milcarek tak wyjaśniał powody stworzenia kwartalnika: „Chcieliśmy mieć takie miejsce, w którym możemy [...] z wolnej stopy formułować oceny, wyjaśniać swe racje, a czasem po prostu zaprezentować to, czym żyjemy, bez obawy, że zostanie to przycięte, zmarginalizowane lub puszczane w kanał obcych nam intencji”. Z tej tradycji wywodzi się książka „Alarm dla Kościoła”. „Christianitas” nigdy nie kryło swej głębokiej czci dla pontyfikatu Benedykta XVI. I nie kryło żalu z powodu odejścia w cień papieża Bawarczyka.

FOT. ANDRZEJ STOLIK

episkopaty szukają okazji, by porzucić katolickie nauczanie, którego nie chce im się głosić wiernym. Ponieważ jest to dla nich niewygodne, nieopłacalne”.

KAMIEŃ PRZYTŁACZAJĄCE WIARĘ

Autorzy zebrali w tomie rozmowy z bardzo różnymi pod względem stylu kapłanami i publicystami. Jedni są „gorący”, inni wolą ton chłodny, ale przez to nie mniej przejmujący.

Jako pierwszy zabiera głos jezuita o. Dariusz Kowalczyk. Za najgroźniejsze zjawisko wśród duchownych uznaje relatywizm, który wkradł się często do sposobu myślenia ludzi Kościoła. Ostro wskazuje: „Dzisiejszy relatywizm wewnątrz Kościoła w swej obojętności naprawdę jest podobny do marksistowskiego spojrzenia na historię: istnieją tylko »prawdy etapu«, a nie ma żadnej prawdy wiecznej poza nieustającym ruchem inspirowanej świecko emancypacji, która staje się dla chrześcijan ciągłą pogonią za dostosowywaniem się do oczekiwań świata”. I przestrzega: „Tam, gdzie relatywizm jest górą, Kościół będzie zanikał. Relatywizm jest bowiem »religią« tych, którzy już wiarę utracili, ale z różnych powodów nie chcą występować z Kościoła, a mieć z nim święty spokój”.

Jakie są konsekwencje takiego przyjmowania przez „wystygłych” księży idei tego świata? Odpowiedzi na to pytanie udziela Grzegorz Górny, znany publicysta katolicki. Zauważa on, że następuje mentalna kolonizacja Kościoła katolickiego przez świat laicki. „Chodzi o to, że katolicy (na Zachodzie) myślą o sobie i swojej wierze w kategoriach obcych chrześcijaństwu”. I dalej: „Kryzys Kościoła jest dziś kryzysem duchowieństwa”.

Jaka jest tego przyczyna? Górny formułuje swoją hipotezę: „Kościół nie doceniał sfery kultury i w pewnym momencie abdykował z roli mecenasa. Mniej więcej zaczęło się od oświecenia. Wiązało się to też z wywłaszczeniem Kościoła i jego pauperyzacją. Nie było już po prostu funduszy na mecenat, jeszcze wtedy trzymano się szkolnictwa, ale drugim etapem po abdykacji z kultury to była właśnie wymuszona abdykacja z edukacji. Od tego momentu kultura i edukacja zaczęły rozwijać się poza Kościołem”.

W ślad za tym przyszło jeszcze gorsze zjawisko produkcji w seminariach niemiec-

kich czy austriackich zlaicyzowanych księży. Stąd zjawisko zaniku spowiedzi w tamtych kościołach.

Kolejnym zagrożeniem jest mylenie przez zachodni Kościół wrażliwości w dialogu międzyreligijnym z niechęcią do wspomniania agresji religijnej u muzułmanów. Paweł Lisicki przypomina o beatyfikacji przez papieża Franciszka 800 katolików męczenników, którzy w 1480 r. po zajęciu włoskiego Otranto przez wojska sułtana osmańskiego Mehmeda stanęli wobec wyboru: śmierć albo

konwersja na islam. Lisicki wskazuje: „Papież Franciszek w całej wielominutowej homilii nie wspominał, że owych ośmiuset męczenników poniosło śmierć z ręki tureckich najeźdźców dlatego, że nie chcieli przejść na islam”.

Kolejny rozmówca autorów książki – ks. dr hab. Andrzej Kobyliński – wskazuje na nowy, mało jeszcze zauważany w Polsce trend – podmiętą pobożności katolickiej na zielonoświątkową. Zjawisko bardzo dotkliwe dla katolicyzmu np. w Ameryce Południowej. Ksiądz Kobyliński mówi: „W Polsce treści zielonoświątkowe bardzo łatwo przenikają do wnętrza Kościoła katolickiego, ponieważ bardzo często katolicy po prostu nie wiedzą, czym teologia katolicka różni się od zielonoświątkowej. [...] To, co mnie dziwi i przeraża, to milczenie teologów polskich wobec takich nadużyć”.

Wpływ soborowych zmian na scynicznienie księży pojawia się w wywiadzie z ks. dr. Maciejem Zacharą. „Pamiętam rozmowę o liturgii, którą zainicjował pewien mój współbrat zakonny, urodzony jeszcze przed wojną. Przepisy liturgiczne traktował z lekko ironicznym dystansem, trochę na zasadzie: nie ma sensu za bardzo się tym przejmować, dziś coś nakażą, jutro to zmienią i wprowadzą z kolei coś, co dzisiaj jest zabronione”. Poruszająca rozmowa.

Dla mnie najbardziej kapitalnym rozdziałem książki jest rozmowa z ks. dr. Jarosławem Tomaszewskim pod prostym tytułem: „Co się dzieje z księżmi?”.

Ksiądz Tomaszewski gorzko wyraża: „Kryzys wywołany nadużyciami moralnymi zatacza coraz szersze kręgi. Czy nie większy jednak i nie wcześniej jest kryzys tożsamości [kapłanów – przyp. aut.]? Polega on na niepewno-

ści, kim się jest, kim się być powinno, kim się jest dla innych ludzi. Ten kryzys tożsamości kapłańskiej daje się zauważyć w codzienności: coraz rzadziej można odróżnić i rozpoznać księdza na ulicy. Można odnieść wrażenie, że księża się ukrywają, nie chcą się odróżniać od świeckich. [...] Można mieć wrażenie, że w tej nieobecności jest jakiś rodzaj zawstydzenia tym, kim się jest, albo pytanie, czy to, w co się zaangażowałem, ma sens?”. Siłą rzeczy najbardziej odkrywcze były dla mnie te rozdziały, które odsłaniały mi nieznaną szerzej bolączkę kleru. Nie zmienia to faktu, że równie ważne i poruszające są rozdziały książki o skutkach braku realnej lustracji w polskim klerze z rozmową z ks. Isakowiczem-Zaleskim czy refleksje Tomasza Terlikowskiego o skali tolerowania homoklik nad Wisłą i w Kurii Rzymskiej.

DOCEŃMY KSIĘŻY I WYMAGAJMY OD NICH

Po przeczytaniu „Alarmu dla Kościoła” nasza refleksja. Na ile my, wierni parafii, potrafimy pomagać naszym księżom w kryzysie wiary? W jakim stopniu potrafimy uchronić ich od pokus świeckości? Ile razy to my, wierni, wymagaliśmy od nich myślenia „po kapłańsku”? I w jakim stopniu jesteśmy winni ich zeświecczenia?

W książce Pawła Milcarka i Tomasza Rowińskiego odniesienia do zapaści Kościoła w Irlandii pojawiają się w wielu miejscach. Polska, dziękować Niebiosom, to jeszcze nie zlaicyzowana Zielona Wyspa. Posiada wciąż żywą opinię konserwatywno-katolicką, co pokazały ostatnie wybory. Ta opinia będzie jednak coraz słabsza bez kapłanów mocnych duchem.

Bardzo bym chciał, by tę książkę przeczytali nasi biskupi. Nie po to, by irytować się na świeckich i kapłanów rozmawiających bez lukru i szczerze o zagrożeniach dla Kościoła. Mam nadzieję, że ta książka skłoni ich do większej troski o kształcenie w seminariach. Spadek liczby powołań nie może oznaczać przemykania oka na zeświecczenie seminarzystów, a potem młodych księży. Na razie grupa księży udających wiarę jest w Polsce niewielka, ale wizja seminariów jako fabryk zlaicyzowanych duchownych nie jest nie do pomyślenia także w Polsce. Od czego, Boże, uchwaj.

Krótko mówiąc – lektura obowiązkowa.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



PAWEŁ MILCAREK, TOMASZ ROWIŃSKI
„ALARM DLA KOŚCIOŁA. NOWA REFORMACJA?”
DEMART, 2019

*Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości,
ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości
ani prawa do przyszłości.*

Józef Piłsudski



STRAŻNIK PAMIĘCI

2019

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

PARTNER STRATEGICZNY



PARTNERZY





Klimatyczny szwindel



Łukasz Warzecha

Klimatysty chcieliby uchodzić za obrońców nauki, ale zachowują się jak sekta, która z nauką ma niewiele wspólnego

Mała Grecja ze Szwecji poparła na Twitterze małą Ingę z Polski. Specjaliści od stosunków międzynarodowych wypowiadają się w sprawie zmian klimatu, a za zdanie odrębne zostaje się „klimatycznym

negacionistą”. Histeria narasta, podczas gdy w gruncie rzeczy mamy do czynienia z jednym z najbardziej bezczelnych szwindli intelektualnych wszech czasów. Niestety, idą za nim realne pieniądze.

Jasne jest dla każdego trzeźwo myślącego człowieka, że za różnymi Grinpicami i innymi tego typu oddziałami bojowymi na rzecz klimatu kryją się potężne interesy. Fotowoltaika, siłownie wiatrowe, elektromobilność – to setki miliardów euro, w dużej mierze gwarantowanych polityką rządów, rozporządzających pieniędzmi podatników. Pytanie, czy ten proces nie wymyka się spod kontroli nawet jego zakulisowym animatorom, zmieniając się w pełnowymiarową histerię, którą trudno

będzie kontrolować, a na fali której do głosu mogą dojść radykałowie.

POLITYKA ZA WARKOCZYKAMI

Na razie mamy przejawy pajdokracji (rządów dzieci) w postaci inwazji małych dziewczynek z warkoczycami. Absurdalna kariera 16-letniej Szwedki Greta Thunberg, która doszła do statusu celebrytki klimatycznego kultu, najpierw urządzając „strajk” pod szwedzkim parlamentem, a potem wygłaszając na różnych spotkaniach (także na COP24 w Katowicach, gdzie zresztą wystąpiła przed prawie pustą salą) klimatystyczne banały, od początku śmierdząca piarową ustawką. I rzeczywiście – taką była. Całkowitym przypad-



W sprawie „wakacyjnego strajku” Ingi Zasowskiej lewica stosuje ograny szantaż moralny: nie można skrytykować Ingi, bo to znęcanie się nad małą dziewczynką. FOT. ANDRZEJ HULIMKA/FORUM

Lewica stosuje tu ograny szantaż moralny: nie można skrytykować Ingi, bo to znęcanie się nad małą dziewczynką. Tymczasem kwestie, wygłaszane przez Gretę lub jej polską kopię, to ciągi banałów. Thunberg, która rozpropagowała w karykaturalnie lewackiej Szwecji modę na nielatanie (bo to szkodzi środowisku), nie zastanawia się przecież nad skutkami takiej postawy dla ludzi (którzy jakoś muszą się przemieszczać na większe odległości) lub dla ekonomii. Niestety, niewiele od tego odbiega to, co słyszymy od „poważnych” działaczy i polityków „walczących o klimat”. W ich wypowiedziach nigdy nie pojawia się choćby kwestia kosztów proponowanych radykalnych kroków.

Inga, podobnie jak Greta, nie wzięła się pod Sejmem sama z siebie. Jej matka współpracuje z portalem Naukaoklimacie.pl, będącym głównym źródłem argumentów dla polskich klimatystów. Portal niemal nie prezentuje własnego wkładu, zasilają go tłumaczenia z amerykańskiego portalu klimatystycznego Skeptical Science. Polska wersja jest finansowana przez European Climate Foundation (ECF), która wśród swoich celów wymienia walkę z energią węglową w Polsce. Co ciekawe, ECF zasiłała w 2016 i 2017 r. fundację Akcja Demokracja (ponad 174 tys. euro w 2016 r. i 10 tys. euro rok później). Akcja Demokracja w ramach działań statutowych wysyłała np. mejle do Nationale Nederlanden, aby firma pozbyła się udziałów w spółce planującej budowę nowej kopalni odkrywkowej w Wielkopolsce, ale protestowała także przeciwko postulatowi zaostreżenia ustawy antyaborcyjnej. Jej działaniami w 2017 r. entuzjazmowała się „Gazeta Wyborcza”: „Sześć osób z Akcji Demokracja wyprowadziło na ulice tysiące ludzi. W obronie Sądu Najwyższego”. Co to ma wspólnego z kwestiami klimatycznymi – nie wiadomo. Wiadomo natomiast, że stojąca za portalem Naukaoklimacie.pl ECF ma jasną agendę polityczną.

Rozkręcana dziś w Polsce – zwłaszcza po zawetowaniu ustaleń dotyczących neutralności klimatycznej – histeria ma jeden cel: delegitymizację jakiegokolwiek sceptycyzmu wobec najradykalniejszej wersji narracji klimatystycznej. Temu służy stosowanie określenia „klimatyczni negacjoniści” (w wersji angielskiej climate denialists). Słowo „negacjonista” pierwotnie dotyczyło osób kwestionujących fakt lub skalę Holokaustu. Klimatysty zaadaptowali je do swoich potrzeb, tak aby stworzyć wrażenie, że niezgadanie się na

ich opowieść jest równie skandaliczne co negowanie Zagłady.

Absurd goni absurd. Specjalne uchwały w sprawie zmian klimatu podejmują wydziały Nauk Ekonomicznych, Nauk Politycznych i Stosunków Międzynarodowych oraz Wydziału Psychologii UW. Brakuje tylko Wydziału Filologii Rosyjskiej i Instytutu Historii Starożytności.

KTO SIĘ ZNA NA KLIMACIE

W październiku ubiegłego roku doroczny wykład dla Global Warming Policy Foundation (GWPF) wygłosił prof. Richard Lindzen. GWPF to instytucja pozarządowa, podająca w wątpliwość międzyrządową politykę wobec zmian klimatu. Samo istnienie GWPF jest żywym zaprzeczeniem twierdzenia o niekwestionowanym konsensusie naukowym wokół najbardziej radykalnej wersji opowieści o globalnym ociepleniu, w której jest ono niewątpliwe, grozi rychłym kataklizmem, a winny jest mu na pewno człowiek.

Profesor Lindzen jest z trzech powodów interesującą postacią. Po pierwsze – ponieważ jako profesor emerytowany pozostaje poza zasięgiem naukowych klik, które finansowo zmonopolizowały kwestie klimatyczne. Po drugie – ponieważ jest klimatologiem. Nie geologiem, ekonomistą, politologiem, ale właśnie klimatologiem. Klimat zaś jest mechanizmem wieloczynnikowym i skomplikowanym, a klimatologów sensu stricto nie ma wielu. Po trzecie – ponieważ zasiadał w Intergovernmental Panel on Climate Change (IPCC).

IPCC to główne ONZ-owskie ciało, pilotujące politykę klimatyczną – ciało skrajnie upolitycznione. Jego szefem przez 13 lat, do 2015 r., był Hindus Rajendra Kumar Pachauri, który z wykształcenia jest... inżynierem kolejnictwa. Obecnie IPCC kieruje Koreańczyk Hoesung Lee – ekonomista. IPCC działa w trybie doboru wsobno-rządowego. Kandydatury naukowców, którzy przygotowują kolejne raporty, wyznaczają rządy oraz organizacje zaangażowane w ochronę klimatu. Ponieważ rządy – poza nielicznymi – nie kwestionują klimatycznego owczego pędu, a klimatyczne organizacje pozarządowe, dopuszczone do nominowania naukowców, śpiewają jedną melodię, sprawia to, że w IPCC panuje wygodna jednonośność. Związana z kolejnymi raportami muszą być zatwierdzone przez rządy. Czyli politycy weryfikują pracę naukowców i tak dobranych w większości według jednego klucza.

kiem Thunberg zaczęła swoją akcję pod Riksdagiem w momencie, gdy jej matka opublikowała swoją książkę o zmianach klimatu, a w mediach społecznościowych protest rozpowszechnił odpowiadający za tę publikację piarowiec Ingmar Rentzhog. Mało tego: ten sam Rentzhog uruchomił niedawno PR-owy biznes We Don't Have Time („Nie mamy czasu”), skupiony na sprawach klimatycznych. Oto jak się robi pieniądze na klimatystycznej histerii.

Greta doczekała się już swojej polskiej edycji w postaci Ingi Zasowskiej, która również usiadła pod Sejmem w ramach „wakacyjnego strajku”. Inga nie umie, co prawda, zbyt składnie opowiedzieć, o co jej właściwie chodzi, ale też ma warkoczyki.

Raporty IPCC były wielokrotnie krytykowane, szczególnie raport czwarty IPCC z 2007 r. Wyliczono liczne nieścisłości, wybiórcze uwzględnianie wyników czy prognozowanie według tylko jednego, ekstremalnie pesymistycznego wariantu, bez podawania alternatywnych scenariuszy i uwzględniania alternatywnych hipotez o skali wpływu człowieka na klimat.

Profesor Lindzen nie śpiewa w chórze. W swoim wykładzie przedstawił podstawowe mechanizmy działania klimatu, co do których wszyscy się za pewne zgadzają, ale wskazał, że poziom ich współzależności i komplikacji jest tak wielki, a perspektywa czasowa obserwacji tak krótka, że nie sposób stwierdzić, czy zmienia się klimat, czy też mamy do czynienia z wariacjami pogody, wynikającymi z czynników niemających wiele wspólnego z działaniami człowieka.

Tu przejawia się groźny absurd obecnej sytuacji: zapadły już lub właśnie zapadają decyzje warte setki miliardów euro, mające ogromne konsekwencje dla dobrobytu setek milionów ludzi, podstawą zaś do nich są jedynie wielokrotnie zmieniane ramowe hipotezy, przypuszczenia i założenia.

Dlaczego tak się dzieje? Profesor Lindzen zarysował mechanizm, który wpędza polityków w klimatyczną histerię. Składa się on z czterech punktów.

Pierwszy to nawyk, aby mierzyć polityczny sukces zadowoleniem profesorów, z czego wynika tendencja do racjonalizacji nawet najgłupszych pomysłów.

Punkt drugi to względna odporność ekonomiczna klasy politycznej na skutki jej własnych decyzji. Ba, czasem nawet na przekonanie, że można na tym skorzystać. Nietrudno sobie taką sytuację wyobrazić – ot, wystarczy, że polityk, który podjął decyzję o przekierowaniu swojego kraju na radykalnie „zielony” kurs, zostaje następnie członkiem rady nadzorczej firmy zarabiającej na „zielonej” energii. Casus Gerharda Schrödera, tylko w innym układzie.

Punkt trzeci – wdrażana przez polityków narracja jest tak prosta, by nie rzec: prostacka, że pozwala im sądzić z pełnym samozadowoleniem, że nareszcie rozumieją naukę.

Punkt czwarty – obawa, że przeciwstawienie się „naukowej” narracji sprawi, że będą postrzegani jako ignoranci.

Tę analizę uzupełnia prof. Lindzen o wyjaśnienie sytuacji naukowców. To pozwala zrozumieć, skąd wziął się ów legendarny „97-procentowy konsensus” w sprawie antropogenicznych przyczyn zmian klimatu.

Otóż naukowcy nie różnią się od jakiejkolwiek innej grupy zawodowej. Tak samo bywają koniunkturalistami, są interesowni, dbają o własną pozycję, o pieniądze i wygodę. Wielkie rządowe pieniądze, które pakuje się w badania nad zmianami klimatu i wszystkie inne im towarzyszące (rozwój „zielonych” technologii, elektromobilności itd.), działają w sprzężeniu zwrotnym ze światem naukowym. Naukowcy dają politykom wygodny wehikuł, dzięki któremu politycy mogą się pokazywać jako mądrzy i odpowiedzialni, w zamian za co hojnie sypią groszem.

Grosz nie trafia, rzecz jasna, do tych, którzy chcieliby podważać ten wygodny sojusz i nagle zaczęliby dowodzić, że nie wiadomo, czy to człowiek odpowiada za globalne ocieplenie. Zawaliłaby się cała polityczna agenda. Ci więc pieniędzy nie dostają i są wypychani na margines albo – co częstsze – dla świętego spokoju, mając po cichu zdanie odrębne, po prostu zajmują się innym tematem, mniej obciążonym politycznie. Ten mechanizm sprawia, że klimatem zajmują się już niemal wyłącznie ci, którzy podzielają jedynie słuszną narrację.

Jak pisał 12 lat temu we wstępie do swojej książki „Błękitna planeta w zielonych okowach” ówczesny prezydent Czech Václav Klaus – jeden z niewielu polityków, którzy ośmielali się mieć zdanie odrębne:

„Globalne ocieplenie stało się w ostatnim czasie symbolem, a właściwie prototypem sporu: prawda kontra propaganda. Ustalona została jedna politycznie poprawna prawda i opozycja wobec niej nie jest łatwa, chociaż niemała liczba osób, wśród nich czołowych naukowców, problem zmian klimatycznych, ich przyczyn i konsekwencji widzi zupełnie inaczej. Osoby te jednak muszą obawiać się arogancji obrońców hipotezy globalnego ocieplenia i wyprowadzanej z niej tezy, która łączy globalne ocieplenie z konkretną działalnością człowieka. [...] Obrońcami i propagatorami owych bardzo spornych hipotez są w większości przypadków naukowcy, którzy z badań nad fenomenem globalnego ocieplenia osiągnęli profity [...], a wraz z nimi politycy [...], którzy – wobec braku innych atrakcyjnych tematów – na tym budują swoje polityczne kariery”.

MYŚLENIE MAGICZNE

Jednak nawet wśród tych, którzy zgadzają się, że mamy do czynienia z globalnym ociepleniem, na które wpływ ma człowiek, nie ma jednej

opinii co do skali tego wpływu, a także co do kalkulacji kosztów agresywnej polityki klimatycznej w porównaniu z osiąganym efektem. W 2001 r. ten problem w swojej książce „Sceptyczny ekolog” („Skeptical Environmentalist”) podniósł Duńczyk Bjørn Lomborg. Poddał druzgocącej krytyce klimatyczny proces ONZ, wskazując, że choć globalne ocieplenie jest prawdopodobnie faktem, to jednak nie jest najpoważniejszym problemem ludzkości, jego skala jest dyskusyjna, a proponowane przez ekologów działania miałyby na zmiany klimatu minimalny wpływ, za to ogromny na zasobność i warunki życia ludzi, które musiałyby ulec znaczącemu pogorszeniu. Jeszcze ostrzej stawia sprawę prof. Lindzen, mówiąc wprost o tym, że histeria wokół zmian klimatu ma nas cofnąć do ery przedindustrialnej.

Lewicowy portal OKO.press stworzył „listę hańby” z nazwiskami „negacionistów”. Jest tam nazwisko autora tego tekstu, ale również, co ciekawe, nazwiska Leszka Balcerowicza czy publicysty „Gazety Wyborczej” Witolda Gadomskiego. Gadomski w odpowiedzi napisał tekst zatytułowany „Wątpię, więc myślę”. Píše w nim: „Wielu obrońców klimatu i środowiska naturalnego zastępuje myślenie wiarą. I jeśli ktoś zgłasza wątpliwości, jest przez nich potępiany jak heretyk. [...] Ten sam Markiewka na zaprzyjaźnionym z »Gazetą Wyborczą« portalu OKO.press uznał, że mieć wątpliwości w sprawie klimatu to grzech, i wpisał mnie oraz kilka innych osób na »listę wstydu«. Z internetu dowiedziałem się, że Tomasz Markiewka nie jest klimatologiem ani fizykiem, chemikiem czy geologiem. Jest filozofem. Wątpię, by prowadził samodzielne badania nad klimatem i gazami cieplarnianymi i by rozumiał skomplikowane symulacje komputerowe czynione przez klimatologów. Nie ma jednak wątpliwości, które według Kartezjusza są warunkiem myślenia. Markiewka myślenie zastępuje wiarą”.

Gadomski trafił w sedno. Klimatyści, mieniący się obrońcami nauki, są w rzeczywistości zwolennikami myślenia magicznego, nie naukowego. Częścią nauki jest bowiem nieustanne zgłaszanie wątpliwości, kwestionowanie utartych wyobrażeń, próba falsyfikacji hipotez, choćby opowiadało się za nimi 99 proc. uczonych. Tymczasem klimatyści na jakiejkolwiek wątpliwości reagują jak sekta. Z naukowym myśleniem nie ma to nic wspólnego.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

PRENUMERATA 2019

TYGODNIK LISICKIEGO

**DO
RZECZY**

PÓŁROCZNA PRENUMERATA



**TYGODNIK
„DO RZECZY”**

WERSJA PAPIEROWA
TYGODNIKA ORAZ DOSTĘP
DO E-WYDAŃ W APLIKACJI



**W PREZENCIE
KSIĄŻKA:
MONIKA G. BARTOSZEWICZ
„FESTUNG EUROPA”**

~~330~~ zł



134,00 zł



**OSZCZĘDNOŚĆ
196 zł**

ZOBACZ NASZE OFERTY: **PRENUMERATA.DORZECZY.PL**

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl



Prezydent Andrzej Duda wręcza medal „Virtus et Fraternitas” Oksandrze Wasiejko z Wołynia, która od 70 lat opiekuje się grobami pomordowanych tam przez OUN-UPA Polaków FOT. LESZEK SZYMAŃSKI/PAP

Babcia Szura i inni



Łukasz Zboralski

Po raz pierwszy prezydent RP odznaczył ludzi, którzy ratowali życie Polakom, medalem „Virtus et Fraternitas”

Nieśmiała staruszka z Ukrainy po raz pierwszy przyjechała do Polski. Witold Szablowski – reporter, który napisał o niej w książce „Sprawiedliwi zdrajcy. Sąsiedzi z Wołynia” – przywiózł ją do kraju na uroczystość i relacjonował jej pobyt na Facebooku. Wypytywał, czy nie stresuje się pierwszym występem w telewizji. – Niiiiii, a czym się stresować. Przecież tam będą dobrzy ludzie. Ja też jestem dobry człowiek, dogadamy się – odpowiadała. Tak samo odpowiedziała, że nie stresuje jej spotkanie z prezydentem. A kiedy

reporter dociekał, czy jest w ogóle coś na świecie, czego się boi, zastanawiała się dłuższą chwilę. – Tak... Grzmotu. Boję się grzmotu – odpowiedziała.

Oksandra Wasiejko, zwana Babcią Szurą, to córka Ukraińców z Wołynia, którzy w 1943 r. próbowali ocalić Polaków przed rzezią. Ryzykując życie, zawozili im jedzenie. Kiedy ojciec Oksandry odkrył, że banderowcy znaleźli Polaków i ich zabili, po kilku latach zabrał sześćioletnią wówczas córkę i pokazał jej mogiły, które oznaczył krzyżami wyciętymi na korze pobliskich drzew. Poprosił, by o tym pamiętała. Babcia Szura przez ponad 70 lat nie zaniedbuje tego obowiązku – piechotą idzie kilka kilometrów, by zadbać o groby pomordowanych Polaków i by tam się pomodlić. Pomogła też polskiemu archeologowi odnaleźć masowe groby Polaków pomordowanych w Woli Ostrowieckiej i Ostrówku.

Babcia Szura była jedną z pierwszych osób, które w ubiegłym tygodniu odebrały z rąk prezydenta Andrzeja Dudy nowe odznaczenie – medal „Virtus

et Fraternitas”. Będzie on wręczany jako symbol wdzięczności tym, którzy pomagali Polakom oraz którzy poza granicami kraju pielęgnują pamięć o rodakach zmarłych podczas wojny lub przymusowych deportacji.

– Inicjatorem idei takiego uhonorowania był premier Mateusz Morawiecki. Idea ta znalazła się w akcie założycielskim Instytutu Pileckiego, ustawie, w której zapisano między innymi właśnie zadanie zgłaszania kandydatów do odznaczenia medalem „Virtus et Fraternitas” – mówi „Do Rzeczy” dr Wojciech Kozłowski, dyrektor Instytutu Pileckiego. – Wojenna historia Polski wyglądała tak, że jej obywatele byli przez obu okupantów wypędzani, prześladowani, mordowani. Dlatego byli zmuszeni szukać pomocy, i ta pomoc, którą uzyskiwali, często ratowała im życie. Czas za tę pomoc podziękować, a uważamy, że zawsze warto jest dziękować za okazaną solidarność i za męstwo, odwagę, której takie okazanie pomocy wymagało. Teraz widzimy też, z jak gorącym, wręcz entuzjastycznym odbiorem spotkało się wręczenie

tego odznaczenia w społeczeństwie, w mediach. To też jest dowód, że warto to robić.

CHLEB DLA ZESŁAŃCÓW

Za pomoc Polakom na Wołyniu uhonorowani zostali też pośmiertnie Anatolij Giergiel oraz Zinaida Giergiel z domu Radczuk. To ukraińska rodzina, która mieszkała obok polskiej rodziny we wsi Marcelówka niedaleko Włodzimierza Wołyńskiego. Anatolij Giergiel ostrzegł Zarembów przed planowanym atakiem ukraińskich nacjonalistów. Ci z kolei ostrzegli innych Polaków we wsi i rzezi uniknęło wiele osób – przez to, że opuścili swoje domy. Giergiel uratował zresztą życie Zarembów dwukrotnie. Spodziewał się, że m.in. z powodu głodu sąsiedzi spróbują za jakiś czas wrócić do domu. Gdy ich zauważył, zdążył ostrzec Rozalię, że w ich domu nadal czeka oddział OUN-UPA.

Kolejnym oprócz Babci Szury żyjącym bohaterem uhonorowanym medalem (część odznaczeń wręczono pośmiertnie) był Tassybaj Abdikarimow z Kazachstanu. Jako 16-latek przyszedł z pomocą polskim zesłańcom – rodzinie Jabłońskich. Deportowani z Polski przez władze ZSRS trafili do sowchozu Pachta-Arał we wsi Ilcz. Ciężka praca i trudne warunki powodowały wysoką śmiertelność. Amelia Jabłońska ze względu na chorobę swojego najstarszego syna Walentego przez jakiś czas musiała sama utrzymać siebie oraz trójkę dzieci. To właśnie wówczas zadziałał Abdikarimow. 16-latek opiekował się wycieńczonymi sąsiadami, dbał o Walentego i dzielił się z nimi jedzeniem, którego sam nie miał też w nadmiarze. Ta pomoc pozwoliła Jabłońskim przetrwać. Doczekali amnestii w 1956 r. Część rodziny wróciła do Polski. Do dziś przyjaźnią się z Tassybajem Abdikarimowem. A on opiekuje się grobami ojca i rodzeństwa Walentego Jabłońskiego oraz innych Polaków, którzy na zawsze zostali w kazachskiej ziemi.

PASZPORTY DLA ŻYCIA

Medalem uhonorowano również Grupę Ładosia, składającą się z polskich dyplomatów pracujących w Brnie i przedstawicieli organizacji żydowskich. Grupa ta ratowała polskich Żydów z gett (później także z innych krajów, m.in. z Holandii), fałszując dla nich dokumenty. W tzw. akcji paszportowej wystawiano Polakom paszporty krajów Ameryki Łacińskiej, głównie Paragwaju. Dzięki tej pomocy Żydzi trafiali do obozów internowania, a nie do obozów zagłady. Szacuje się, że fałszywe paszporty wysta-

wiono ok. 10 tys. osób. Osobiście wyróżniono Aleksandra Ładosia – lidera grupy, w latach 1940–1945 posła RP w Szwajcarii w randze chargé d'affaires ad interim.

Doceniono też wkład Chaima Yisroela Eissa, ortodoksyjnego Żyda z Ustrzyk, który wyemigrował do Szwajcarii. To on stworzył sieć przemytu paszportów do getta na terenie okupowanej Polski i współfinansował działania grupy. W pomoc włączony był również dr Juliusz Kühl z rodziny ortodoksyjnych Żydów w Sanoku. To on pozyskiwał latynoamerykańskie blankiety paszportowe, utrzymywał też kontakt ze środowiskami żydowskimi.

Konstanty Rokicki, wicekonsul w Brnie, w latach 1941–1944 sam wypisał kilka tysięcy blankietów paszportowych Republiki Paragwaju. Po zakończeniu wojny odmówił pracy w ambasadzie podlegającej komunistycznym władzom. Zmarł zapo-

Odnaczeni:

- Grupa Aleksandra Ładosia
- Chaim Yisroel Eiss
- dr Juliusz Kühl
- Konstanty Rokicki
- Stefan Jan Ryniewicz
- Abraham Silberschein
- Tassybaj Abdikarimow
- Anatolij Giergiel oraz Zinaida Giergiel z d. Radczuk
- prof. Władysław Konopczyński
- Antoni Nagórka oraz Władysława Nagórka z d. Lech
- gen. Lőránd Utassy de Újlak
- Ołeksandra Wasiejko z d. Łukaszk

mniany w Szwajcarii. Jego grób odnaleziono w ubiegłym roku i przeprowadzono ponowny pochówek w Lucernie z udziałem prezydenta RP. W tym roku instytut Yad Vashem przyznał mu, jako jednemu z Grupy Ładosia, tytuł Sprawiedliwego Wśród Narodów Świata.

Dyplomatyczną ochronę akcji tej grupy zapewniał Stefan Jan Ryniewicz, radca polskiego poselstwa w Brnie. To on przekonywał dyplomatów latynoamerykańskich do uznawania fałszywych dokumentów ratujących Żydów przed śmiercią z niemieckich rąk.

Niezbędne informacje o osobach, na które należało wystawić paszporty – nazwiska, zdjęcia – dostarczał Abraham Silberschein. Polski działacz syjonistyczny, adwokat, polityk, założyciel Komitetu

Pomocy Żydowskiemu Ofiarom Wojny (RELICO) w Genewie.

UKRYWAJĄC POLSKICH ŻYDÓW

Medale „Virtus et Fraternitas” przyznano również (pośmiertnie) Polakom, którzy narażając własne życie, ratowali przed Niemcami polskich Żydów, dając im w czasie wojny schronienie. Tak postąpił prof. Władysław Konopczyński, przedwojenny wykładowca UJ, historyk i twórca „Polskiego Słownika Biograficznego”. Aresztowany w ramach Intelligenzaktion był więziony m.in. w KL Sachsenhausen. A po zwolnieniu z obozu organizował tajne nauczanie. Po upadku powstania warszawskiego dał w majątku w Młynniku schronienie spowinowaczonej z nim rodzinie zamordowanego historyka żydowskiego pochodzenia Ludwika Widerszala. Do końca wojny mieszkało u niego pięć osób. Po wojnie profesor z uwagi na krytykę komunistycznego ustroju został usunięty z uczelni i odsunięty od kierowania słownikiem, który stworzył.

Za uratowanie pięciu polskich Żydów odnaczeni zostali też pośmiertnie Antoni Nagórka i jego żona Władysława. Małżeństwo z Otwocka udzieliło w swoim domu schronienia m.in. Benjaminowi Krochmalikowi, fryzjerowi z pobliskiej Kołbieli. W 1942 r. Władysława ostrzegła go przed deportacją z getta i zaproponowała mieszkanie. Krochmalik przeżył okupację. Mieszkając potem w Australii, co roku odwiedzał rodzinę Nagórków.

W ubiegłym tygodniu prezydent RP uhonorował też węgierskiego gen. Lóranda Utassyego de Újlaka. Gdy w marcu 1944 r. Niemcy rozpoczęły okupację Węgier, Utassy odmówił gestapo wstępu do obozów internowania i wydania polskich żołnierzy. Uczestniczył także w rozmowach z Czerwonym Krzyżem, by uczynić organizację reprezentantem interesów przebywających na Węgrzech Polaków. Został potem aresztowany i wywieziony do obozów koncentracyjnych w Niemczech. Węgierscy komuniści w 1951 r. zdegradowali go i skonfiskowali część jego majątku. Generała zrehabilitowano dopiero w 1990 r.

Czy warto było zacząć nagradzać ratujących Polaków? – Dla pani Ołeksandry to dowód, że to, co robi już od 70 lat i to, dlaczego jej ojciec narażał życie w czasie wojny, miało sens. Że ktoś to dostrzegł. Życia jej to nie zmieni, ale to bardzo ważne, że chociaż w ten symboliczny sposób została doceniona – mówi „Do Rzeczy” Witold Szablowski.



Polska liderem rynku fuzji i przejęć

Zawierane w Polsce transakcje fuzji i przejęć mogłyby osiągać łączną wartość nawet ok. 15 mld euro rocznie (czyli mniej więcej dwukrotnie większą niż średnio w latach 2016–2018) – szacują Michał Krupiński, prezes Banku Pekao SA, oraz Tomasz Styczyński, wiceprezes zarządu Banku Pekao SA

Liczba zawieranych transakcji fuzji i przejęć jest jednym z wyznaczników kondycji gospodarki. Właśnie ten aspekt został więc poddany analizie przez ekspertów Grupy Pekao i firmy doradczej Lazard w najnowszym raporcie „Nowe otwarcie: Wyzwania polskiego sektora przedsiębiorstw motorem rozwojowym rynku M&A”. Z dokumentu wynika, że Polska jest niekwestionowanym liderem na rynku transakcji typu M&A w regionie.

W naszym kraju zawierana jest co trzecia transakcja M&A w Europie Środkowej i Europie Wschodniej. Łączna wartość polskiego rynku wzrosła o ponad 20 proc. (w porównaniu z latami 2013–2015), podczas gdy w innych krajach regionu odnotowano ok. 10-procentowy spadek.

– Żyjemy w czasach rewolucji przemysłowej 4.0, a polskie firmy mogą być jej beneficjentami. Na ich korzyść przemawia kapitał intelektualny, ale również pro-

cesy konsolidacji wielu branż. Rodzime przedsiębiorstwa w najbliższych latach będą przejmowały firmy za granicą nie tylko w regionie, lecz także w Europie Zachodniej. Większa aktywność w zakresie fuzji i przejęć jest zjawiskiem pożądanym i korzystnym dla całej polskiej gospodarki – mówi Michał Krupiński, prezes zarządu Banku Pekao SA.

CZNNIK ROZWOJU POLSKIEJ GOSPODARKI

W latach 2016–2018 średnia wartość jednej transakcji M&A w Polsce wyniosła 121 mln euro (wzrost o 31 proc. w stosunku do okresu 2013–2015). Wartość rynku fuzji i przejęć za ostatnie trzy lata wyniosła zaś aż 22 mld euro (doszło do ponad 400 transakcji) i prawdopodobnie nadal będzie rosła. Analitycy Banku Pekao SA prognozują bowiem, że polskie firmy czeka era integracji z innymi podmiotami w Polsce i regionie. Wiele firm będzie przedmiotem sukcesji lub sprzedaży, z kolei inne będą aktywnie poszukiwały celów przejęć w całej Europie.

Raport wskazuje jednocześnie, że polski rynek charakteryzuje przesunięcie w kierunku mniejszych transakcji (ponad połowa z nich o wartości poniżej 25 mln

euro). Łączna wartość rynku podlega istotnemu wpływowi pojedynczych, dużych transakcji (powyżej 1 mld euro), jednak w całym regionie Europy Środkowej i Europy Wschodniej zdarzają się one stosunkowo rzadko.

Zdaniem autorów raportu rynek M&A może być jednym z czynników rozwoju polskiej gospodarki. Model rozwoju przedsiębiorstw, polegający na wzroście produkcji poprzez zwiększenie zatrudnienia, prawdopodobnie uległ już bowiem wyczerpaniu m.in. z powodów demograficznych. Nadchodzi era poszukiwania wzrostu przychodów i efektywności przedsiębiorstw poprzez zdobywanie nowych rynków zbytu czy konsolidację branżową. W obu przypadkach to właśnie fuzje i przejęcia mogą być bardzo ważnym czynnikiem sprzyjającym rozwojowi gospodarki.

KLUCZOWA ROLA FUNDUSZY

Według Banku Pekao SA kluczowym elementem w rozwoju rynku fuzji i przejęć (M&A) – nie tylko w Polsce, lecz także w całym regionie Europy Środkowej i Europy Wschodniej – będzie rosnąca aktywność funduszy Private Equity. W badanym okresie fundusze tego typu odpowiadały za ok. 30 proc. transakcji M&A. Wzrasta wartość topowych transakcji, na znaczeniu zyskują transakcje cross-border, a przy jednoczesnym rozdrobnieniu wielu sektorów w Polsce i w regionie utrzymanie tego kierunku wydaje się bardzo prawdopodobne również w najbliższych latach. Fundusze PE mogą pełnić funkcję integratorów rozdrobnionych rynków.

Autorzy raportu zwracają też uwagę na ciekawą dysproporcję między transakcjami inwestycyjnymi funduszy Private Equity a transakcjami wyjścia z inwestycji tych funduszy. Znaczna przewaga „wejść” oznacza – zdaniem ekspertów – dodatkowy bodziec dla rozwoju rynku M&A, ze względu na konieczność wyjścia funduszy z posiadanych udziałów w firmach w perspektywie kilku najbliższych lat.

– Polska jest kluczowym krajem w regionie Europy Środkowo-Wschodniej w strategii globalnych i regionalnych funduszy Private Equity. To największy rynek w tej części świata, z dużymi firmami oraz „duchem przedsiębiorczości”, który charakteryzuje polską transformację. Widzimy rosnące zainteresowanie polskimi firmami wśród funduszy, które są albo dopiero planują być w Polsce. Obserwujemy także zainteresowanie przedsiębiorstwami z regionu Europy Środkowo-Wschod-

niej wśród tych podmiotów, które mają zespoły transakcyjne w naszym kraju – powiedział Maciej Jacenko, prezes Pekao Investment Banking. I dodał, że polski rynek przedstawia ponadprzeciętny potencjał rozwojowy – relacja wartości rynku M&A do PKB w sąsiednich Czechach jest ponaddwukrotnie wyższa niż

22 mld euro

TYŁE WYNIOSŁA WARTOŚĆ RYNKU M&A
W POLSCE W OSTATNICH TRZECH LATACH

121 mln euro

TYŁE WYNIOSŁA ŚREDNIA WARTOŚĆ TRANSAKcji
NA POLSKIM RYNKU

w naszym kraju, a na najlepiej rozwiniętych rynkach M&A Europy Zachodniej (np. Wielka Brytania) nawet czterokrotnie wyższa. Liczne zjawiska przemawiają na korzyść szybszego rozwoju krajowego rynku w przyszłości.

PONADPRZECIĘTNY POTENCJAŁ POLSKI

Kolejnym bodźcem do utrzymania wysokiej aktywności na rynku M&A może okazać się wzrost dynamiki w segmencie średnich transakcji. Słabsza koniunktura gospodarcza i niepewność geopolityczna powinny być bowiem neutralizowane przez nasilenie tendencji konsolidacyjnych, wzrost liczby spółek wystawianych na sprzedaż oraz poprawę ich wycen. Główne branże, które generują potencjał powyżej przeciętnego dla transakcji M&A w Polsce, to przemysł i produkcja żywności, branże technologiczne i sektor finansowy.

Raport przewiduje utrzymanie się liczby transakcji na poziomie co najmniej zbliżonym do średniej z ostatnich lat (130–140 transakcji o wartości jednostkowej powyżej 5 mln dol.). Wartość rynku może pozostawać silnie zmienna pod wpływem prawdopodobnych dużych transakcji realizowanych w poszczególnych latach. Chociaż w centrum aktywności raczej pozostaną transakcje o sto-

sunkowo niskiej wartości jednostkowej (do 25 mln euro), można spodziewać się dalszego rozwoju i wzrostu znaczenia tzw. mid-marketu. W ostatnich latach polskie średnie firmy znacząco rozwinęły bowiem swoją działalność, stając się atrakcyjnymi celami przejęć, ale też są coraz bardziej predestynowane do roli aktywnego przejmującego w Europie Środkowo-Wschodniej i Europie Zachodniej.

ISTOTNY WPŁYW SUKCESJI

Jeden z istotnych trendów, który będzie kształtował polski rynek M&A, to sukcesja. Zachodząca zmiana pokoleniowa w polskich firmach jest nieunikniona. Może oznaczać dojście do kontroli nad firmami młodych, dynamicznych menedżerów (sukcesorów), ale równocześnie – w przypadku braku ich zainteresowania zarządzaniem rodzinnym biznesem – decyzję o sprzedaży firmy. Jednocześnie w najbliższych latach polski rynek fuzji i przejęć powinien cechować nie tylko rosnąca aktywność, lecz także jego coraz większa złożoność. Przyszłe transakcje na lokalnym rynku coraz częściej zawierać będą elementy międzynarodowe, udział zawodowego inwestora w postaci funduszy Private Equity czy bardziej skomplikowanego finansowania, a ponadto perspektywę dalszego inwestowania środków „emerytowanego” właściciela.

Co ciekawe, obserwujemy wyraźną dysproporcję między liczbą transakcji, w których uczestniczą podmioty zagraniczne na rynkach Europy Środkowej i Europy Wschodniej, a Polską. W naszym kraju znaczna część fuzji i przejęć odbywa się pomiędzy podmiotami z polskim kapitałem lub polskimi korzeniami. Ekspersi Pekao uważają, że ten trend ulegnie zmianie i polskie firmy będą częściej zarówno podmiotem przejęć, jak i przedsiębiorstwami kupującymi firmy za granicą.

Właśnie ze względu na coraz większe znaczenie wymiaru międzynarodowego transakcji Grupa Pekao zdecydowała się na strategiczny sojusz z jednym z globalnych liderów w doradztwie transakcyjnym – firmą Lazard. – Oprócz doświadczenia i posiadanych relacji Grupę Pekao wyróżnia też rozpoznawalność na międzynarodowym rynku finansowym. Uważamy, że globalna skala działania Lazarda połączona ze znajomością regionu po stronie Pekao pozwoli wygenerować wiele pozytywnych efektów dla obu stron – stwierdził Bożidar Djelić, dyrektor zarządzający odpowiedzialny za Europę Środkowo-Wschodnią w Lazardzie.



Człowiek z Vega



Piotr Gociek

Jeszcze rok temu reżyser „Botoksu” nie uważał, by polska polityka była ciekawym tematem na film. Co się zmieniło od tamtej pory?

Trzy pierwsze strony w ciągu tygodnia poświęciła najpoczytniejsza polska gazeta filmowi Patryka Vega, którego jeszcze nie ma. Jedna czołówka była idiotyczna, druga kłamliwa, trzecia żenująca, co dobrze zdaje się oddawać to, jakich emocji możemy oczekiwać po jesiennej premierze fabuły zatytułowanej „Polityka”.

Najpierw „Fakt” ogłosił, że Vega „ujawni gejowskie romanse polityków”. To właśnie ta idiotyczna czołówka. Kto jak kto, ale dziennikarze tabloidów powinni pamiętać o tym, co sami publikują. A to przecież w polskich bulwarówkach można było obejrzeć fotografie ze wspólnych spacerów czy z kolacyjek polskich polityków-gejów. Nawet słynny fotoreportaż z „podwójnej randki”, czyli wspólnej biesiady par Robert Biedroń i Krzysztof Śmiszek oraz Paweł Rabiej i Michał Cessanis. Nikt niczego nie ukrywał, zdjęcia były ostre, pozujący chętni, a podpisy z pełnymi nazwiskami. Gdzież tu więc sekret? Czy ktoś uważa, że w Polsce nie ma polityków o skłonnościach homoseksualnych?

Druga czołówka, niespełna tydzień później, też w „Fakcie”. Tym razem kłamli-

wa. Kadr z filmu: Zbigniew Zamachowski jako ojciec Tadeusz Rydzyski (lub postać na nim wzorowana). I cytat o „bezdolnym, który podarował mu samochód”. Kłamliwa, bo w rzeczywistości słynna wypowiedź toruńskiego redemptorysty brzmiała inaczej. Pochodzi z roku 2016. Ojciec Rydzyski opowiadał o człowieku, który wyszedł z bezdomności, wygrał 1 mln 350 tys. zł w totka i za część wygranej kupił toruńskiej rozgłośni „dwa volkswageniki” – jak mówił twórca Radia Maryja. Zagadka wyjaśniona, rzecz opisywali dokładnie dziennikarze Wirtualnej Polski. Zatem Vega nie tylko manipuluje, lecz także czyni to ewidentnie ze złą wolą. Dzień przed wspomnianą czołówką „Faktu” Vega opublikował w mediach społecznościowych swą krótką wypowiedź: „Kochani, tak przy poniedziałku,



Andrzej Grabowski (z lewej) wcielił się w nowym filmie Vegi w postać wzorowaną na Jarosławie Kaczyńskim, Zbigniew Zamachowski odtwarza rolę nawiązującą do o. Tadeusza Rydzika FOT. MATERIAŁY PRASOWE

w kręceniu numeru pomagają Vedze i politycy, i poważne serwisy internetowe. Reżyser musi zacięć ręce – na pewno kasa będzie się zgadzać, kiedy przyjdzie do podliczenia przedsięwzięcia.

O filmie „Polityka” plotki krążyły od dłuższego czasu, to znaczy od chwili, kiedy zaniepokojenie scenariuszem zaczęli wyrażać (najpierw w prywatnych, offowych rozmowach) politycy prawicy. Nie wiem, czy ktoś musiał – jak twierdzi Patryk Vega – „wykradać scenariusz”, stawiam raczej dolary przeciw orzechom, że przeciek był celowy. Zapewne o to właśnie chodziło, o numer „na Palikota”, który kiedyś szczerze podsumował swoją polityczną strategię słowami o waleniu w klatkę pałą po to, żeby zamknąć w niej nieszczęśnicy nieustannie podnosili wrzask (Palikot, z właściwym sobie wdziękiem, mówił o małpach, a nie nieszczęśnikach). Co ciekawe, dużo sygnałów „Vega coś szykuje” płynęło ze środowiska ministra sprawiedliwości Zbigniewa Ziobry. Nawet nie z powodu oczekiwanego brutalnego ataku na polski wymiar sprawiedliwości, ale ze względu na zapowiadane w filmie ośmieszenie Beaty Szydło.

Zresztą zapowiedzi jest już więcej. Ba, to wręcz groźby. Oto treść przesłania Vegi zamieszczonego na jego koncie facebookowym: „Dzień dobry, panie prezesie. Tak, macie się czego bać, bo jak sam pan powiedział, politycy nie są aniołami i ja to właśnie pokazuję w moim filmie. Widzę, że bardzo wnikliwie zapoznał się pan ze scenariuszem filmu »Polityka«, chciałbym podkreślić: ze scenariuszem wykradzionym. Cieszę się, że odnosi się pan do filmu, ale według mojej wiedzy ten film nie jest jeszcze skończony, bo wciąż nad nim pracujemy” (tu kamera pokazuje kadr z Andrzejem Grabowskim ucharakteryzowanym na J.K.).

Była to odpowiedź na publiczne słowa Jarosława Kaczyńskiego. Prezes PiS podczas spotkania na dorocznym zjeździe klubów „Gazety Polskiej” mówił przeciw: „Mamy do czynienia z coraz wyraźniej pokazywanym – pewnie państwo słyszeli o zapowiedziach filmu Vegi – hejtem czy przygotowaniem do takiego wielkiego hejtu, wielkiego ataku na zasadzie, że nie liczą się żadne fakty albo są wykorzystywane w sposób instrumentalny do uogólnień, które nie mają nic wspólnego z rzeczywistością”. Kaczyński trafnie diagnozował:

„W Polsce funkcjonuje mechanizm wmawiania ludziom, że dzieje się coś

złego i za tym wszystkim stoi PiS. A często personalnie ja”.

„JAK TO SIĘ ROBI” W III RP

Filmowcy mogą robić, co chcą, zwłaszcza jeśli wydają na to własne pieniądze (lub fundusze prywatnych inwestorów). Vega od lat nie korzysta z dotacji PISF, więc od tej strony sprawa jest czysta. Idiotyzmy i ordynarne kłamstwa sprzedają się od dawna świetnie w każdej formie, wystarczy zajrzeć do rozmaitych książek, które rzekomo ujawniają „prawdę o Macierewiczu”, a ostatnio „prawdę o Falencie i aferze taśmowej”. Wilcze prawo twórcy popkultury: brać garściami z rzeczywistości, co się chce, a potem przerabiać to po swojemu. Sprawa „Polityki” Vegi jest jednak godna uwagi, bo sporo mówi nam o tym, jak funkcjonuje III RP, i o tym, jakie demony tej ułomnej konstrukcji nie zostały jeszcze wyegzorcyzmowane.

Od początku istnienia III RP, od chwili przewagi medialnej jednej strony (medialnych i politycznych beneficjentów układu okrągłostołowego i wybiórczej transformacji ustrojowej) kultura masowa była bronią skutecznie wykorzystywaną w walce z prawicą. Kto dziś pamięta, jak głośną sprawą był swego czasu romans Moniki Kern i Macieja Malisiewicza. Monika była córką ówczesnego wicemarszałka Sejmu, Andrzeja Kerna, współzałożyciela Porozumienia Centrum. Był rok 1992, a „związek nieletniej Moniki Kern, marszałkówny, ze sprzedawcą placków w rodzinnej pizzerii nazwano romansem stulecia. Pisano o megalomanii, 120 proc. uczucia, dziwnym sprzężeniu władzy i miłości” – podsumowywała Agnieszka Rybak w 2007 r. na łamach „Rzeczpospolitej”. Jednym z najmocniej nagłaśniających (i w odpowiednio czarnych barwach) sprawę tytułem był tygodnik Jerzego Urbana „NIE”. Jednak wersja o wyrodnym rodzicach, młodych Romeo i Julii uciekających przed konserwatywnym, opresyjnym niekochającym ojcem, wykorzystywaniu maszyny państwa w sprawach prywatnych itp. miała jeden feler – nie była prawdziwa.

Nie zmienia to faktu, że afera zakończyła de facto karierę Kerna (zmarł w roku 2007), tak jak nie przeszkodziło to Markowi Piwowowskiemu w nakręceniu w ekspresowym tempie filmu „Uprowadzenie Agaty”. Popkultura perfekcyjnie została wykorzystana, żeby wzmocnić uderzenie polityczne. Nie wiedzieliśmy wtedy, że Marek Piwowowski to były tajny współpracownik Służby Bezpieczeństwa PRL

pozdrowienia od ojca dyrektora (przejazd kamery na Zamachowskiego ucharakteryzowanego na księdza, który mówi: »Od bezdomnego dostałem, tak im powiedz. No, przyjechał bezdomny i dał mi dwa samochody. Pan Stanisław z Warszawy. A potem wziął i umarł«”).

Trzecia czołówka: ucharakteryzowany na Antoniego Macierewicza aktor obmacuje po obnażonej nodze filmowy odpowiednik Bartłomieja Misiewicza. Komentarz chyba zbędny.

CO SZYKUJE VEGA?

Istnieje w języku angielskim piękne określenie: „publicity stunt” (polskie tłumaczenie „chwyt reklamowy” nie oddaje w pełni jego uroku) i bez wątpienia z czymś takim mamy właśnie do czynienia. W Polsce jednak, jak wiadomo, wszystko ma wymiar polityczny, więc

■ (ujawniła to potem w swojej książce Joanna Siedlecka). Obrzucony błotem polityk już się nie podniósł. Wiele za to wskazuje (opisała to Agnieszka Rybak we wspomnianym tekście „Najłatwiej zabić gazetą”), że romans młodej, niedoświadczonej dziewczyny wykorzystano do spreparowania prowokacji, w której pojawiali się, oprócz Jerzego Urbana, także Marzena Domaros, czyli Anastazja P., autorka „Erotycznych immunitetów”, biznesmen Janusz Baranowski oraz pułkownik UOP Jan Lesiak (ten od „Szafy Lesiaka” i inwigilacji prawnicy).

Jarosław Kaczyński ma także osobiste powody, by być szczególnie wyczulonym na tego typu propagandowe zabiegi. Wszak haniebnym niby-dokument „Dramat w trzech aktach” wyemitowany w roku 2001 oskarżał Kaczyńskich o powiązania z aferą FOZZ i ewidentnie był próbą wpłynięcia na wyniki wyborów. A prawdy w nim było mniej więcej tyle samo co w fantazji Piwowskiego „Uprowadzenie Agaty”.

Patryk Vega najwyraźniej nie wie, udaje, że nie wie, albo najwyczejniej nie rozumie, „jak to się robi” w III RP. I różnie głupa w innym facebookowym wystąpieniu, tym razem skierowanym do Mateusza Morawieckiego: „Panie premierze, premierzy mówią swoje, a ja robię swoje. Jestem niezależny i robię filmy, które mogą się politykom nie podobać” (przejazd kamery na ekran i fragment, w którym ktoś ucha-rakteryzowany na Morawieckiego mówi: »Ludzi nie trzeba słuchać, tylko trzeba im obiecać, czego oczekują, a potem wygasic te oczekiwania. Mają zapierdalać za miskę ryżu«). Tutaj inspiracja też jest oczywista, fragment wypowiedzi dzisiejszego premiera z jednego z nagrań ujawnionych w ramach afery taśmowej.

„Niezależny” może oznaczać „niezależny od faktów”, bo twórca ma prawo zmyślać, miksować, konfabulować, wyolbrzymiać, ale nie może oznaczać „niezależnego od myślenia”. Tymczasem refleksja Vegi na temat współczesnej polskiej polityki to poziom mniej więcej wynurzeń wkurzonego taksówkarza, który opowiada każdemu klientowi, że „wszyscy oni, panie, to same złodzieje”. Vega w wywiadzie dla „Faktu” ujął to tak: „Każdy polityk funkcjonujący w systemie po kilku latach staje się socjopatą. Jeśli ktoś oszukuje masę ludzi każdego dnia, to nie jest możliwym, by po powrocie do domu zresetował się przy żonie i dzieciach i stawał się normalnym człowie-

kiem. Obserwowałem ludzi, którzy zostali totalnie zdeprawowani przez władzę. Uważam, że mój film obnaży kłamstwa i grzechy polityków, którzy dobrali się do publicznych pieniędzy”.

Reżyser wyznawał także: „Mój film nie skupia się na jednej partii, ale uderza w polityków w ogóle. W ludzi z różnych formacji, a nawet w polityków w sutanach. Zainteresowałem się tym tematem jakiś czas temu, widząc, że nawet moja rodzina potrafi kłócić się o politykę przy stole wigilijnym. Doszliśmy w Polsce do takiego momentu, że nie ma już możliwości porozumienia pomiędzy ludźmi podzielonymi na dwa obozy sympatyzujące z dwiema partiami. Poczułem, że to jest najbardziej kontrowersyjny temat w Polsce i że tak naprawdę innego tematu nie ma”. Może bym i uwierzył, gdyby nie to, że jeszcze rok wcześniej ten sam Vega na pytanie od autora „Dziennika Gazety Prawnej”: „Dlaczego nie pokażesz, analogicznie do »Botoksu« i »Służb specjalnych«, jak paździerzowa i prymitywna jest polska polityka?” odpowiadał: „Ten świat jest tak skompromitowany, tyle w nim naturalnej dramaturgii, że trudnym zadaniem byłoby opowiedzenie czegoś nowego w sferze filmowej. Pamiętam, że w czasie afery Rywina znajomi producenci mówili mi, że koniecznie trzeba o tym nakręcić film i że to będzie hit. Pytałem ich wtedy, kto pójdzie na to do kina, skoro ludzie mają aferę na żywo, w telewizji”.

TO JEST TEMAT, TO GO NIE MA

Zatem rok temu nie był to temat, a teraz nagle jest. Cóż się takiego zmieniło w polskiej polityce między marcem 2018 a lipcem 2019 r.? Ano nic, wojna PO przeciwko PiS jak trwała, tak trwa, skłócone rodziny kłócą się dalej. Zatem może odpowiedzi trzeba szukać gdzie indziej? Może to nie obywatelskie oświecenie Vegi w duchu taksówkarza skrzyżowanego z Kulkizem (chyba rozpoznaliście wywody tego ostatniego w Vegowej opowieści o rozkradaniu publicznych pieniędzy), ale uważna obserwacja rynku? Śmiem twierdzić, że tak, że właśnie to. A co działo się na rynku? We wrześniu 2018 r. do kin trafił film Wojciecha Smarzowskiego „Kler”, który obejrzało ponad 5 mln widzów. Film, który tak naprawdę był składanką dowcipasów o księżach na poziomie książeczek niby-satyrycznych wydawanych kiedyś przez Leszka Bubla. Z kolei wiosną roku 2019 ok. 22 mln widzów obejrzało w Internecie dokument braci Sekielskich „Tylko nie mów nikomu”

o pedofilii w Kościele. Jedna i druga produkcja zyskały gigantyczny rozgłos dzięki temu, że data premiery pokrywała się ze szczytem kampanii wyborczej (najpierw przed wyborami samorządowymi, potem do europarlamentu). Klik, klik – słyszycie, jak w głowie Patryka Vegi klikają obracające się zębaki mechanizmu biznesowych kalkulacji? No i oto jest odpowiedź: on też zrobi premierę przed wyborami, też dołoży klechom, ale przy okazji politykom. A pieniądze popłyną wartkim strumieniem.

Niech płyną, kto pomyślowemu zabroni. Jednak strojenie się w szaty ofiary systemu, niezależnego bojownika o prawdę itp. to już czysta farsa. Dużo większej odwagi wymagało od Vegi nakręcenie w 2014 r. „Służb specjalnych”, bo wykorzystał tam motyw niewygodne dla ówczesnej platformerskiej władzy (między innymi wprost sugerował, że Andrzeja Leppera zamordowano), choć nie mogło się też obyć bez rytualnego natrząsania się z Antoniego Macierewicza. Też mi bohaterstwo. Trzeba było wtedy zakpić z Tuska albo Grasia, wówczas Vega by zobaczył, ile płaci się za niezależność, nawet w stylu fantazji pop.

Gdyby Patryk Vega chciał naprawdę iść na zderzenie z systemem, powinien nakręcić film „Sądy”. Mógłby w nim opowiedzieć o tym, jak to w majestacie prawa można uniewinnić znanego celebrytę, który bez prawa jazdy rozjechał pieszego. Albo jak skreca się sprawę rozjechania staruszki przez byłego premiera. Mógłby pokazać – toż to iście filmowa scena, choć ponura – jak oskarżonemu, który ma amputowaną nogę, łódzki sąd kazał wrócić na miejsce bez pomocy sanitariusza czy policjanta, w efekcie czego kaleka czołgał się po podłodze sądu najjaśniejszej Rzeczypospolitej. To jednak wymagałoby obrania kursu na zderzenie ze wszystkimi salonami III RP, nie mówiąc już o tym, że potem Vega seryjnie przegrywałby dzięki mściwości „nadzwyczajnej kasty” każdy proces o najdrobniejszą duperele, na przykład o to, że jakiś pan w todze czuje się urażony tym, że postać fikcyjna może go przypominać.

Ujawnione dotąd kadry „Polityki” pokazują, że wybrał natrząsanie się z Kaczyńskiego, Macierewicza i Rydzyka. To, szanowny panie reżyserze, nie wymagało specjalnej odwagi nawet ćwierć wieku temu. Wciąż mam nadzieję, że jesienią na ekranie zobaczymy coś więcej. Jest ona jednak mniej więcej tak nikła, jak żarty z „samochodów podarowanych przez bezdomnego” o. Rydzykowi.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Z Pawłem Brodowskim,
wieloletnim redaktorem
naczelnym czasopisma
„Jazz Forum”
rozmawia Grzegorz Brzozowicz



Najważniejsze przed nami



FOT. MATERIAŁ PRASOWY

GRZEGORZ BRZÓZOWICZ: Kiedy pojawiło się określenie *polish jazz*?

PAWEŁ BRODOWSKI: W 1959 r. przyjechał do Warszawy Willis Conover, prezenter rozgłośni Głos Ameryki. Podczas zimnej wojny jego nocnych audycji słuchali w Polsce wszyscy miłośnicy jazzu. Przed koncertem, który odbywał się w filharmonii z okazji jego wizyty, Conover spotkał się z naszymi jazzmanami. Powie-

dział: „Macie kilku muzyków wybitnych, wielu świetnych, ale sekcje rytmiczne są niestety jeszcze bardzo słabe. Dam wam radę. Postarajcie się do swojej muzyki wpleść wątki polskiej muzyki klasycznej lub ludowej”. W tym samym roku ukazała się płyta z fragmentami tego koncertu, zatytułowana „Willis Conover Meets Polish Jazz”. Chyba wtedy hasło „polish jazz” po raz pierwszy zaistniało z taką mocą.

Nazwa szybko się przyjęła.

Jan Wróblewski „Ptaszyn”, który miał już za sobą – jako pierwszy muzyk jazzowy zza żelaznej kurtyny – występy w Stanach Zjednoczonych, założył w 1963 r. Polish Jazz Quartet. W tym samym roku nagrał w Danii z Krzysztofem Komedą jego pierwszy album „Ballet Etudes/The Music of Komedo”. Jazz Message from Poland”, który pokazał w Polskich Na-

graniach. Zrobiło to wrażenie i powstała seria płytowa „Polish Jazz”, w ramach której do 1989 r. wydano 76 pozycji.

Seria miała wspaniałe okładki, a jej wielkie logo zaprojektował Rostław Szaybo.

Przed wyjazdem do Anglii Szaybo zaprojektował pierwszych dziewięć okładek, w tym do albumu „Astigmatic” Krzysztofa Komedy. Jest to najważniejsza płyta polskiego jazzu. To ona dała tchnienie naszemu jazzowi, miała charakter prekursorski i była zapowiedzią brzmienia zachodnioniemieckiej wytwórni ECM, której wydawnictwa mają odrębny charakter niż amerykańskie. Takiej muzyki jak Komeda nikt wcześniej nie tworzył. Nikt tak jak on nie budował muzycznej narracji.

Czyli w 1965 r. narodził się polish jazz?

To zjawisko dało o sobie znać już przedtem. Jednym z najważniejszych twórców tego nurtu był Zbyszek Namysłowski, który już rok wcześniej nagrał w Londynie dla wytwórni Decca autorski album „Lola” z własnymi głównie kompozycjami, zainspirowanymi polskim folklorem.

Ale ten właśnie Zbigniew Namysłowski długo nie uznawał istnienia tzw. polskiej szkoły jazzu. Zawsze twierdził, że jazz jest jeden i nie zna granic. W końcu, w 2016 r., nagrał płytę „Polish Jazz – Yes!”, więc chyba zmienił zdanie (Śmiech). Dodajmy, że był to pierwszy nowy album we wznowionej po 27 latach serii Polish Jazz.

W żadnym innym komunistycznym kraju jazz nie rozwijał się tak szybko. Co o tym przesądziło?

Na duże zainteresowanie jazzem w okresie powojennym wpłynął pokazywany na naszych ekranach amerykański film „Serenada w Dolinie Słońca”, w którym występowała orkiestra Glenna Millera. Do kin walały tłumy. Kilkanaście lat później moje pokolenie chodziło dziesiątki razy na „A Hard Day’s Night” z Beatlesami, a wyobraźnię i tęsknoty pionierów polskiego jazzu rozpalala „Serenada w Dolinie Słońca”. Ale wkrótce ta fala została przez komunę zdławiona i jazz zszedł do podziemia. W żadnym innym kraju w tej części świata nie istniało zjawisko, które u nas nazywane było jazzem katakumbowym – granie konspiracyjne na potajemnych jam sessions w prywatnych mieszkaniach.

Wielkim impulsem był V Światowy Festiwal Młodzieży i Studentów, który odbył się w Warszawie w sierpniu 1955 r. Mimo że przyjechali zachodni pseudokomuniści, dla młodych Polaków było to pierwsze



Zespół Komedy (przy fortepianie) w 1958 r.
Pierwszy z lewej – Jan Ptaszyn-Wróblewski
FOT. ZYGMUNT JANUSZEWSKI/TVP/EAST NEWS

zetknięcie się z wielkim światem. Tamci inaczej się zachowywali, inaczej tańczyli. Ważną rolę odegrał autostop – ogólnopolska akcja, która promowała bezpłatne przemieszczanie się samochodami po kraju. To była wolność. Młodzi ludzie wybierali się w nieznane, by przeżyć przygodę.

W ten właśnie sposób wielu z nich dostało się do Sopotu, gdzie w 1956 r. odbywał się pierwszy festiwal jazzowy.

To był ewenement na skalę światową, bo nigdzie na świecie, z wyjątkiem Newport w Stanach, nie organizowano jeszcze plenerowych festiwali jazzowych. A do Sopotu przyjechało ponad 30 tys. fanów. Doszło do wybryków chuligańskich i skandal był na całą Polskę. Skandal i rozgłos!

Muzyka jazzowa była jednym ze znaków rozpoznawczych polskiego kina lat 60.

Pierwszą siłą polskiego jazzu był zespół Melomani. To oni wyciągnęli nasz jazz z katakumb na powierzchnię i wprowadzili do filharmonii. Tworzyli go m.in. studenci szkoły filmowej w Łodzi: Jerzy Matuszkiewicz „Duduś”, Witold Sobociński „Dentox” i Andrzej Wojciechowski „Idon”. Na fortepianie grał Andrzej Trzaskowski, okazjonalnie też Krzysztof Trzcíński (jeszcze nie Komeda).

W 1958 r. przy kręceniu filmu „Dwaj ludzie z szafą” Roman Polański rozpoczął współpracę z Komeda. Symbolicznym momentem spotkania jazzu i środowisk filmowych był Jazz Camping Kalatówki w marcu

1959 r. Pomysł Jazz Campingu w scenerii zimowej przypuszczalnie został zainspirowany amerykańskimi filmami „Serenada w Dolinie Słońca” i „Świąteczna gospoda”. W jednym miejscu znaleźli się muzycy, najpiękniejsze aktorki, filmowcy, plastycy... Polański był dobrym duchem imprezy, inspiratorem wielu zabaw, a całość relacjonował tygodnik „Przekrój”. To była oaza wolności. Bogusław Rybczyński nakręcił genialny dokument z tego wydarzenia.

Polski jazz to nie tylko muzyka i muzycy, lecz także kilka charyzmatycznych postaci, bez których nie byłoby takiego sukcesu.

Leopold Tyrmand był kluczową osobą. Nie wiem, dlaczego zabrakło go na Kalatówkach. W 1954 r. współorganizował Zaduszki Jazzowe w Krakowie, w roku 1955 słynne warszawskie Jam Session Nr 1, które firmował własnym nazwiskiem, był inicjatorem dwóch legendarnych festiwali w Sopocie w latach 1956 i 1957, otwierał pierwsze festiwale Jazz Jamboree (to on wymyślił tę nazwę). Można by wymienić i wymienić. To on odkrył Romana Waschkę i powierzył mu rolę konferansjera na II festiwalu w Sopocie w 1957 r. Waschko został prezesem Federacji Polskich Klubów Jazzowych. To była pierwsza organizacja, która powstała nie z polecenia partii, tylko samoradnie. Waschko znał doskonale angielski, zorganizował pierwszy wyjazd polskiego zespołu (The Wreckers Andrzeja Trzaskowskiego) do USA, pomógł wielu muzykom w ich karierze zagranic-

nej... Niestety wiele lat później okazało się, że był TW. W 1964 r. Jan Byrczek, były kontrabasista zespołów Komedy i Kurylewicz, na podstawie Federacji Polskich Klubów Jazzowych utworzył Polską Federację Jazzową, która później przeistoczyła się w Polskie Stowarzyszenie Jazzowe, a następnie współtworzył Europejską Federację Jazzową i powołał do życia magazyn „Jazz Forum”. Minęło ponad pół wieku, a nasze czasopismo wciąż istnieje i odmierza puls polskiego jazzu.

Polski jazz kwitł w latach 60. Na Jazz Jamboree przyjeżdżały gwiazdy, a polscy muzycy wyjeżdżali na Zachód. Nie byłoby to możliwe, gdyby partia nie patrzyła na to zjawisko przychylnym okiem.

Byrczek był sprytny, bo gdy robił Jazz Jamboree, tworzył komitet organizacyjny, do którego zapraszał dyrektora Pagartu, prezesa Radiokomitetu, szefa Wydziału Kultury KC itd. Władza była władzą, ale to też byli koledzy ze studiów, partyjni oportuniści. Ruch jazzowy opierał się na współpracy ze Zrzeszeniem Studentów Polskich, do którego należały kluby. Przeszkód i trudności było wiele, ale na ogół wszyscy wszystkim sprzyjali, bo słuchali tej samej muzyki i bawili się w tych samych miejscach. Ambasada amerykańska poprzez Departament Stanu finansowała przyjazd amerykańskich jazzmanów. Świat się kręcił.

Kto był najwybitniejszym polskim jazzmanem?

Powtarzają się trzy nazwiska: Komeda, Stańko i Namysłowski. Ten czwarty to Michał Urbaniak, który był pionierem fusion jazzu i zapisał się w historii jako jedyny polski muzyk jazzowy, który nagrywał z Milesem Davisem. Komeda nie był wybitnym pianistą, poruszał się na klawiaturze w obrębie trzech oktafów, ale był wizjonerem, który skupiał wokół siebie prawdziwe indywidualności. Z trudem przychodziło mu pisanie prymki do ZAiKS-u, nie został przyjęty do Związku Kompozytorów Polskich. Tylko że te symboliczne „trzy nuty” miały taką siłę, iż wyzwały nieznane pokłady emocji. Kto wie, gdyby nie Stańko, to muzyka Komedy byłaby może zupełnie inna. Tomek Stańko jest najbardziej rozpoznawalnym polskim jazzmanem na świecie. Jest wiele osób w naszym środowisku, które twierdzą, że najwybitniejszym polskim muzykiem jest Zbyszek Namysłowski.

To dlaczego Namysłowski nie zrobił światowej kariery?

Trudno powiedzieć. Ma specyficzną konstrukcję psychiczną. Jest człowiekiem raczej

zamkniętym. Podczas wywiadów odpowiada jednym zdaniem i zamiera. Mówiono, że kiedy pojechał do Nowego Jorku i wynajął mieszkanie, czekał, aż ktoś do niego zadzwoni, a to w warunkach amerykańskich się nie sprawdza. Michał Urbaniak nie zdejmuje jeszcze płaszcza, a już wykręca numer. Wychodzi do ludzi, kontaktuje się z całym środowiskiem, tworzy sytuacje. Namysłowski jest wspaniałym kompozytorem, ale pisze muzykę dość trudną, wymagającą skupienia i dużej dyscypliny.

Komeda był nieśmiały, a miał realną szansę na podbicie Hollywood.

Nie poznałem go osobiście, ale wiem, że był człowiekiem bardzo wrażliwym. Komeda wysyłał sygnały, które uruchamiały wyobraźnię innych muzyków. Andrzej Trzaskowski, inny czołowy muzyk lat 60., pisał gęste aranże, pouczał, dawał reprimendy. Również w kompozycjach Namysłowskiego wszystko jest dokładnie zaaranżowane, występują trudne podziały. Stańko dawał muzykom więcej wolności. Może w tym leży sedno ich sukcesów?

Komeda od połowy lat 60. więcej czasu spędzał na Zachodzie niż w kraju, a mimo to jego legenda wciąż jest żywa wśród młodych muzyków.

Mit Komedy został rozkręcony do nieprawdopodobnych rozmiarów. Kołysanka z filmu „Dziecko Rosemary” jest jedynym polskim standardem jazzowym wykony-

Krzysztof Komeda nie był wybitnym pianistą, poruszał się na klawiaturze w obrębie trzech oktafów, ale był wizjonerem

wanym za granicą. Życie Komedy przypomina grecką tragedię. Umarł w tajemniczych okolicznościach, w wieku 38 lat, kiedy był już prawie u szczytu. Mimo upływu 50 lat od jego śmierci wciąż pojawiają się o nim nowe książki, zaraz będzie film fabularny. Wszyscy grają w Polsce Komede, a jego muzyka jest cały czas nowoczesna.

Czy istnieje jeszcze polskie środowisko jazzowe?

Jednolite – nie. Starsza część jest scementowana od lat, ale nie ona stanowi o przyszłości tej muzyki. Niedawno odbył się zjazd członków Polskiego Stowarzysze-

nia Jazzowego, które obchodzi w tym roku 50-lecie istnienia. Organizacja w dotychczasowej formie nie jest już tak potrzebna. Agencji koncertowych jest wiele, każdy zespół ma zawodowego menedżera, nie ma monopolu na granie, nie ma co rozdawać. Każdy z festiwali, a mamy ich teraz ponad 100, kilka naprawdę wspaniałych, tworzy program bez pytania kogokolwiek o zdanie. Nie ma potrzeby, by życie jazzowe ktoś odgórnie koordynował. Kilkudziesięcioosobowa grupa wiernych członków, o średniej wieku powyżej 60 lat, wspomina czasy dawnej świetności i narzeka, wylewa wzajemne żale i pretensje. Zanedbano przyływ nowych członków i teraz młodzi muzycy mówią: „My do tej organizacji nie wejdziemy. Jeśli jakaś organizacja będzie nam potrzebna, to stworzymy własną”. Trzeba przystosować kształt tej organizacji do obecnych potrzeb i możliwości. Wznowiony został niedawno pod szyldem PSJ Jazz Club Akwarium na placu Hoovera w Warszawie. To sygnał nowych zmian, ale nie tylko na patronowaniu klubowi ma polegać działalność takiej organizacji jak PSJ, jej zadania powinny być znacznie szersze. Mam nadzieję, że nowy zarząd weźmie to pod uwagę.

W Wielkiej Brytanii mamy renesans jazzu. W Polsce na koncerty zespołu Wojtki Mazolewskiego wałą tłumy. Powstają nowe intrygujące zespoły, choćby wrocławski EABS...

Młodych muzyków jest wielu. Co chwila pojawiają się nowe nazwiska i ci młodzi grają na poziomie niewyobrażalnym przed 60 laty. Wojtek Mazolewski jednak nie jest akceptowany przez starą gwardię. On przykładą wiele wagi do wizerunku medialnego. Ma zdolności plastyczne, a jego koncerty mają charakter widowiskowy. Muzycy z jego zespołu wyglądają zjawiskowo, tworzą wartość samą w sobie. Środowisko tego się boi, bo widzi w tym za dużo ekshibicjonizmu.

Dzisiejszy muzyk musi jednak funkcjonować na YouTube, kręcić wideo, istnieć w mediach społecznościowych. A do tego Mazolewski nikogo nie pyta, czy coś wolno robić, czy nie. Robi i w tym jest jego siła. Własną drogą, nie pytając nikogo o zdanie, zmierzają Leszek Możdżer, Maciek Obara, wspomniany EABS, Adam Bałdych, Kuba Więcek. A Trio Marcina Wasilewskiego jest dziś najbardziej znanym polskim zespołem jazzowym za granicą. Tradycja jest ważna, ale najważniejsze jest to, co przed nami.



W 28 arii dookoła Rzeczypospolitej

Wykonanie z 14 czerwca 2019 r.
w Moskwie FOT. FILHARMONIA MOSKIEWSKA



Wiesław Chelminiak
z Moskwy

Polscy wirtuozi znaleźli oryginalny sposób na uczczenie okrągłej rocznicy unii lubelskiej

Moda na muzykę dawną nabiera rozmachu. W Filharmonii Moskiewskiej wystawiono koncertową wersję włoskiej opery sprzed trzystu lat, dedykowanej samozwańczemu królowi Wielkiej Brytanii. Nuty zapomnianego dzieła odnalazły się w niemieckim archiwum. Co nas to może obchodzić? Powinno, bo żoną pretendenta melomana była wnuczka Jana III Sobieskiego, libretto opowiada o waśniach towarzyszących narodzinom państwa polsko-litewskiego, sam zaś spektakl, w brawurowym wykonaniu [oh!] Orkiestry Historycznej z Katowic, jak najlepiej świadczy o umiejętnościach naszych muzyków. Wymagająca moskiewska publiczność nagrodziła ich występ brawami na stojąco.

MIŁOŚĆ I POLITYKA

Treść opery „Gismondo, re di Polonia” jest, zgodnie z ówczesną modą, do bólu melodramatyczna. Syn tytułowego króla, Otone, kocha się (z wzajemnością) w Cunegondzie, córce litewskiego władcy Primislao, który za sprawą intryg księcia Ermanna wszczyna wojnę z Sarmatami. Na ciężką próbę zostaną wystawieni również

uczucia córki Gismonda, Giuditty, wdychającej do Primislao, poznanego na balu maskowym w Warszawie. Jak łatwo się domyślić, miłość pokona wszystkie przeszkody, skłócenie monarchowie zaś w finale padną sobie w objęcia.

Tak naprawdę mamy do czynienia z przeróbką dramy Francesco Brianiego „Il vincitor generoso”, do której muzykę skomponował w 1708 r. Wenecjanin Antonio Lotti. 19 lat później i 400 km dalej „wspaniałomyślnym zwycięzcą” uczyniono polskiego króla. Plagiat? Skądże znowu, w tamtych czasach był to proceder powszechny. Twórcy notorycznie podkradali sobie pomysły, mecenasów i wykonawców. „Gismondo” jest ewenementem pod innym względem. Akcja barokowej opery z reguły rozgrywa się w czasach biblijnych lub starożytnym Rzymie. Tutaj umieszczono ją w egzotycznej (dla Włocha) scenarii Rzeczypospolitej Obojga Narodów.

Ignorancja anonimowego autora nie była zupełna. Słusznie domniemywał, że unia polsko-litewska oprócz wzlotów przeżywała też upadki. Może obita mu się o uszy historia o miłości Barbary Radziwiłłówny i Zygmunta II Augusta. Ten ostatni jest bez wątpienia prototypem wspaniałomyślnego Gismonda, choć rezydował w Krakowie, nie w Warszawie.

W Italii sporą popularnością cieszył się jego wuj, wyniesiony na ołtarze królewicz Kazimierz Jagiellończyk. Na cześć patrona Rzeczypospolitej napisano trzy oratoria. Premiera pierwszego z nich uświetniła wizytę w Rzymie hetmana Michała

Radziwiłła z żoną Katarzyną Sobieską, siostrą zwycięzcy spod Wiednia. Włoskich librecistów i tym razem poniosła fantazja. Chcąc udowodnić odporność świętego na cielesne pokusy, obarczyli go żoną dziewczyną. Prawdziwy Kazimierz umarł bezżennie.

Najlepszy utwór na cześć Jagiellończyka skomponował Alessandro Scarlatti, twórca operowej szkoły neapolitańskiej. Jego syn Domenico był z kolei nadwornym klawesynistą Marysieńki i Aleksandra Sobieskich, którzy po śmierci pogromcy Turków osiedli nad Tybrem. Wdowa utrzymywała prywatny teatr; by „Minionek” miał gdzie wystawiać opery, pisane do spółki ze Scarlattim juniorem.

Rodzinną tradycję podtrzymała Maria Klementyna Sobieska. Wnuczka pogromcy Turków żyła krótko, lecz zdążyła zadziwić Europę. Mając lat 17, uciekła za granicę, by połączyć się z ukochanym, którego wcześniej nie widziała na oczy. Wybranek romantycznej dziewczyny, Jakub Edward Stuart, wywodził się z rodu, który jeszcze niedawno panował w Szkocji, Anglii oraz Irlandii. Szanse na odzyskanie korony były jednak iluzoryczne: królewski tytuł pretendenta uznawał jedynie papież, marzący o nawróceniu Brytyjczyków na katolicyzm.

Jakub III chciał się zenić z Sobieską, gdyż liczył na duży posag, a pobieranie zasiłków od cudzoziemców urągało jego monarszej godności. Ojciec Marii Klementyny, patologiczny skąpiec, ociągał się z wypłatą, co destrukcyjnie wpływało na życie małżeńskie młodej pary. Po kilku latach klócili się już o wszystko: o polityki

po sposób wychowania synów. Polka, jako osoba głęboko wierząca, nie dopuszczała do siebie myśli o rozwodzie. Rozsyłała listy po europejskich dworach, skarżąc się na swój los i prosząc o poparcie. Dzięki pośrednictwu papieża doszło do ugody, lecz Maria Klementyna więcej czasu spędzała na modłach niż z rodziną.

Innego rodzaju pocieszenie mogła znaleźć w rzymskim Teatro delle Dame, w którym Stuartowie mieli do dyspozycji aż trzy łóża. Modni kompozytorzy ubiegali się o zaszczyt dedykowania swych utworów „królom na wygnaniu”. Papieska stolica była wówczas pod przemożnym wpływem Neapolitańczyków. Za ich sprawą sztuka operowa zrezygnowała z polifonii na rzecz solowych popisów – koloratur i kadenencji osiągalnych jedynie dla śpiewaków kastratów.

NIE TEN LEONARDO

W ojczyźnie bel canta istniały aż cztery szkoły muzyczne kształtujące utalentowane sieroty i dzieci z ubogich rodzin. Na szczególną wdzięczność melomanów zasługuje kadra pedagogiczna Conservatorio dei Poveri di Gesù Cristo: ukończyli je przyszli mistrzowie stylu galant Nicola Porpora, Leonardo Vinci, Giovanni Battista Pergolesi oraz Carlo Broschi, bardziej znany jako Farinelli.

Najbardziej zagadkową postacią z tej plejady jest Vinci. Nic nie wiadomo o jego rodzicach, data urodzenia wciąż jest przedmiotem sporu. Szefowej moskiewskiego festiwalu Opera Apriori zwrócono uwagę, że na plakacie reklamującym „Gismonda” w nazwisku kompozytora brakuje „da”. I tak już pozostanie do końca świata – nieszczęsny Kalabryczyk będzie mylony z renesansowym geniuszem.

Jego krótkie życie wypełniła intensywna praca i rywalizacja z Porporą. W tej walce każdy chwyt był dozwolony. Podczas premierowego przedstawienia opery „Syfaks” ludzie wynajęci przez Leonarda rzekomo sypali z górnych łóż tabakę, by widzowie zamiast klaskać, kichali i płakali. Trzeba przyznać, że ta anegdota pasuje do człowieka, który był jednym z prekursorów buffa, czyli opery błazeńskiej. Szybko jednak zmienił styl, gdyż opera seria przyciągała bardziej hojnych mecenasów. A nasz kompozytor, uzależniony od hazardu, wciąż cierpiał na brak gotówki.

Stugębna plotka głosiła, że był również kobieciarzem, a bliźna na jego twarzy to pamiątka po starciu z obrońcą czci pewnej primadonny, której Vinci zbyt natarczy-

wie okazywał swój afekt. Owe przygody nie wpływały negatywnie na twórczą wenę Kalabryczyka, wręcz przeciwnie. W sezonie 1725/1726 wystawił w trzech włoskich miastach trzy różne opery. Jego muzyka rozbrzmiewała w prestiżowych teatrach. Libretta pisał mu najlepszy poeta epoki – Pietro Metastasio. „Gismondo, re di Polonia” był trzecią z kolei operą, którą Leonardo zadedykował Jakubowi III. Być może liczył, że gdy Stuartowie odzyskają tron brytyjski, spadnie na niego deszcz intratnych zamówień.

Premiera ponadczterogodzinnej spektaklu o Sarmatach i Litwinach odbyła się w pierwszą sobotę karnawału, 11 stycznia 1727 r. Trzech z siedmiu śpiewaków było kastratami. Opera składała się z symfonicznego wstępu, 28 arii, jednego duetu, jednego tercetu, ośmiu recytatywów i chóralnego finału. Niestety, królewska loża świeciła pustką. Pretendent razem z synami wyjechał do Bolonii, Maria Klementyna znów zamieszkała w klasztorze, by się umartwiać.

Trzy lata potem Vinci był już trupem. Jako przyczynę zgonu podano „kolkę żołądkową”. Dobrze poinformowani twierdzili jednak, że muzyk zapłacił życiem za uwiedzenie rzymskiej arystokratki. Wynajęty zabójca miał pojechać za nim do Neapolu i wyspać truciznę do filiżanki z gorącą czekoladą. Brawurowy styl wychowania Conservatorio dei Poveri di Gesù Cristo znalazł godnych kontynuatorów w osobach Vivaldiego i Händla, lecz on sam wkrótce popadł w zapomnienie. Męka Sobieskiej dobiegła końca w 1735 r. – ku zgrozie Rzymian zagłodziła się na śmierć. Przez jakiś czas mówiło się, że będzie kanonizowana. Jej synowie zmarli bezpotomnie, co ostatecznie rozwiązało spór o prawa do brytyjskiej korony.

Leonardo i Maria Klementyna pożegnali się ze światem w iście operowym stylu. Któż mógł przypuszczać, że po trzech wiekach dzieło, które ich połączyło, triumfalnie wróci na europejskie sceny? Partyturę „Gismonda” wypatrzyła w zdigitalizowanych archiwach berlińskiej Sing-Akademie szefowa {oh!} Orkiestry Historycznej, Martyna Pastuszka. Pomysł, by wykonaniem opery uczcić setną rocznicę odzyskania przez Polskę niepodległości, zrealizowano w Gliwicach.

Koncertowa wersja jest o ponad godzinę krótsza od oryginału. Rekonstruktorzy zachowali esencję dzieła. Muzyczne fajerwerki Vinciego, alty i sopranu nadal robią wrażenie. Klawesynista Marcin Świąt-

kiewicz sądzi, że opery neapolitańskie mają w sobie coś ze współczesnego show, którego celem jest oszołomić publiczność wirtuozerią wykonania.

ZDRADA BĘDZIE WYBACZONA

W XVIII w. w największej cenie były popisy wokalne kastratów. Dziś czasy są bardziej demokratyczne, potrafimy docenić także instrumentalistów. Dzisiejsza obsada „Gismonda” jest równie gwiazdorska jak pierwotna, lecz bardziej międzynarodowa. Partię księcia Primislao śpiewa (i to jak!) Polka Aleksandra Kubas-Kruk. Partnerują jej Ukrainiec Jurij Mynenko jako Otone, Rosjanka Diliara Idrisowa jako Giuditta i Belgijka Sophie Junker jako Cunegonda. W tytułowego króla Zygmunta wciela się Chorwat Max Emanuel Cenčić, znany z charakterystycznego vibrato.

Dobra wiadomość dla wielbicieli dawnych brzmień: 20 września opera zostanie zaprezentowana w Warszawie, w Teatrze Narodowym. Vinci poniekąd to przewidział: użył w jednej z arii taktów charakterystycznych dla poloneza. W przyszłym roku „Gismondo” podbije Dortmund i Amsterdam. Trudno się nie cieszyć ze zmartwychwstania dzieła, które opiewa wielkoduszość wielkiego Sarmaty. Niech Europa słucha i podziwia. My tu nad Wisłą lepiej znamy historię szlacheckiej Rzeczypospolitej i wiemy, że kij miał dwa końce. Polsko-litewscy władcy byli znanadto łaskawi dla zdrajców, intrygantów i warcholów.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Leonardo Vinci, „Gismondo, re di Polonia”

Opera w trzech aktach z 1727 r. w wersji koncertowej

Wykonawcy:

Gismondo: Max Emanuel Cenčić (kontratenor)

Otone: Jurij Mynenko (kontratenor)

Cunegonda: Sophie Junker (sopran)

Primislao: Aleksandra Kubas-Kruk (sopran)

Ernesto: Jake Arditti (kontratenor)

Giuditta: Diliara Idrisowa (sopran)

Ermanno: Wasyl Choroszew (kontratenor)

{oh!} Orkiestra Historyczna

Kierownictwo muzyczne, skrzypce: Martyna

Pastuszka

Kierownictwo muzyczne, klawesyn: Marcin

Świątkiewicz

Przy wsparciu Instytutu Adama Mickiewicza

Premiera 2 września 2018 r. w Gliwicach podczas Międzynarodowego Festiwalu Muzyki Dawnej Improwowanej „All'Improviso”, **wykonania:** 25 września 2018 r. w Wiedniu, 14 czerwca 2019 r. w Moskwie, 20 września 2019 r. w Warszawie. Planowane: w maju 2020 r. w Dortmundzie i jesienią 2020 r. w Amsterdamie.



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIESŁAW
CHĘĆMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Telewizja znowu łąże



★★★★★
**REŻ. PAWEŁ
 BOROWSKI**
**„JA TERAZ
 KŁAMIĘ”**
POLSKA 2019

wyst. Maja
 Ostaszewska,
 Paulina Walendziak,
 Tomasz
 Maćkowiak

Kiedyś polskie filmy chwalono za treść, bo forma pozostawiała zwykle wiele do życzenia. Dzisiaj wszystko się zmieniło: w kategoriach technicznych doganiamy świat, natomiast piętą achillesową stały się scenariusze.

Paweł Borowski jest władcą marionetek. Wymyśla bohaterów, których polubić trudno, i umieszcza ich w mało komfortowych sytuacjach. Aktorka, która wypadła z obiegu, podpadły reżyser i początkująca piosenkarka dla kariery zrobią wszystko. To czyni ich idealnymi uczestnikami telewizyjnego show „Konfesjonat gwiazd”. Zasada jest prosta – wygrasz, jeśli zdołasz wzruszyć publiczność żądną ekshibicjonistycznych wyznań. Prawdziwych lub wyssanych z brudnego palca.

Wiadomo, że kino nie przegapi żadnej okazji, by wbić szpilę swojej młodszej siostrze, warto jednak zadać sobie pytanie, czy znęcanie się nad telewizją ma jeszcze jakiś sens. Gołym okiem widać, że to potężne niegdyś medium wędnie w oczach. „Bogowie są gdzie indziej”, co przyznaje nawet gospodyni „Konfesjonatu gwiazd”. Gdyby Borowski chciał być na czasie, powinien wysmażyć fabułę o Twitterze albo Instagramie. Wolał jednak popełnić dzieło bezwstydnie oldskulowe, które za jakieś 30 lat będzie sprzedawane w pakiecie z „Czułymi miejscami” Andrejewa i „Wojną światów” Szulkina.

Wizualnie rzecz należy do gatunku „retrofutur”. Jesteście ciekawi, jak wyglądałby świat nietknięty Internetem i postmodernizmem, w którym estetyczną dyktaturę

sprawują pogrobowcy Le Corbusiera oraz entuzjaści stylu kosmicznego i gadżetów z lat 80.? Obejrzyjcie „Ja teraz kłamię”. Nawiązań jest tyle, że starczy na pracę magisterską. Za komuny polscy pisarze z branży fantastycznonaukowej nadawali postaciom krótkie, „zachodnie” imiona. U Borowskiego głównymi protagonistami są Celia, Yvonne, Mat i Kai. Janusz i Grażyna odpadli w przedbiegach.

Niestety, reszta jest banałem. Celebryci chleją łyskacza, wciągają nosem biały proszek i uprawiają wyuzdany seks. Menedżerowie gonią za kasą, policjanci źle traktują podejrzanych, a publikę najbardziej rozczula kalektwo i sieroctwo. Nazwanie tego filmu thrillerem jest kiepskim żartem. Intryga, szyta grubymi nićmi, snuje się leniwie, te same sceny oglądamy trzykrotnie. Finał, reklamowany jako zaskakujący, zastał mnie w stanie całkowitego zubożenia.

Łatwo przykleić popularnym aktorom obciachowe wąsiki i peruki, trudniej sprawić, by odnaleźli się w dziwacznej konwencji. Paulina Walendziak dała radę, Maja Ostaszewska wręcz przeciwnie. W głównej roli męskiej obsadziłbym Borę Szyca albo Piotra Adamczyka. Wcale nie kłamię. ©



KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „SPIDER-MAN: DALEKO OD DOMU”

Pierwszy film z uniwersum Marvela po „Avengers: Koniec gry”. Pograżony w żal po śmierci Starka Peter Parker, czyli Spider-Man, wyrusza na szkolną wycieczkę, ale zamiast czystej rekreacji czeka go spotkanie z Nickiem Furym rekrutującym bohaterów do nowych misji. Jako czarny charakter pojawia się Jake Gyllenhaal (zło-

wrogi Mysterio). Film otwiera także drogę do przyszłych fabuł rozgrywających się w alternatywnych liniach czasowych. ©

Piotr Gociek

• „Spider-Man: Daleko od domu”,
 reż. Jon Watts, wyst. Tom Holland,
 Samuel L. Jackson, Angourie Rice, USA 2019

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- „Midsommar. W biały dzień”,
 reż. Ari Aster, USA 2019
- „Szkoła melanżu”,
 reż. Olivia Wilde, USA 2019
- „Moja gwiazda. Teen Spirit”,
 reż. Max Minghella, USA 2018
- „Supa Modo”, reż. Likarion Wainaina,
 Niemcy/Kenia 2018

Serce w rozterce

Wyrzucić telefon komórkowy i zacząć życie od nowa. Piękne marzenie, szkoda, że nierealne. Zwłaszcza w Kraju Kwitnącej Wiśni.

Asako i Baku równa się wielka miłość, i to od pierwszego wejrzenia. Ona introwertyczka, on z fasonem dryfuje przez życie. Najlepsza koleżanka ostrzeża, że ich związek nie ma przyszłości, lecz Asako woli wierzyć w przeznaczenie. Rzecz jasna rację ma koleżanka: przystojniak Baku to jeden z tych gości, którzy wychodzą do kiosku po papierosy i wracają po kilku latach albo w ogóle.

Porzucona narzeczona wyjeżdża do Tokio, gdzie znów spotka mężczyznę swego życia w nowym, ulepszonym wcieleniu: w garnia-ku i z uporządkowa-

ną czupryną. Ryohei – sympatyczny korpuludek, ma tylko jedną wadę. W odróżnieniu od poprzednika pali papierosy. Dziwny to film, realistyczny i bajkowy zarazem. Gdyby Kieślowski usłuchał zewu Hollywood i nakręcił komedię romantyczną, pewnie wyszłoby mu coś w zbliżonym kształcie.



★★★★★

REŻ. RYŪSUKU HAMAGUCHI

„ASAKO. DZIEŃ I NOC”

JAPONIA, FRANCJA 2018

wyst. Erika Karata, Masahiro Higashide, Rio Yamashita

by mu coś w zbliżonym kształcie. Jest tu kilka świetnych scen tudzież wdzięcznych obrazków z egzystencji Japończyków, którym marzy się własny dom z ogródkiem i kotem. Tylko poczucie czasu wciąż mają inne niż Europejczy- cy. Czy naprawdę potrzeba dwóch godzin, by udowodnić, że romantyczna miłość istnieje tylko w głowach ludzi niedojrzałych? Przecież to oczywiście dla każdego. ©©

Wiesław Chełmniak



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

GRA TYGODNIA: „STEEL DIVISION 2”

Po pierwszej, dobrze przyjętej przez graczy części gry strategicznej osadzonej w realiach lądowania alian- tów w Normandii „Steel Division 2” zabiera nas na front wschodni. A dokładnie na kluczowe odcinki operacji Bagration, podczas której Armia Czerwona przetoczyła się

żelaznym walcem przez Wehrmacht na terytorium Węgier i zatrzymała aż nad brzegiem Wisły. W produkcji Eugen Systems urzeka dopracowany idealny balans pomiędzy walką całych zgrupowań czołgów i piechoty na mapie taktycznej a dowodzeniem poszczególnymi jednostkami.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

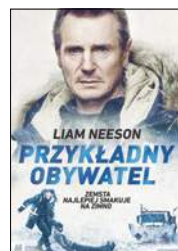


W sam raz na długie wakacyjne wieczory. ©© **Marcin Makowski**

- **Gatunek:** Strategia
- **Platforma:** PC
- **Producent, dystrybutor:** Eugen Systems
- **Klasyfikacja PEGI:** 12+

W IMIĘ SYNA

„Przykładny obywatel” to amerykańska wersja norweskiego filmu „Obywatel roku”, nakręcona zresztą przez tego samego reżysera – Hansa Pettera Molanda, znanego także m.in. z filmów „Aberdeen” czy „Kraina szczęścia”. W roli głównej zmiast Stellana Skarsgård – Liam Neeson. Zmiast Norwegii – Kolorado. Zmiast serbskiej mafii – mafia indiańska. Reszta bez zmian, czyli: ojciec mści się na bandziorach, którzy zamordowali mu syna (bez powodu – dzieciak miał niewłaściwych znajomych i był w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie). Wersja norweska była czarną komedią rozegraną ładnie na półtonach, z absurdalnymi dialogami niemal jak z Tarantino. Ta amerykańska jest bogatsza, ładniejsza i bliższa konwencjonalnemu kinu zemsty (w iluż takich produkcjach widzieliśmy ostatnio Neesona!). Nie jest to jednak typowy Hollywood, i bardzo dobrze. Moland ponownie postawił na całości własny autorski stempel, igrając przy tym z różnymi kliszami popkultury. ©©



wyst. Liam Neeson, Laura Dern, Tom Bateman

★★★★★

REŻ. HANS PETTER MOLAND
„PRZYKŁADNY OBYWATEL”
USA 2019, DYSTR. MONOLITH

JAK ZATRZYMAĆ ARMAGEDON

Sześcioodcinkowa ekranizacja warcholskiej i zdaniem niektórych satanistycznej powieści Neila Gaimana i Terry’ego Pratchetta. Marzył o niej Terry Gilliam, do skutku doprowadził sam Gaiman, który napisał także scenariusz. Produkcja dostępna jedynie w serwisie Amazon – rywalizacja między gigantami Internetu nabiera



wyst. David Tennant, Michael Sheen, Frances McDormand, Jon Hamm

★★★★★

„DOBRY OMEN”
USA 2019,
DYSTR. AMAZON

rozpędu. Rzecz o nietypowej przyjaźni lubiącego dobrze pożyć demona (David Tennant) oraz dobrodusznego, lubiącego rozkosze podniebienia anioła (Michael Sheen), którzy w ostatnich dniach przed Armagedonem muszą znaleźć zagubionego Antychrysta. Bez niego cały koniec świata na nic. Chociaż obsada łśni, całość jest męcząca. Po odfiltrowaniu znanego z książki prześmiewczego stylu Pratchetta okazuje się, że zostaje nam jedynie seria sztubackich żarcików. Niby obrazoburczy bunt przeciw temu, co w Biblii, ale poziom późnej podstawówki. ©©

recenzuje Piotr Gociek

★★★★★

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Podróże węgierskiego Sindbada

Do tej rozkosznej, choć z wyraźną myśką prozy dochodziłem długo, o wiele za długo, tak jak zresztą do całej literatury węgierskiej. Pamiętam, że jeszcze w szkole zachwyciłem się małą książeczką „Niki. Historia pewnego psa” Tibora Déryego, po raz pierwszy wydaną po polsku przez Jerzego Giedroycia w 1959 r., a na następne ważne spotkanie z tą literaturą czekałem chyba do Nobla dla Kertésza, czyli do 2002 r. Potem już popłynęło... „Harmonia caelestis” Pétera Esterházyego, László Krasznahorkai, a przede wszystkim olśnienie systematycznie tłumaczoną (przez Teresę Worowską, Irenę Makarewicz i nieżyjącego już Feliksa Netza) i publikowaną twórczością Sándora Máraiego.

I to przez Máraiego, a ściślej mówiąc – przez jego książkę „Sindbad powraca do domu”, przełożoną przez Worowską, a wydaną w Czytelniku w 2008 r., poznałem pisarstwo Gyuli Krúdyego. Powieść tę napisał Márai stylem swojego ulubionego pisarza o nim samym. Tytułowym Sindbadem jest bowiem ten zmarły w 1933 r. prozaik, autor wielu powieści, opowiadań, felietonów i artykułów, którego największym osiągnięciem okazała się „Młodość Sindbada” z 1911 r. Swojego „Sindbada...” Márai wydał w roku 1941 i pokazał w nim – oczywiście wyimaginowany, choć w granicach rozsądku – ostatni dzień życia 55-letniego pisarza, którego uznał za swego mistrza. Nie on jeden. Z postawia Elżbiety Cygielskiej do „Miasta uśpionych kobiet” dowiedziałem się, że – jak wyliczył Lajos Grendel, współczesny historyk literatury – ośmiu na dziesięciu pisarzy węgierskich kocha Krúdyego. Bo i jest za co. Nikt



FOT. WIKIPEDIA

tak jak on nie pisał o jego rodzinnej Krainie Brzóz, czyli Nyírség, „gdzie – popadał w liryzm – powietrze, piasek, wiatr; woda i łąki mają taki czar, że Węgrem nad Węgrami staje się każdy, choćby miał ojca, który nawet nie mówił po węgiersku”.

Krúdy akurat mówił, choć sytuację rodzinną miał skomplikowaną. Jego ojciec (też Gyula), pochodzący z zamożnej, szlacheckiej rodziny, wdał się w romans ze służącą, ona zaszła w ciążę, pani ją wyrzuciła za drzwi, honorowy młodzian udał się w ślad za nią, by po latach, już jako wzięty adwokat, wziąć ślub z matką – uwaga! – jego dziesięciorga dzieci. Przyszły autor „Młodości Sindbada” miał wtedy lat 17 i, idąc w ślady ojca, też postawił się ojcu. On z kolei ożenił się z córką rabina, zrezygnował też z wymarzonych dla niego przez ojca studiów prawniczych, by zawodowo poświęcić się pisaniu. Ojciec go wydziedziczył, chłopak był jednak ambitny i niewątpliwie

utalentowany, co nie zmienia faktu, że żyło mu się ciężko, bo gazety we wierszówki nie były wysokie, a i pieniądze się go nie trzymały, nie lada był bowiem z niego utracjus, wybitny smakosz (a chyba i żarłok), pijak jeszcze większy, kobieciarz, a przede wszystkim człowiek towarzyski i, jak byśmy dziś powiedzieli, urodzony reporter, który jednak najprostszej nawet opowiadanej historii potrafił nadać głębszy wymiar. W każdym razie, niestety, życie rodzinne autora „Miasta uśpionych kobiet” nie udało mu się ani z pierwszą, ani z drugą małżonką.

W 1897 r. przeniósł się do Pesztu, którego na dobrą sprawę do śmierci nie opuścił. Jego Sindbad odbywa podróże w zdecydowanej większości fantasmagoryczne. A sam Krúdy podróżuje, a jakże, od kawiarni do restauracji, od hotelu do winiarni, od klubu do redakcji, gdzie cierpliwie czeka na mizerne wypłaty. Rozmyślając o kobietach, o których pisał tak jak Bruno Schulz, z którym często bywa porównywany, na punkcie kobiecych kolan mając prawdziwego fioła. A z uwagi na sposób operowania czasem Kertész – między innymi – zestawia go z Kafką i Proustem. Ale proszę się nie przejmować tymi analogiami. Tę prozę naprawdę czyta się świetnie; jest ona – nie tylko dlatego, że często traktuje o jedzeniu – wysoce smakowita.

Gyula Krúdy podkreślał, że niczego w swoim życiu nie żałuje. Tak jak nie żałował – pisał w tytułowym opowiadaniu tomu „Miasto uśpionych kobiet” – „grzechów ani cnót, po prostu niczego, co robiłem. Z niektórymi ludźmi jest kłopot, bo na łożu śmierci nie mają z czego spowiadać się księdzu”. Nie, to nie był jego przypadek. ©©



★★★★★
GYULA KRÚDY
„MIASTO
UŚPIANYCH
Kobiet”
PIW 2019



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Dzień Lisa

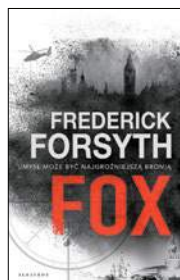
Niemal pięć dekad od premiery „Dnia Szakala” Frederick Forsyth wciąż pozostaje arcy mistrzem literatury szpiegowskiej i sensacyjnej. „Fox”, jego najnowsza powieść, zdradza już jednak pewne objawy wyczerpania. Nie gatunku, lecz sił twórczych autora.

Tytułowy „Fox” to genialny autystyczny 18-latek, haker, na którego trop amerykańskie i brytyjskie służby wpadają przy okazji śledztwa w sprawie cyberwłamania do najbardziej sekretnej bazy danych USA. Szczęście w nie-szczęściu – sprawca nie jest rosyjskim superszpiegiem ani nie pracuje dla kolejnego Edwarda Snowdena. To po prostu dzieciak buszujący w sieci dla frajdy, tyle że niesłychanie uzdolniony. To wokół niego toczy się akcja „Foxy” – Zachód wykorzystuje go jako superbroń, Rosja próbuje odkryć, kto zaczął, i zlikwidować. A głównymi mózganiami tego pojedynku są brytyjski as wywiadu sir Adrian Weston i jego rosyjski przeciwnik z SWR (rosyjski wywiad zagraniczny) Jewgienij Kryłow.

To wciąż thriller na poziomie niedostępnym konkurentom, pełen świetnych pomysłów, doskonałego dogłębnego researchu i dowodzącego wielkiego rozumienia przez Forsytha mechanizmów rządzących światem polityki i służb. Jednak po

imponującym początku, po świetnej mniej więcej połowie „Fox” staje się opowieścią pobieżną, jakby ponad 80-letni autor, świadom tego, że być może to jego ostatnia książka, chciał jeszcze zmieścić w niej koncepty, z których niejeden pisarz ulepiłby spokojnie kilka osobnych powieści. Powieść zamienia się w zachodnią fantazję o tym, jak w krótkim czasie skarcić, i to surowo, wszystkich wrogów wolności – Iran, Koreę Północną, Rosję. Czyli zrobić to, czego przywódca USA i Wielkiej Brytanii nie potrafią w prawdziwym świecie.

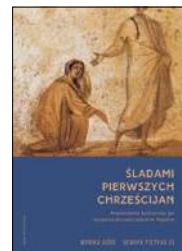
Zabawa jest jednak przednia, choć mocno przerażająca. Forsyth nie ma żadnych wątpliwości co do natury i celów Putina (zwanego u niego po prostu Woźd'iem – wodzem), który używa gazu ziemnego, by podporządkować sobie Europę. Co ciekawe, brytyjski pisarz dużo bardziej niepokoi się South Stream i Turkish Stream niż instalacją Nord Stream 2. Polscy czytelnicy powinni też szczególnie uważnie przeczytać fragment o Nocnych Wilkach, niesławnym rosyjskim gangu motocyklowym, który wciąż ma u nas obrońców i sympatyków („Och, to tylko nieszkodliwi fani motoryzacji”), podczas gdy Forsyth opowiada o ich prawdziwej działalności. Pełna byłych żołnierzy specnazu grupa to po prostu specjaliści od morderstwa. ©



★★★★★
FREDERICK FORSYTH
„FOX”
ALBATROS 2019

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Niewielka, pożyteczna książeczka nakładająca na mapę słynnych zabytków starożytnego Rzymu siatkę miejsc ważnych dla pierwszych wieków chrześcijaństwa. Połączenie przewodnika z kompendium wiedzy historycznej.



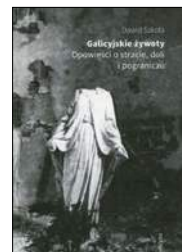
**MONIKA OŻÓG,
HENRYK PIETRAS SJ**
**„ŚLADAMI
PIERWSZYCH
CHRZEŚCIJAN”**
WAM

Nowy zbiór laureata pierwszej edycji Nagrody im. Marka Nowakowskiego dla autorów opowiadań. O Warszawie, ale i o polskiej historii, czasem z nostalgią, niekiedy okrutnie. Chmielewski to pisarz z tomu na tom lepszy.



WOJCIECH CHMIELEWSKI
**„MAGICZNE
ŚWIATŁO MIASTA”**
ARCA

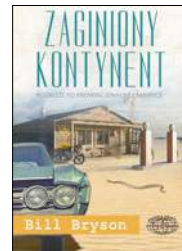
Ładne wędrowkopisanie po ziemiach utraconych II RP. Śladami trochę Jerzego Stempowskiego, trochę Józefa Rotha. Z dala od bieżącej polityki, spoglądając w przeszłość, próbując zrozumieć ludzką dolę i niedolę.



DAWID SZKOŁA
**„GALICYJSKIE
ŻYWOTY”**
OFFICyna

„Podróże po prowincjonalnej Ameryce” (podtytuł) to zapis peregrinacji autora z lat 80. XX w., ale jego obserwacje sprzed kilku dekad są zadziwiająco aktualne – zrozumiecie dzięki nim m.in. fenomen poparcia dla Trumpa. ©

poleca Piotr Gociek



BILL BRYSON
**„ZAGINIONY
KONTYNET”**
ZYSK I S-KA

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. **Jo Nesbo „Nóż” (Wydawnictwo Dolnośląskie)** – 12. powieść o Harrym Hole'u, który znów tkwi po uszy w kłopotach, także osobistych.
2. **Michel Houellebecq „Serotonina” (W.A.B./GW Foksal)** – nowa powieść największego pisarza XXI w. Ponury obraz kryzysu duchowego Zachodu.
3. **Augustyn Pelanowski „Testament duchowy” (Fides)** – najnowsza książka krakowskiego paulina, kaznodziei znanego m.in. z łamów „Gościa Niedzielnego”.
4. **Piotr Glas „Ostatnie wołanie Maryi” (Esprit)** – ks. Piotr Glas o ordęziach Matki Bożej, które świat poznał w Fatimie, Akicie, Kibeho i La Salette.
5. **Swietłana Aleksijewicz „Czarnobylska modlitwa” (Czarne)** – wznowienie reportażu białoruskiej noblistki (efekt popularności serialu HBO „Czarnobyl”).

(Najchętniej kupowane książki na Bonito.pl – z wyłączeniem poradników)



Skrzat dziesięcioletni

FOT. FACEBOOK/HOBOUD

Od dekady na scenie, choć wciąż na paliwie z pierwszej płyty. Album „Wskrzeszenie Hobouda” był mocnym folkowym debiutem 2009 r., zgarnął kilka nagród. Po 10 latach od debiutanckiego albumu grupa wciąż koncertuje, choć rzecz jasna w nieco zmienionym składzie. I nie ma co im wypominać, że z przerwami

po drodze. Jak widać, dla Hobouda jedno wskrzeszenie to zwyczajnie za mało.

Zespół Hoboud powstał w Olsztynie i od samego początku czerpał z tradycji Warmii, z warmińskiej gwary. Działając pod czujnym okiem Edwarda Cyfusa – regionalisty, znawcy gwary, autora gwarowych publikacji

i pogadanek. Na płycie grupy występuje w roli narratora. Zajął się również przekładem tekstów literackich na gwary, a także pomógł wyeliminować z zebranych do płyty pieśni błędy gwarowe, które występowały w obiegowych wersjach utworów.

Ciekawa jest etymologia nazwy zespołu. Hoboud

to złośliwy skrzat. Próżno go szukać w warmińskich legendach. Zespół wymyślił go sobie i wskrzesił przed dekadą. Nie wziął go jednak znikąd, to połączenie stworzeń, które wedle pogańskich wierzeń hasały po ziemi Warmii, Mazur i Powiśla. Inspiracją do powstania Hobouda były m.in. Kłobuki, Koboldy czy najbardziej podobnie brzmiące z nazwy Choboldy. Jak opisuje to zespół: „w starych, zapisywanych w XIX w. pieśniach odnaleźliśmy naszego »Hobouda«, czyli uosobienie wielu pomniejszych i większych »żywoducho«, które tu występowały”.

Cóż, ostatnio ten skrzat ma się całkiem nieźle, zapuszcza się na różne sceny, słycać go w Polsce i poza jej granicami. Życzyć mu należy wytrwałości, by kolejną dekadę robił swoje bez dłuższych przerw. ©©

Radosław Wojtas



GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Granie z duszą

Świętujemy radość ze wspólnego tworzenia głośnej muzyki rockowej” – oznajmił Jack White. Po 10 latach przerwy powróciła grupa starych przyjaciół z amerykańskiej sceny alternatywnej.

Wprawdzie White jest gwiazdą, ale The Raconteurs jest projektem bez lidera. Kompozycje są wspólnym dziełem Jacka i Brendana Bensona i oni też dzielą się partiami wokalnymi. Wraz z Patrickiem Keelerem i Jackiem Lawrence’em kochają spontaniczność i uwielbiają rocka sprzed ery MTV. Stąd płyta trwa jak dawniej „tylko” 42 min.

Przeważają melodyjne, energetyczne tzw. power-popowe piosenki śpiewane przez gitarzystów w duecie. Mamy

też klasyczny rock garażowy, heavy metal i siarczasty funk. Największe wrażenie robią jednak ballady: fortepianowa „Shine The Light on Me” i harisonowska „Somedays (I Don’t Feel Like Trying)”. Prawdziwą perłą jest kończący album utwór „Thoughts and Prayers”. To hołd złożony Plantowi i Page’owi, ale bez podrabiania zeppelinowskich patentów. Co więcej, najwięcej ognia daje goszcząca w nagraniu była dziewczyna Jacka, skrzypaczka Lillie Mae Rische.

„Help Us Strangers” jest mimo odniesień do przeszłości albumem mogącym zaintrygować również młodzieńców kochających gitarowe granie. Granie z rockową duszą. ©©



★★★★★
**CHRIS ROBINSON
BROTHERHOOD**
„SERVANTS
OF THE SUN”
SILVER ARROW

Były wokalista Black Crowes lewituje nad Kalifornią z lat 70. Gitary z Grateful Dead, funkowy klawisz z Little Feat, a w tekstach chrom, anioły, wirujące planety... Grupa stylowo przygrywa ku radości miłośników natchnionych hippisowskich klimatów.



★★★★★
**CALEXICO / IRON
& WINE**
„YEARS TO BURN”
CITY SLANG

Po 14 latach czołowi przedstawiciele stylu americana ponownie połączyli siły. Pięknie bujający country rock wzbogacony w tle o urokliwe trąbeczki i gitarę hawajską. Idealna muzyka na parne wieczory przy wegegrillu i winie bio. ©©



★★★★★
THE RACONTEURS
„HELP US
STRANGER”
THIRD MAN



**polski
produkt**

**IV EDYCJA
KONKURSU**

**NAGRADZAMY PRZEDSIĘBIORSTWA,
KTÓRE WYTWARZAJĄ POLSKIE PRODUKTY**

WIĘCEJ INFORMACJI: POLSKI-PRODUKT.DORZECZY.PL



PARTNER STRATEGICZNY



PARTNER GŁÓWNY



PARTNER



PARTNER GALI



Rola publicysty, który pisze o polityce zagranicznej własnego państwa, jest rolą niewdzięczną. A już szczególnie, jeżeli publicysta taki jest Polakiem. Naród nasz – jak mówił Winston Churchill – ma bowiem wszelkie przymioty oprócz zmysłu politycznego. Zamiast zdrowym rozsądkiem i rozważą kieruje się emocjami i pobożnymi życzeniami. Ma tendencję do przeceniania siły i znaczenia własnego państwa.

Sprawia to, że publicysta polski musi często iść wbrew uczuciom własnego narodu. A to jest rzeczą przykrą. Zadaniem publicysty nie jest jednak zabieganie o popularność i poklask władzy. Jego zadania to wskazywanie na realne zagrożenia, które stoją przed państwem, chłodzenie idącego zbyt daleko optymizmu, temperowanie nazbyt wybujałych oczekiwań. Tak aby ojczyźnie zaoszczędzić klęsk, a narodowi – bolesnych rozczarowań.

Nie przez przypadek piszę te słowa krótko po spektakularnej wizycie prezydenta Andrzeja Dudy w Waszyngtonie. Wizycie, która stała się symbolicznym przypieczętowaniem „strategicznego partnerstwa” między Warszawą i Waszyngtonem.

Zdaje sobie sprawę, że to wszystko musiało zrobić kolosalne wrażenie. Gabinet Owalny, biało-czerwone flagi obok gwiazdzistych sztandarów, przywódca światowego supermocarstwa kadzący Polakom. Refleks słońca odbity na kabinie myśliwca F-35 przelatującego nad Białym Domem. Brzęk kieliszków podczas przyjęcia wydanego przez Donalda Trumpa na cześć polskiej pary prezydenckiej.

Tak, to mogło oszołomić! W polityce międzynarodowej wszystko to są jednak sprawy drugorzędne. Czerwone dywany, blichtr; nawet najbardziej szczytne deklaracje i obietnice – to tylko fasada. Gra pozorów. A co się liczy? Twarde interesy. Realna siła państwa, jego wpływy i jego bezpieczeństwo. Liczą się również pieniądze.

Spróbujmy więc obedrzeć polsko-amerykańskie „partnerstwo” z blyszczącego opakowania i przyjrzeć mu się przez pryzmat wymienionych wyżej realnych kryteriów. Okaże się wówczas, że powodów do entuzjazmu jest mniej, niż mogłoby się wydawać.

ROLA PETENTA

Mimo że w tym układzie jesteśmy partnerem słabszym i biedniejszym,

Egzotyczny sojusznik



Piotr Zychowicz

Za sojusz ze Stanami Zjednoczonymi zapłacimy miliardy. A amerykańskie gwarancje bezpieczeństwa mogą okazać się złudne

to my poniesiemy jego koszty. Będą kolosalne. Same samoloty F-35 – według ekspertów – będą kosztować kilkadziesiąt miliardów złotych. Kolejne miliardy zapłacimy za obecność amerykańskich żołnierzy na naszej ziemi. Kolejne za amerykański gaz, którego cena wcale nie jest konkurencyjna.

Zwolennicy obecnej linii polskiej polityki zagranicznej mają na te wątpliwości stałą odpowiedź: taka jest cena bezpieczeństwa. Trzeba zapłacić Amerykanom grube pieniądze, ale w zamian za to oni nas będą bronić przed agresją Rosji.

Argument ten budzi poważne wątpliwości. Bo jeżeli go przyjmujemy, to właściwie nie powinniśmy już mówić o żadnym polsko-amerykańskim sojuszu

czy partnerstwie. Stany Zjednoczone stają się po prostu wielką agencją ochroniarską. A Polska jej klientem. A raczej petentem. To prowokuje do zadania dwóch zasadniczych pytań. Po pierwsze – czy zagrożenie ze strony Rosji jest rzeczywiście tak poważne i palące, że agencji ochroniarskiej należy płacić aż tak wysoki abonament? Po drugie – czy w momencie wybuchu wojny możemy rzeczywiście na agencji ochroniarskiej polegać? Czy Ameryka dotrzyma udzielonych nam gwarancji?

Politycy PiS dają na te pytania prostej i konkretnej odpowiedzi: tak, tak. Tak, Rosja w każdej chwili może nas zaatakować. Tak, Ameryka na pewno nam pomoże. I na założeniach tych nasza dy-



Prezydent Andrzej Duda z prezydentem Stanów Zjednoczonych Donaldem Trumpem podczas wizyty w USA FOT. POLARIS/EAST NEWS

plomacja buduje całą swoją dalekosiężną strategię. Obawiam się jednak, że mogą być to założenia chybione. Bardziej prawdopodobna wydaje mi się odpowiedź odwrotna. Czyli: nie, nie.

Zacznijmy od sprawy pierwszej. Czyli wiszącej rzekomo nad Polską groźby rosyjskiej inwazji. Jakoś nie chce mi się wierzyć w to, że Władimir Putin obudzi się pewnego dnia rano i wezwie na Kreml swoich generałów: „Mało mi Osetii, mało Abchazji, mało Krymu i mało Donbasu! Dajcie mi Warszawę!”. Nie bądźmy śmieszni. Rosja ma już wystarczająco dużo kłopotów na karku, żeby pakować się jeszcze w taką awanturę.

Konflikt na Ukrainie – wbrew opiniom co bardziej strachliwych komentatorów

– obnażył bowiem nie siłę Rosji, ale jej słabość. Chociaż Rosjanom udało się zaskoczenia wyszarpać Ukraińcom Krym, dalej szło już im jak po grudzie. Gdy Ukraińcy otrząsnęli się z pierwszego szoku, zebrali szczękę z podłogi i zaczęli stawiać opór – Rosja wytraciła swój impet.

Fiaskiem zakończyła się próba wykrojenia z Ukrainy Noworosji. Rosja ugrzęzła w lokalnej wojence o Donbas, która ślimaczy się już piąty rok i cały czas nie widać jej rozstrzygnięcia. Koszty dla Moskwy – m.in. na skutek międzynarodowych sankcji – są gigantyczne. A przecież Ukraina w momencie rosyjskiego ataku tylko formalnie była państwem. Nie była również członkiem UE i NATO. Była więc dla Rosji znac-

nie mniejszym wyzwaniem niż Polska. A wyszło, jak wyszło.

Pomysł, że Rosja, która wykazała się taką nieporadnością w konfrontacji z Ukrainą, miałyby zaatakować Polskę – wydaje się więc mało realistyczny. Po co zresztą Moskwa miałyby decydować się na taki krok? Jakie interesy mogłyby zrealizować? Cóż tak cennego znajduje się w Polsce, że warto nas najechać?

Czy mamy dużą mniejszość rosyjską? Czy mamy konflikt terytorialny z Rosją? Czy Rosja ma w Polsce jakieś wielkie inwestycje, których bezpieczeństwa musi bronić? Pytania te są oczywiście retoryczne. Nic takiego nie występuje. Kierujący się chłodną kalkulacją władcy Kremla doskonale zdają więc sobie sprawę, że podejmując decyzję o ataku na Polskę, mogliby znacznie więcej stracić niż zyskać.

Jest tylko jeden powód, który przychodzi mi do głowy, dla którego Rosja mogłyby podjąć jakiekolwiek zaczepne działania przeciwko naszemu państwu. Chodzi oczywiście o obwód kaliningradzki. Jeżeli Moskwa dojdzie do wniosku, że dalsze trwanie pruskiej enklawy jest zagrożone, może poczynić kroki o nieobliczalnych konsekwencjach. O ile jednak mi wiadomo, Polska Królewska najeżdżać nie ma zamiaru.

Nieuzasadniony strach przed wojną z Rosją osłabia tymczasem naszą pozycję w relacjach ze Stanami Zjednoczonymi. To zresztą mechanizm zrozumiały psychologicznie. Osoba, która czuje się zagrożona atakiem, gotowa jest zapłacić więcej za ochronę. I przyjąć bez szemrania wszystkie warunki, które stawia jej potencjalny obrońca. Kupować od niego nie to, czego rzeczywiście potrzebuje, ale to, co akurat obrońca ma do sprzedania. Za każdą cenę.

ŻYCIE TO NIE FILM

Trudno zgodzić się z poglądem, że ustalenia „szczytu Duda-Trump” w jakiś znaczący sposób podniosły bezpieczeństwo Polski. Zanim F-35 z białoczerwoną szachownicą na skrzydłach będą gotowe do użycia w warunkach bojowych, miną lata. Tyle zajmie bowiem szkolenie pilotów i stworzenie całego zaplecza logistycznego dla tej superbroni przyszłości.

Niewiele pomoże nam również dodatkowy tysiąc żołnierzy U.S. Army, którzy będą rotacyjnie przebywali na terenie naszego kraju. Mało tego, może okazać

■ się, że ich obecność nie zwiększy naszego bezpieczeństwa, ale je zmniejszy. Rozdrażni bowiem tylko Rosję, a na wypadek wojny amerykańscy żołnierze okażą się i tak bezużyteczni.

W ten sposób dochodzimy do sprawy fundamentalnej. Co jeżeli wojna z Rosją rzeczywiście wybuchnie? Scenariusz taki uważam za niezwykle mało prawdopodobny, ale należy przecież rozważyć każdy rozwój wypadków.

Czy możemy liczyć na USA? Czy Ameryka – niczym kowboj w hollywoodzkim filmie – w kulminacyjnym momencie wybijie kopniakiem drzwi do saloonu i wkroczy na scenę z dwoma nabitymi coltami? Chyba pora zejść na ziemię. Prawdziwe życie i prawdziwa polityka to nie hollywoodzki film. Stany Zjednoczone w obronie Polski bić się z Rosją nie będą.

Dlaczego? Z dwóch podstawowych powodów. Po pierwsze Rosja ma potężny arsenał nuklearny. Dlatego żaden amerykański prezydent – ani republikanin, ani demokrat – nie zaryzykuje anihilacji milionów własnych obywateli w obronie peryferyjnego państewka, jakim z perspektywy Waszyngtonu jest Polska.

Po drugie konflikt z Rosją oznaczałby dla Amerykanów prowadzenie wojny na dwa fronty. Stany Zjednoczone stoją bowiem u progu globalnego zderzenia z Chinami – wschodzącą potęgą, która rzuciła wyzwanie globalnej dominacji USA. Liczenie na to, że stojący przed takim wyzwaniem Waszyngton zdecyduje się na równoczesną konfrontację z Rosją, to... niepoprawny optymizm.

Bardziej prawdopodobny wydaje się inny scenariusz: próba pozyskania życzliwości Rosji, a może wręcz wciągnięcia jej do antychińskiej koalicji. Pamiętajmy, że na tym odcinku interesy Moskwy i Waszyngtonu są zbieżne. Pęczniejące, duszące się w swoim ograniczonym terytorium Chiny stanowią bowiem poważne zagrożenie dla wyludnionej Syberii.

Jeżeli zaś Chiny zostaną zwyciężone dzięki kooperacji Ameryki z Rosją, to – parafrazując Władysława Studnickiego – Rosja będzie musiała zostać czymś wynagrodzona. Czym? Na przykład Europą Wschodnią. To jest oczywiście scenariusz najczarniejszy z możliwych. Warto jednak również i taki brać pod uwagę. Czy robią to nasi rządzący – śmiem wątpić.

BEZ SENTYMENTÓW

W dyskusjach na temat sojuszu polsko-amerykańskiego słyszę często ten sam

argument – Amerykanie nas kochają. A już szczególnie dotyczy to prezydenta Donalda Trumpa, który – jak ogłosił niedawno słynny już paskowy z TVP – „lubi i ceni Polaków”.

– Nie słyszał pan, panie Piotrze, pięknego przemówienia Trumpa przed pomnikiem Powstania Warszawskiego? – mówią moi adwersarze. – Nie słyszał pan, jak prezydent USA z podziwem mówił o polskim bohaterstwie?

– Niestety – odpowiadam – w polityce uczucia i sentymenty nie odgrywają żadnej roli. Liczą się tylko żywotne interesy. A tych Ameryka dla Polski na szwank nie narazi.

Stanisław Cat-Mackiewicz dzielił sojusze na „naturalne” i „egzotyczne”. Pierwsze były wskazane, a drugie – niebezpieczne.

Najbardziej racjonalna wydaje mi się orientacja na Europę Zachodnią. Polska połączona strategicznym sojuszem z Berlinem, Paryżem i całą Unią Europejską. Polska, która dzięki silnej pozycji w Unii skupia wokół siebie państwa regionu

„Sojusze zawarte pomiędzy państwami zbyt daleko od siebie położonymi i nierównie silnymi są często sojuszami egzotycznymi” – pisał Mackiewicz. „Najnaturalniejsze sojusze są sojuszami państw sąsiadujących ze sobą. Jeśli utraciła niepodległość przez jakieś państwo pociąga utratę niepodległości innego państwa, to sojusz pomiędzy tymi dwoma państwami jest sojuszem naturalnym, wskazanym”.

Według Mackiewicza typowym sojuszem egzotycznym był nieszczęsny układ, który Polska w 1939 r. podpisała z Wielką Brytanią. Udzielone nam przez Londyn gwarancje okazały się nic niewarte. Nasz „sojusznik” skierował na nas pierwsze uderzenie Hitlera, a następnie nie kiwnął palcem w naszej obronie.

Obawiam się, że również współczesny sojusz z Ameryką jest sojuszem egzotycznym. W całej tej sprawie jest tylko jedna pocięcha: Władimir Putin – całe szczęście – nie jest Hitlerem. A współczesna Rosja nie jest III Rzeszą. Margines błędów nasi rządzący mają więc większy, niż miał go Józef Beck.

Na koniec wypada zapytać: co robić? Jeżeli nie Ameryka, to kto? Musimy prze-

cież mieć jakichś sojuszników! Odpowiedzi na to pytanie udzielałem już wielokrotnie. A brzmi ona: Europa, Europa, Europa. Czy nam się to podoba, czy nie, Polska nie graniczy z Arizoną, tylko z Niemcami. Niestety, drodzy przyjaciele, nigdy nie staniemy się 51. stanem USA.

Najbardziej racjonalna wydaje mi się więc orientacja na Europę Zachodnią. Polska połączona strategicznym sojuszem z Berlinem, Paryżem i całą Unią Europejską. Polska, która dzięki silnej pozycji w Unii skupia wokół siebie państwa regionu. To jest Polska będąca poważnym graczem.

Dopiero taka Polska może rozmawiać ze Stanami Zjednoczonymi z pozycji partnera. A nie z pozycji wasala, który nie ma innego wyjścia niż wisieć na amerykańskiej kłamce. Jak bowiem przekonywał Cat-Mac-

kiewicz: „Sojusze egzotyczne mogą być doskonałym uzupełnieniem systemu bezpieczeństwa danego państwa, nigdy jednak nie mogą mu zastąpić systemu bezpieczeństwa wynikającego bądź z sił własnych, bądź z sojuszników naturalnych”.

I to jest właśnie sedno sprawy. Stany Zjednoczone mogą być jednym z elementów polskiego systemu sojuszy. Ale nie mogą być naszym jedynym poważnym, strategicznym sojuszniakiem. Nie możemy całego bezpieczeństwa narodowego Rzeczypospolitej opierać na wierze w Amerykę.

Obecna sytuacja, w której jednocześnie skonfliktowaliśmy się z Rosją (bo Smoleńsk), z Ukrainą (bo Wołyń), z Brukselą (bo Trybunał), z Francją (bo caracale), z Niemcami (Bóg raczy wiedzieć dlaczego) i innymi europejskimi graczami – jest niezwykle niebezpieczna. Polisa ubezpieczeniowa, w której pokładamy wszelkie nasze nadzieje, może bowiem okazać się polisą bez pokrycia. Tylko hazardzista stawia wszystko na jedną kartę.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Za tydzień polemika Piotra Semki z tezami stawianymi przez Piotra Zychowicza.



IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Wenecka lekcja

Dawno temu, w zamierz-
chłych czasach rządu
Hanny Suchockiej
pojechałem pierwszy
raz do Włoch. Byłem m.in.
w Wenecji i w Rzymie. Rzym
spodobał mi się bardzo, Wene-
cja wydała mi się okropna.

Moja wizyta trwała ledwo
kilka godzin, ale przez lata
uważałem, że miasto Świę-
tego Marka to coś na kształt
dekoracji teatralnych roz-
stawionych dla turystów, za-
mieszkańcych wyłącznie przez
antypatycznych kelnerów
i gburowatych sprzedawców
pamiątek. Jak to dziś mówią:
byłem na „nie”.

A teraz wracamy do
teraźniejszości. Podczas wa-
kacyjnego wyjazdu do Włoch
przemogłem swą niechęć i po-
stanowiłem pokazać Wenecję
dziecku. W ramach dreczenia
nieletnich, czyli wtłaczania do
młodego mózgu informacji,
które można znaleźć w Inter-
necie, ale lepiej mieć jednak
w pamięci podręcznej. Uzna-
łem, że takie dziwko jak miasto
położone na wyspach, gdzie
nie ma dróg, tylko kanały,
trzeba poznać. Choćby po to,
żeby wiedzieć, o co chodzi, gdy
ktoś mówi o Bydgoszczy, że
to Wenecja Północy. I co to za
jeden ten doża.

Spędziliśmy zatem
w Wenecji cały dzień, nie
licząc nocy w dusznym
pokoiku na peryferiach,
wynajętym od Hinduski.

Zwiedzając miasto, nie-
ustannie poszukiwałem jego
okropnych cech, za które mi
podpadło. Ale wszystko było
inaczej niż w mojej impresji
sprzed ćwierć wieku. Tubylcy
normalnie tu funkcjonowali
i wrażenie sztuczności, które

wcześniej wyniosłem, ulotniło
się bezpowrotnie. Kelnerzy
wcale nie byli gburowaci, tylko
po włosku serdeczni, no może
trochę zblazowani. Tłumy
turystów oczywiście były, ale
poza okolicami placu Świętego
Marka łatwo było znaleźć
zaciszne, uroczne zakątki, które
przez chwilę należały tylko
do nas, okolicznych kotów
i historii. Broniełem się dosyć
długo, w czym wspierały mnie
absolutnie wysokie ceny
absolutnie wszystkiego, ale
w końcu uległem. Wenecja
mnie oczarowała.

Co się stało? Co się
zmieniło? Założyłem,
chyba słusznie, że przez
te 25 lat Wenecja niezbyt się
zmieniła, w przeciwieństwie
do mnie. Może kiedyś to nie
kelnerzy byli gburowaci, tylko
ja zakompleksiony. Może
byłem sfrustrowany, bo nie
było mnie stać nawet na pizzę.
Może byłem po prostu młody
i nie za mądry.

W każdym razie głupio mi
się zrobiło, że tak nieodwo-
łalnie przekreśliłem Wenecję
i przez lata niepoehlebie się
o niej wyrażałem. A potem
do głowy przyszła mi jeszcze
jedna myśl, której aż się prze-
straszyłem. Ile takich Wenecji
napotkałem w życiu? Ile osób
oceniłem pochopnie i nie
dałem im drugiej szansy? Do
ilu spraw uprzedziłem się, nie
próbując ich dokładnie zbadać
i zrozumieć?

I tak oto Wenecja nakiero-
wała mnie ku refleksji, którą
wcześniej sformułował bodaj
jednoroczny ochotnik Marek
z zupełnie innego zakątka
C.K. monarchii: Człowiek
uważa się za giganta, a jest
gówniarzem. ©©



MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Atuty

Sukces jednych narodów
a klęska innych – oto
pytanie, które dręczą
wielu co najmniej
od czasów Adama Smitha.
Bywa, że w najbardziej
niegościnnych regionach –
pod lodolodem, na pustyni
czy w dżungli – odnajdują się
bogactwa naturalne, które
zmieniają los mieszkańców
(oczywiście, gdy jakieś są),
podczas gdy potencjalne
arkadie pogrążają się w sta-
gnacji i beznadziei.

Same warunki geograficz-
ne również nie przesądają
sprawy. To, co może zapew-
niać bezpieczeństwo, np. nie-
dostępność, może okazać się
skuteczną barierą rozwoju.
Najlepszym przykładem
Etiopia. Długo broniła swej
suwerenności, nie dawała
się skolonizować, ale brak
wewnętrznej komunikacji
długo skazywał ją na los
jednego z najbiedniejszych
krajów świata. I odwrotnie,
dogodne położenie na glo-
balnej szachownicy może być
atutem bądź przekleństwem.
Przykładem Polska. Potężna
była ośrodkiem europejskiego
bezpieczeństwa, gdy upadła,
stała się sezonową sceną zma-
gań wszystkich możliwych
wojen. Stąd suwerenność
jest podstawą pomyślności
mieszkańców, inaczej zawsze
czeka ich los eksploatowanego
przez obcych protektoratu lub
kondominium.

Drugim czynnikiem
jest panujący system.
Autorzy pracy „Dlaczego
narody przegrywają?”
posiłkują się przykładem
miasta Nogales, położonego
po dwóch stronach płotu
rozgraniczającego Meksyk od

USA – na północy: dobrobyt,
porządek, czystość, demo-
kracja, a na południu: nędza,
gangi, narkotyki, słowem
brud, smród i ubóstwo. Nacja
ta sama, podobnie jak dieta
i religia...? Teza pracy mówi
o ustroju – włączającym lub
wykluczającym. Promującym
inicjatywę i przedsiębior-
czość lub pogrążającym
w więzach zależności,
układów, niemocy.

A Polska? Kiedy przeminał
„złoty wiek”, zgubił
ją pozorna potęga
i przekonanie o doskonałości
– tymczasem monokultura
oparta na zbożu i państwowa
niesterowność powodo-
wana przez wszechmoc
magnackiej oligarchii przy
słabiutkiej władzy centralnej
stworzyły system niesku-
teczny. Dużo wskazuje, że
otrzymaliśmy od historii
drugą szansę. I próbujemy ją
wykorzystać. Najważniejsze
są suwerenność, zagwa-
rantowana siłą narodowej
gospodarki, wsparta na
systemie międzynarodowych
sojuszy, i wykorzystanie
atutu położenia.

Miejsce na Niżu Europej-
skim predestynuje nas do
roli pobojuwiska bądź stołu,
na którym rozdaje się karty.
Obecna władza wydaje się
to rozumieć. Stąd stawka na
rozwój komunikacji – porty,
autostrady – na czele z Via
Carpatia i Via Baltica – i wiel-
kie kontynentalne lotnisko.
Stąd inicjatywy Czworokąta
Wyszehradzkiego i Między-
morza. Możemy być Brytanią
lub Portugalią – ale sama
koniunktura nie wystarczy.
Trzeba jej pomóc. Ze wszyst-
kich sił. ©©



Marcin Makowski

**Niemcy ofiarami nazistów?
Do takich wniosków może dojść
ten, kto chce dowiedzieć się
czegoś o przeszłości z filmów, gier
i wypowiedzi niemieckich polityków**

Wprzedsiedniu 75. rocznicy lądowania w Normandii, na jednej z historycznych plaż operacji „Overlord” odbyła się oficjalna ceremonia pełna polityków. Poproszona o komentarz Angela Merkel możliwość uczestniczenia w obchodach nazwała „darem historii”, ponieważ „ta wyjątkowa operacja wojskowa ostatecznie przyniosła Niemcom wyzwolenie od nazistów”. Wcześniej na twitterowym profilu brytyjskiej rodziny królewskiej pojawił się wpis następującej treści: „Królowa została przedstawiona przez premiera liderom państw, z których każdy reprezentował narody alianckie biorące udział w D-Day”. Na dołączonym do niego wideo widać, jak Elżbieta II ściska rękę niemieckiej kanclerz.

Nawet jeśli to faux pass, to podobne wydarzenia stanowią element szerszego obrazu, na którym historia zostaje zastąpiona pisaną na użytek poprawności politycznej parodią. W ostatnich latach, szczególnie poprzez popkulturę, oddziałuje ona na miliony młodych ludzi.

ŹRÓDŁA ZŁA

„[...] największego poparcia udzieliły nazistom osoby wykształcone i ogólnie szanowane. Idee te były szczególnie respektowane w Niemczech po pierwszej wojnie światowej i – w gruncie rzeczy – szeroko rozprzestrzeniane wśród dużych odłamów społeczeństwa jeszcze przed wybuchem wojny” – pisał w 1964 r. historyk George L. Mosse w słynnej monografii pt. „Kryzys ideologii niemieckiej. Rodowód intelektualny III Rzeszy”. Ruch volkistowski, któremu poświęcił najwięcej uwagi, stanowił jego zdaniem praprzyczynę popularności ideologii nazistowskiej w Niemczech, która nie była „zbiorowym szaleństwem”, narzuconym całemu narodowi siłą, ale czymś immanentnym dla „niemieckiego ducha”. Ów duch, manifestujący się najpełniej



Kadr z serialu „Nasze matki, nasi ojcowie” FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Czy naziści przylecieli z Księżyca?

w volku (narodzie), wiązał się z ziemią ojczystą poprzez krew (wojny) i jej uprawianie (rolę), jak również wyrastał z krajobrazu.

W tej percepcji, popularnej już w XIX w. wśród licznych nacjonalistów, Niemcy, żyjąc w zacienionych lasach i melancholijnych górskich plenerach, wykształcili w sobie głębokie pokłady intelektualne oraz chęć zmierzania ku słońcu, uważając siebie samych za „ludzi światła”. Odbывało się to w kontrze do pochodzących z jałowych i pustynnych terenów „wyzutych z subtelności” Izraelitów. Jak przypomina Mosse, czymś naturalnym np. w przedwojennych bractwach studenckich było wypływające

z tego przekonania odmawianie Żydom prawa do pojedynkowania się o honor poprzez stwierdzenie, że „Żyd nie ma zdolności honorowej, której mógłby bronić”. Pomimo komunistycznej, socjalistycznej i chadeckiej opozycji wobec NSDAP Adolf Hitler nie byłby w stanie objąć władzy dyktatora, gdyby wcześniej na podstawie volkistowskiego sentymentu, nie wygrał demokratycznych wyborów i nie został kanclerzem w 1933 r. Nie byłby w stanie również realizować kolejnych reform, militaryzować kraju wbrew postanowieniom traktatu wersalskiego, werbować setki tysięcy mężczyzn do wojska oraz chłopców i dziewcząt do nazistowskich organizacji młodzieżowych, gdyby

sami Niemcy nie pragnęli podświadomie silnego przywódcy, wodza. Choćby z tego powodu nikt nie był w stanie „wyzwolić Niemców od nazistów”, ponieważ oznaczałoby to wyzwolenie Niemców od nich samych. Są jednak sposoby na wyzwolenie się od niewygodnej przeszłości.

„WPLĄTANI W SYSTEM”

Jednym z nich jest natura ludzka, a właściwie nasza przyrodzona zdolność do zapominania o traumach. Podczas badań przeprowadzonych w Ameryce w styczniu 2018 r. z okazji Międzynarodowego Dnia Pamięci o Ofiarach Holokaustu ustalono, że dwie trzecie młodych Amerykanów nie wie, czym był ani do czego służył Auschwitz, a 22 proc. z nich nie wie nic o Holokauście. Wśród dorosłych 41 proc. respondentów nie wiedziało o największym niemieckim obozie zagłady, 11 proc. o masowej eksterminacji Żydów oraz przedstawiciele innych narodowości podczas II wojny światowej.

Chociaż w Europie siłą rzeczy podobne zestawienia wypadają lepiej, globalnie trend jest ten sam – młodzi nieuchronnie tracą sprzed oczu kontekst historyczny, a na jego miejsce wchodzi popkultura. Seriale, filmy i gry wideo. Na początku stopniowo, w entourage’u kostiumów, dobrych efektów specjalnych i przyzwoitej gry aktorskiej, tak jak choćby w słynnej produkcji ZDF z 2013 r. pt. „Nasze matki, nasi ojcowie”. Warto przypomnieć raz jeszcze, na czym polegała jej skuteczność, wpisująca się w politykę historyczną współczesnych Niemiec. Ten model narracji wybrzmiał bowiem najpełniej w cytowanych słowach kanclerz Merkel.

Obserwując wojnę z perspektywy pięciorga zróżnicowanych bohaterów – dwaj młodzi bracia, dwie młode roman-sujące z nimi dziewczyny i ich przyjaciel Żyd – tracimy z oczu obraz systemu i społeczeństwa III Rzeszy, zastąpiony indywidualnymi dramatami „zwykłych ludzi”. Siłą wciągniętych w wojnę, które nie rozumieją i której ostatecznie sami stają się ofiarami, nawet jeśli przez chwilę koniunkturalnie czerpali z niej korzyści. Jedyne postacie Niemców z morderczymi instynktami są albo tak wynaturzone, że trudno zauważyć w nich coś więcej poza apoteozą zła, albo tak banalnie głupie i rozpijane, że przez to łatwe do zbagatelizowania. Czystym antysemityzmem charakteryzują się natomiast Ukraińcy i Polacy,

z nieprzymuszonej woli przykładający rękę do zagłady Żydów.

Podobne wątki dominują w niemieckim kinie wojennym od lat, wystarczy wymienić kilka najgłośniejszych hitów ostatnich dekad: „Okreśł” (1981), „Stalingrad” (1993), „Jeniec: Tak daleko, jak nogi poniosą”, „Gustloff: Rejs ku śmierci” (2008), „Kobieta w Berlinie” (2008) i „Nagi wśród wilków” (2015).

Prawdziwy znak naszych czasów to już jednak nie tyle produkcje historyczne z zawołanym elementem propagandowym, ile po prostu retuszowanie przeszłości. Przykłady? Dwa tygodnie temu największy serwis streamingowy na świecie – YouTube – ogłosił nową politykę „walki z mową nienawiści”, w tym z treściami o charakterze faszystowskim. Efekt? Jak podaje brytyjski dziennik „The Guardian”, zmiany poskutkowały masowym usuwaniem archiwalnych filmów z przemówieniami Adolfa Hitlera, nazistowskich kronik propagandowych oraz zdjęć działań zbrojnych. Ofiarą tak rozumianej czystki padło wielu twórców zawodowo zajmujących się historią, wykorzystujących materiały archiwalne do celów edukacyjnych.

EDUKACJA JAKO „MOWA NIENAWIŚCI”

Osobne, niezwykle niebezpieczne i równoległe postępujące zjawisko polega na mitologizacji, wynaturzaniu oraz odbieraniu nazizmu z jego narodowościowych komponentów. Popularny w latach 60. i 70. XX w. podgatunek kina klasy B, tzw. nazi exploitation, za którego modelowy przykład uważa się „Elżę – Wilczyce SS” z 1975 r., przeżywa obecnie w USA i Azji swój renesans. W hicie kinowym „Iron Sky” naziści funkcjonują w wynaturzonej formie opętanych fanatyków, żołnierzy i naukowców, którzy jedynie dla efektu grozy mówią po angielsku z komicznym niemieckim akcentem. W drugiej części komedii, po przegranej wojnie, pozbawieni ojczyzny ideolodzy przypuszczają kontratak z bazy przypominającej kształtem swastykę, ulokowanej na... Księżycu. Ofensywą dowodzi „księżycowy führer”, dosiadający... tyranozaura rexa. Niemal bliźniaczy obraz nazistów-szaferów, nazistów-zombie, nazistów-mutantów powielony został w wyprodukowanym z okazji rocznicy D-Day horrorze „Operacja Overlord”, podczas którego grupa amerykańskich komandosów w pojedynkę stawia czoło

eksperymentującym z czarną magią wynaturzonym szaleńcom, którzy dla niepoznaki pozbawieni zostali już nawet hakenkreuzów. W roku 2009 w Norwegii rekordy popularności biła natomiast produkcja pod tytułem „Zombie SS”, która pięć lat później doczekała się równie popularnego sequela.

WOJNA BEZ NIEMCÓW

Produkcje komputerowe są niestety jeszcze gorsze pod względem wykrzywania wiarygodności historycznej. Ich fabuła rozgrywa się bowiem w szerokim spektrum rozpoczynającym się od parodii („Wolfenstein” – gra, w której naziści przypominają zrobotyzowanych kosmitów, a nie Niemców), a kończącym na pozorze realizmu, który czyni jeszcze więcej szkód (np. „Call of Duty: World War II” – gra, w której Polska podczas wojny właściwie nie istnieje, a w dodatku w ruchach oporu nie ma największego z nich, Armii Krajowej, oraz największego powstania – warszawskiego). Kulminacją tak nagromadzonych półprawd, przekłamań, autocenzury i wypierania historii jest natomiast obecny hit „Battlefield V”. Jego twórcy tak daleko zapędzili się we własnych projekcjach, że umieszczając w grze ciemnoskóre nazistki, kobiety walczące na pierwszej linii frontu i Azjatów w mundurach Wehrmachtu, rozwścieczyli samych graczy, żądających poprawek w duchu realizmu, które ostatecznie zostały wprowadzone. Niestety, jedynie symbolicznie.

W najnowszym dodatku do gry jednego z „nazistów” bez świadomości ze strony programistów nazwano bowiem imieniem i nazwiskiem autentycznego niemieckiego antyfaszysty, Wilhelma Frankego, działającego przed wojną w SPD. Po kolejnej fali oburzenia firma szybko zmieniła personalia bohatera, dodając jednak, że nie był to „nazista, lecz jedynie zwykły niemiecki żołnierz”.

Do takiego momentu doszliśmy. Naziści-zombie z Księżycza najechali pokojowych Niemców, którzy nie potrafili żyć pod tyranią dyktatora, masowo angażowali się w ruch oporu. Absurd? Być może, ale jak widać skuteczny. O tyle, o ile jako Polacy nie przestaniemy przypominać, że hasło „Arbeit macht frei” nie zostało napisane po „nazistowsku”, ale w konkretnym języku konkretnego narodu z konkretnymi grzechami na sumieniu, które łatwiej wypierać, niż się z nich rozliczyć.

Apokalipsa 1938



Adam Hlebowicz

„Nienawidzę kleru, nienawidzę Kościoła, rozdzielimy państwo od Kościoła” – takie hasła wypowiadają coraz bardziej otwarcie różni politycy, osoby publiczne, celebryci. Ich marzenia zostały już raz zrealizowane. O tym jest ta historia



Czerwonoarmiści plądrują kościół w Moskwie

FOT. FINE ART IMAGES/BEGW

Wnocy z 23 na 24 listopada 1938 r. w Tbilisi NKWD rozstrzelało ks. Stefana Demurowa, administratora apostolskiego Gruzji. Nieco wcześniej, bo we wrześniu tego samego roku, zamordowany został w Mińsku proboszcz tutejszej katedry ks. Adam Puczkarc-Chmielewski. Te zbrodnie były finałem jednego z elementów operacji polskiej (a potem niemieckiej) przeprowadzonej przez NKWD w latach 1937–1938, w wyniku której władze sowieckie pozbawiły życia ponad 120 duchownych katolickich pracujących na terenie Związku Sowieckiego. Dodajmy, że od chwili przejścia władzy przez bolszewików w Rosji i na terenach włączonych do ZSRS ofiarą represji padło co najmniej 500 duchownych. Byli oni różnych narodowości; dominowali Polacy, ale ginęli też Niemcy, Litwini, Łotysze, Białorusini, Rosjanie, Ukraińcy, Ormianie, Gruzini. Narodowość nie miała znaczenia, ważne dla władzy były ich święcenia kapłańskie i możliwość potencjalnej pracy duszpasterskiej wśród ludzi.

Jedno z nielicznych świadectw tamtego czasu pozostawiła po sobie Zofia Pawłowska, mieszkanka Hreczan, przedmieść sporego miasta Płoskirowa na Podolu, która tak wspomina swojego proboszcza ks. Zygmunta Kwaśniewskiego: „Bardzo »modne« w tym okresie rewizje odbywały się również w kościele i na plebanii. Konfiskowano książki, rabowano mienie. Książki były bity i poniżane. Bardzo często odprawiał mszę świętą z posiniaczoną i opuchniętą twarzą, z obandażowanymi rękami, silnie utykając. Wierni doradzali mu, aby się ratował ucieczką do Polski. Do granicznej rzeki Zbrucz było bardzo blisko, a po drugiej stronie rzeki już inny świat”.

W drugiej połowie lat 30. zdeterminowani ludzie z terenów przygranicznych niejednokrotnie wyruszali procesjonalnie, z wydobywanymi z ukrycia chorągiewkami kościelnymi, w kierunku rzeki Zbrucz, w stronę Polski, licząc na to, że może ktoś się nad nimi zmiłuje i przepuści ich do sąsiedniego kraju. Manifestacje nie były rozprasane, zgromadzonych kierowano z powrotem do ich wsi, miasteczek, by potem każdego z nich wyłapać, aresztować i w ogromnej większości rozstrzelać.

Duchownych przetrwało kilkunastu, raczej przypadkiem, na skutek niedopatrzeń systemu. Ludzie wiary

powiedzą, że był to cud, a nie że ktoś celowo darował im życie. Część z nich była już starszyskami i dożywała gdzieś u życzliwych parafian (ks. Władysław Dworzecki w Kamieńcu Podolskim), inni przebywali w łagrach i ktoś nie dostrzegł, że trzeba tak jak w przypadku ponad setki współbraci w kapłaństwie podwyższyć im wyrok, z 25 lat pobytu w łagrze na śmierć przez rozstrzelanie (ks. Józef Borodziula). Jedno z podstawowych haseł Związku Wojujących Bezbożników zostało zrealizowane: „Religia to hamulec budownictwa socjalistycznego i przeżytek kapitalizmu”.

IDEOLOGIA

Komunizm zgodnie z nauką Karola Marksa zakładał m.in. materializm i programowy ateizm. Władza sowiecka, kontynuując ducha tradycyjnego cezaropapizmu rosyjskiego, wzmocnionego bezwzględna ideologią, dołożyła do tego niespotykane w dziejach podporządkowanie świata religii władzy państwowej. Religia, w jakiegokolwiek odmianie, była główną przeszkodą w budowie nowego ustroju – tak uważali sowieccy ideolodzy. Pisali o tym w swoich pismach Włodzimierz Lenin, Nikołaj Bucharin i Jewgienij Priebrażenski. Zaangażowano ogromne środki finansowe, żeby masowo wydawać ateistyczne pismo „Bezbożnik”, powołano do życia Związek Wojujących Bezbożników z Jemieljanem Jarosławskim na czele, żeby mieć przygotowane kadry do walki ideologicznej. Na końcu stało NKWD, które posłusznie wykonywało płynące z góry partii komunistycznej rozkazy: uwięzić, przesłuchać, deportować, rozstrzelać. Ogłoszona w 1932 r. pięciolatka antyreligijna zapowiadała: „Do dnia 1 maja 1937 r. na całym terytorium ZSRS nie powinno pozostać ani jednego domu modlitwy i samo pojęcie boga winno zostać przekreślone jako przeżytek średniowiecza, jako instrument ucisku mas robotniczych”. Co postanowiono – zrealizowano.

Zacząto jednak w taki sposób... Już po dwóch miesiącach funkcjonowania władza bolszewicka dekretem Rady Komisarzy Ludowych z 23 stycznia 1918 r. rozdzieliła Kościół od państwa i szkołę od Kościoła. Dekret z jednej strony proklamował wolność wyznania i sumienia, z drugiej zabraniał Kościołowi nauczania religii w szkołach oraz pozbawiał wspólnoty religijne prawa własności i osobowości prawnej.

Na początek zatem usunięto religię z życia publicznego. Potem zajęto się rodziną, próbując ją rozbić, dając przyzwolenie na łatwe rozwody czy donosicielstwo na krewnych, jednocześnie degradując materialnie jej status. Szczególnie ważne było ukształtowanie nowego sowieckiego człowieka, homo sovieticus, wychowanego wyłącznie na ideologii komunistycznej, nieznającego innego świata. Dlatego z taką uwagą zajęto się dziećmi i młodzieżą. Nie wolno było ich katechizować, a każde pójście z rodzicami lub dziadkami na nabożeństwo do świątyni było skrzętnie odnotowywane w raportach NKWD. Taką osobę następnie piętnowano na forum publicznym szkoły. Za publicznie wykonany gest krzyża groziło aresztowanie.

DOMY MODLITWY

Dla władzy ważny był majątek kościelny. Wszystko, co cenne: monstrancje, kielichy mszalne, obrazy, dzwony, zostało przejęte i zabrane przez państwo. Ponieważ dysponentami świątyń w myśl nowego prawa sowieckiego przestały być parafie, teraz zarządzały nimi komitety kościelne, tzw. dwadcatki, od liczby członków w nich zasiadających, i na ich barki spadło płacenie podatków. Podatki rosły lawinowo. Coraz więcej, coraz więcej, tak żeby komitet, podobnie jak cała miejscowa społeczność katolicka, nie był w stanie ich utrzymać. W efekcie – nie płacenie podatków, trzeba świątynię zamknąć. Latem 1938 r. leningradzką parafię św. Katarzyny obciążono astronomiczną sumą podatku – 270 tys. rubli. Ponieważ komitet miał zaledwie 20 tys. rubli, władze podjęły decyzję o zamknięciu tej niezwykle ważnej dla miasta nad Nową świątyni. Część byłych obiektów sakralnych – uznana przez władze komunistyczne za zbędną – została wysadzona w powietrze.

Tak wspomina wysadzenie kościoła w Greczanach Zofia Pawłowska: „Pewnej nocy rozległ się okropny huk wybuchu. To władze wysadziły w powietrze kościół. Pozostały po nim głęboki lej i gruz, sterczące jak uniesione ręce wołające o pomstę do nieba. Pomimo że nie było kapłana i nie było świątyni, my nadal zbieraliśmy się, klękaliśmy wokół gruzów i modliliśmy się. W miejscu, gdzie znajdował się ołtarz, nieznane ręce stawiały duży drewniany krzyż. Stał tylko jeden dzień. Na następny ktoś stawiał nowy”.

Częstokroć były to cenne zabytki, takie jak kościoły w Satanowie (XVI w.), Dunajowcach (XVII w.) czy Gródku (XVIII w.) na Podolu. Te budynki, które ocalały, były zamieniane na magazyny, gorzelnie, warsztaty. Więcej szczęścia miały te z nich, w których tworzono muzea (często były to muzea ateizmu), archiwa lub internaty dla młodzieży, bo przynajmniej miały szansę na ocalenie. W efekcie tej zorganizowanej odgórnie akcji na całym ogromnym terytorium państwa sowieckiego spośród 1195 świątyń i kaplic w roku 1918 należących do archidiecezji mohylewskiej, diecezji mińskiej, saratowskiej, kamienieckiej i żytomierskiej na początku 1939 r. działały tylko dwa kościoły katolickie: w Moskwie i Leningradzie. Oba były tzw. kościołami francuskimi: moskiewski pod wezwaniem św. Ludwika, leningradzki

Na początek usunięto religię z życia publicznego. Potem zajęto się rodziną, próbując ją rozbić, dając przyzwolenie na łatwe rozwody czy donosicielstwo na krewnych

pod wezwaniem Matki Boskiej z Lourdes, i zachowano je jako swoisty listek figowy, skrywający bezmiar prześladowań i represji skierowanych przeciwko kilkumilionowej rzeszy wiernych katolickich. W obu ocalałych parafiach pracowali duchowni z francuskim obywatelstwem. Zniszczono świątynie, zlikwidowano parafie, rozbito wspólnoty religijne.

WIERNI

Co w tej sytuacji mogli zrobić wierni, pozbawieni domów modlitwy, prezbiterów, prześladowani na każdym kroku za najdrobniejszy gest wskazujący na wyznawaną wiarę w Boga? W ramach operacji polskiej NKWD aresztowano głównie mężczyzn. Niektóre społeczności zostały niemalże w żeńskim składzie, tak np. było w polskiej wsi Białystok koło Tomska. Pierwszą reakcją ocalałych był strach. Co zrobić, żeby przetrwać? Jak uratować dzieci przed zagładą? W Białymstoku kobiety podjęły decyzję, żeby z dnia na dzień przestać mówić po polsku. Skoro jest to język wroga – a tak to przedstawiała propaganda

– żeby przeżyć, trzeba zakamuflować swoje istnienie.

Jednym z pierwszych celów ataków byli ludzie najmocniej zaangażowani w działalność wspólnot religijnych. Aresztowano zakrystianów, organistów, budowniczych kościołów. Na przykład Wacława Łastowieckiego z Pikowa, przewodniczącego wspólnoty parafialnej od 1928 r. Jak napisano w jego akcie oskarżenia z 1937 r., „w swoim mieszkaniu, pod przykrywką modlitw religijnych, organizował spotkania Polaków-nacjonalistów, wśród których prowadził agitację religijną”. Łastowieckiego rozstrzelano, nieprzypadkowo, w święta Bożego Narodzenia 1937 r.

Podobnie ostre szykany kierowane były przeciwko członkom kółek różańcowych oraz III zakonu św. Franciszka. Jan Zagórski z Gródka Podolskiego został aresztowany „za gromadzenie u siebie w mieszkaniu aktywu kościelnego i wspólne śpiewanie pieśni religijnych”. Dowodem jego winy przedstawionym w sądzie były tajemnice różańcowe. Zagórskiego zamordowano w lutym 1938 r. Podobne represje były kierowane także przeciw kobietom. Dwie mieszkanki wsi Nowa Huta A. Jancełowska i J. Jandulska, „członkinie nacjonalistycznego kontrrewolucyjnego religijnego kółka »Różaniec«” zostały zamordowane w więzieniu w Kamieńcu Podolskim w lutym 1938 r.

Z czasem, gdy ostrze najgorszych represji się stępilo, zaczęto spotykać się w prywatnych domach. U najodważniejszych kobiety, po kryjomu, tylko dla najbardziej zaufanych, modlono się wspólnie. Ponieważ od ponad 20 lat nie było szans na żadną nową literaturę religijną, modlitewniki, brewiarze, ludzie zaczęli ręcznie przepisywać modlitwy. Stara książeczka do nabożeństwa, często XIX-wieczna, niekiedy pochodząca z początków tego stulecia, była na wagę złota. Te nieliczne ocalałe modlitewniki traktowano niemalże jak relikwie, choć za sam fakt ich posiadania groziła kara uwięzienia, z karą śmierci łącznie.

Paradoksalnie, tę sytuację całkowitej likwidacji religii katolickiej w ZSRS, apokalipsy katolików, odmienił dopiero wybuch II wojny światowej, kiedy to bolszewicy zagarnęli w 1939 r. nowe ziemie, kosztem Polski, Litwy, Łotwy, Estonii, Rumunii. Na ziemiach przemocą włączonych do Związku Sowieckiego znaleźli się kolejni katolicy, liczne świątynie, dobrze zorganizowany i silny Kościół. Rozpoczęła się nowa odsłona apokalipsy.



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Bohaterowie z „Parasola”

Uczestnicy debaty na temat sensu decyzji o wywołaniu powstania warszawskiego powinni przeczytać jak najwięcej wspomnień świadków historii. W pierwszej kolejności przedstawiciele cywilnej ludności stolicy, którzy przeszli przez 63 dni piekła. Ich głos z reguły był marginalizowany, spychany na dalszy plan.

Nie oznacza to jednak, że nie należy czytać wspomnień żołnierzy Armii Krajowej. Wprost przeciwnie! Są to źródła niezwykle cenne. Pokazują bowiem nie tylko niebywały heroizm powstańców, lecz także warunki, w jakich przyszło im walczyć. Były to – delikatnie pisząc – warunki katastrofalne. Nieprzyjacieli dysponował wręcz miążdzącą przewagą nad naszymi chłopcami, którą wykorzystywał bezwzględnie.

Oto kilka urywków wspomnień z wydanej właśnie książki „Pamiętniki żołnierzy batalionu AK »Parasol«”:

„Tędy nie przejdziemy. Musimy się cofnąć. Oczy zachodzą mgłą, coś dusi w gardle – tak to nasi, cofają się. Wracają pojedynczo po dwóch, po trzech. Ogień niemiecki szarpie ich, padają, jest ich coraz mniej”.

„Wśród ciężkich strat w pyłe i kurzu posuwaliśmy się po gruzach naprzód. I teraz dopiero zaczęło się prawdziwe piekło.

Wzmógł się prawie dwukrotnie ogień granatników i moździerzy, broń maszynowa nieprzyjaciela zaczęła się wstrzeliwać w nasze stanowiska i wzięła pod ogień osiągniętą przez nas ulicę. [...] Niemcy kierują cały ogień broni maszynowej na nas, tworząc nad naszymi ciałami prawdziwy, nieprzerwany strumień metalu. Natarcie zostało wstrzymane, wracaliśmy pokonani, lecz nie zwyciężeni. Nasza jedna kompania miała w zabitych i rannych prawie 50% strat”.

„Pod oknem leżał »Młodzik«, wijący się z bólu we własnej krwi. Wycharzał tylko: »Nie wchodź tu, strzelaj!« – w chwilę potem przypelzaliśmy do »Młodzika« z dwiema sanitariuszkami. Krzyczał w nieludzki sposób, pokazując na brzuch. Wnętrza wypływały na wierzch”.

„Niemcy rozpoczęli systematyczny ostrzał z granatników. Było to coś makabrycznego! Skuleni, pragnąc wtopić się w ziemię, leżeliśmy pod przeszło dwugodzinnym ogniem”.



★★★★★

RED. ANDRZEJ RYBA
„PAMIĘTNIKI
ŻOŁNIERZY
BATALIONU AK
»PARASOL«”
FUNDACJA
HISTORIA.PL

Niestety, powstanie warszawskie nie było walką dwóch równorzędnych przeciwników. Mimo wielkiego bohaterstwa i woli walki młodzi chłopcy z AK nie mieli szans z uzbrojonymi po zęby, wspieranymi przez artylerię, czołgi i lotnictwo Niemcami. Jeszcze zanim rozległy się pierwsze strzały, oczywiste było, że tej bitwy wygrać się nie da. ©



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Debiut sztyletników

Nie lubimy się do tego specjalnie przyznawać, ale polscy bojownicy o niepodległość nie gardzili także terrorystycznymi metodami walki. Było to wbrew tradycji narodowej, gdyż powszechnie się uważa, że zawsze walczyliśmy z otwartą przyłbicą i nigdy nie używaliśmy niegodnych metod.

Członkowie bractwa posługiwać się mieli sztyletami zatrutymi strychniną

Już Jan Długosz wstydził się zwyczajstwa pod Grunwaldem odniesionego w dużej mierze dzięki fortelom Jagiełły i Witolda. Znacznie wyżej stawiał stosunkowo niewielkie starcie pod Koronowem z tej samej wojny, które przebiegało zgodnie z rycerskimi obyczajami.

Dlatego raczej głośno się nie wspomina o bractwie sztyletników założonym w Warszawie w maju 1862 r. przez studenta medycyny, Pawła Landowskiego. Członkowie bractwa posługiwać się mieli sztyletami zatrutymi strychniną (!), co miało zapewnić znacznie większą skuteczność, a poza tym wzbudzać jeszcze większy popłoch wśród Rosjan i rodzimych zdrajców. Nie gardzono także nowocześniejszymi środkami walki, używano broni palnej oraz bomb domowej produkcji. Grupa (początkowo liczyła zaledwie kilku członków) szybko znalazła

zła się pod kuratelą Komitetu Centralnego Narodowego – tajnego organu koordynującego działalność spiskowców w Królestwie Polskim.

Za debiut sztyletników niektórzy uważają zamach na ówczesnego namiestnika Królestwa Polskiego, hrabiego Aleksandra von Lüdersa. 27 czerwca 1862 r. oficer rosyjski pochodzenia ukraińskiego Andrij Potiebnia próbował zamordować dostojnika w stołecznym ogrodzie Saskim. Wykorzystując okoliczności, podszedł do Lüdersa i niemal przykładając broń do jego karku, wypalił. Po czym oddał się nieniekajony przez nikogo. Dziwnym trafem Lüders przeżył, kula wyszła ustami, ale nigdy nie wrócił do pełni sił i został odwołany do Petersburga.

Do dziś nie wiadomo, czy strzał Potiebni miał w ogóle coś wspólnego ze sztyletnikami. Ukraińiec mścił się za znęcanie się w śledztwie nad innymi oficerami, członkami antycarskiej konspiracji, oraz wydanie rozkazu rozstrzelania trzech z nich.

W przypadku zamachu Potiebni można mieć wątpliwości co do udziału sztyletników, ale na pewno w tym samym roku członkowie bractwa zorganizowali kilka innych zamachów. Jednym z nich była próba zabójstwa nowego namiestnika, brata cara, wielkiego księcia Konstantego Romanowa, który kilka dni po zamachu na Lüdersa przybył do stolicy. Użyto wówczas broni palnej, czas na sztylety i strychninę miał przyjść jednak już niebawem. ©

Na krawędzi wojny?



Jacek Przybylski

Coraz ostrzejsza wojenna retoryka, a także akcje militarne Iranu i USA sprawiają, że na perskiej beczce prochu pojawiają się niebezpieczne iskry. Na szczęście wybuch wielkiego krwawego konfliktu nie jest w interesie ani Waszyngtonu, ani Teheranu

Czwartek, 13 czerwca. Dwa tankowce w Zatoce Omańskiej nagle stają w ogniu. Arabskie media sugerowały, że świadkowie widzieli lecącą w kierunku statków rakietę. Amerykanie z kolei o atak oskarżyli Irańczyków i na poparcie swoich słów pokazali film, na którym widać, jak do jednego z tankowców podpływa motorówka, której załoga usuwa pozostałe ładunki przymocowane do burty japońskiej jednostki.

Czwartek, 20 czerwca. Do wody spada amerykański dron szpiegowski, strącony irańską rakieta ziemia-powietrze. Irańczycy nie tylko nie zaprzeczają, że to oni stali za atakiem na bezzałogowy samolot, lecz także grożą, iż są gotowi strącać kolejnych intruzów. Zestrzelenie drona zirykowało Amerykanów, bo choć to zabawka bezzałogowa, to MQ-4C Triton jest droższy od słynnego myśliwca F-35 Lightning II. Jeden egzemplarz kosztuje grubo ponad 100 mln dol. Dron potrafi bowiem wznieść się niemal na wysokość 17 km, czyli istotnie wyżej,

niż latają samoloty pasażerskie, i na tej wysokości wykonywać przez 24 godziny bez przerwy misje zwiadowcze, szpiegowskie lub ratunkowe. Podczas jednej takiej misji bezzałogowy szpieg potrafi przeszukać obszar o powierzchni niemal 3,5 mln km kw.

Piątek, 21 czerwca. Rozpoczyna się amerykańska akcja odwetowa. Odpowiedź Stanów Zjednoczonych na irański atak ma być więc błyskawiczna i miazdząca dla wroga. W powietrzu są już myśliwce, a okoliczne okręty wojenne zajmują pozycję do ostrzału. Cel: irańskie stacje radarowe i baterie rakiet. Mniej więcej 10 minut przed odpaleniem pocisków Biały Dom odwołuje akcję.

WIRTUALNE UDERZENIE

Jak ogłosił Biały Dom, Donald Trump zdecydował o zawieszeniu rozkazu ataku w ostatniej chwili, gdy dowiedział się, że zginie w nim ponad 150 Irańczyków. Według amerykańskich mediów zestrzelenie drona szpiegowskiego nie uszło jednak

Irańczykom płazem. Pentagon miał bowiem przeprowadzić poważne cyberataki na irańskie systemy wyrzutni rakietowych, a także na ośrodek szpiegowski monitorujący przepływ statków w cieśninie Ormuz.

To nie koniec amerykańskiego odwetu. Prezydent USA ogłosił również za pomocą rozporządzenia wykonawczego pakiet nowych, „surowych” sankcji przeciw Iranowi. Dotyczą one najwyższego duchowo-politycznego przywódcy tego kraju, ajatollaha Alego Chameneia, a także jego bliskich współpracowników oraz ośmiu dowódców irańskiego Korpusu Strażników Rewolucji Islamskiej, którzy stoją na czele biurokratycznych wydziałów, sprawujących kontrolę nad „złośliwymi działaniami regionalnymi”.

– Sankcje przewidziane w tym rozporządzeniu zablokują najwyższemu przywódcy, jego współpracownikom oraz innym, którzy są z nim ściśle związani, dostęp do istotnych zasobów finansowych – tłumaczył w Gabinetie Ovalnym Donald Trump, podkreślając, że podjęte



Dron MQ-4C Triton jest droższy od słynnego myśliwca F-35 Lightning II
FOT. NORTHROP GRUMMAN CORPORATION

„Środki to zdecydowana i proporcjonalna odpowiedź na coraz bardziej prowokacyjne działania Iranu”.

Jak wyjaśnił resort skarbu, nowy pakiet sankcji zablokuje irańskie aktywa opiewające na miliardy dolarów.

Waszyngton miał spory problem z obmyśleniem nowych sankcji. W maju 2018 r. Biały Dom nałożył bowiem na irańską gospodarkę pakiet tak poważnych restrykcji, że większość kluczowych sektorów – takich jak bankowość, przemysł naftowy czy sektor stalowy – była nimi objęta na długo przed irańskim atakiem na amerykańskiego drona.

Sankcje USA – którymi według sekretarza stanu Mike’a Pompeo objęte jest już ponad 80 proc. irańskiej gospodarki – wpędziły Iran w głęboką recesję, istotnie ograniczając możliwość dochodowego eksportu. Ograniczyły też możliwość importowania całego wachlarza produktów, przez co w sklepach brakuje wielu towarów, w tym – najbardziej – pieluszek dla maluchów. Spadek wartości irańskiego riala

doprowadził jednocześnie do potwornych podwyżek cen lokalnych towarów: od jajek poczynając, a na mięsie kończąc.

Irańskie agencje prasowe Tasnin i Fars ogłosiły, że nowe sankcje zostały wprowadzone na podstawie „sfabrykowanych przesłanek”. Nagły wzrost napięcia to ciąg dalszy sporu o to, czy Iran ma prawo do rozwijania programu atomowego. Donald Trump mimo wprowadzenia nowych sankcji ostrzegł więc, że opcja militarna wciąż jest na stole. – Powiem tylko, że nie możemy pozwolić Iranowi na posiadanie broni nuklearnej – stwierdził przywódca USA.

„UNICESTWIENIE” KONTRA „OPÓŹNIENIE UMYSŁOWE”

Pogłębienie drakońskich sankcji wprowadzonych w maju 2018 r. o restrykcje dotyczące ajatollaha Chamenei i jego współpracowników ma duże znaczenie. Do Najwyższego Przywódcy Islamskiej Republiki Iranu mimo sędziwego wieku – w tym roku skończył 80 lat – nadal należy bowiem ostatnie słowo zarówno w kwestiach ekonomicznych, politycznych, dyplomatycznych, jak i wojskowych.

Retoryka obu stron sugerowałaby, że stoimy u progu wybuchu wielkiego konfliktu zbrojnego, a być może i trzeciej wojny światowej. Donald Trump – przywódca kraju, który tylko w ciągu ostatnich dwóch lat zainwestował w rozwój własnej armii 1,5 bln dol. – publicznie grozi bowiem Iranowi nie tylko „miażdżącą siłą”, lecz także wręcz „unicestwieniem” niektórych obszarów kraju.

Z kolei władze w Teheranie przekonują, że nie odczują nowych sankcji, ponieważ ajatollah Chamenei nie ma żadnych pieniędzy za granicą. Prezydent Iranu Hassan Rowhani ogłosił więc, że nowe restrykcje są „oburzające i idiotyczne”, i dodał, że najnowsze decyzje Waszyngtonu świadczą o „umysłowym opóźnieniu” gospodarza Białego Domu, co trudno uznać za wypowiedź dyplomatyczną. Jeszcze bardziej stanowcze słowa padły z ust rzecznika irańskiego MSZ. – Nałożenie beзуżytecznych sankcji na najwyższego przywódcę Iranu i szefa irańskiej dyplomacji jest trwałym zamknięciem ścieżki dyplomatycznej – oświadczył Abbas Musawi, przekonując, że „zdesperowana administracja Trumpa niszczy ustanowione międzynarodowe mechanizmy utrzymania pokoju i bezpieczeństwa na świecie”. Minister spraw zagranicznych Mohammad Dżawad Zarif

oskarżył również administrację Trumpa o „głód wojny”.

Niepokojące słowa padają też ze strony Moskwy, która ustami wiceszefa dyplomacji oskarżyła Waszyngton o celowe doprowadzenie do eskalacji napięcia i sytuacji „na krawędzi wojny”.

MAKSYMALNA PRESJA

Na szczęście, gdy odsuniemy na bok retorykę, podejmowane konkretne działania nie wskazują na to, aby Stany Zjednoczone rzeczywiście szykowały się do nowej operacji zbrojnej na wielką skalę. Co prawda Pentagon ogłosił właśnie, że wysłał w rejon Zatoki Perskiej dodatkowy tysiąc żołnierzy, to takie siły – nawet w połączeniu z oddziałami, które już tam stacjonują – są o wiele, wiele za małe, aby uznać je za wystarczające do dokonania jakiegokolwiek inwazji. Są za to odpowiednie, aby w razie potrzeby przeprowadzać odwetowe uderzenia na kogokolwiek, kto będzie zagrażał trasom przepływu statków. Przed planowanym atakiem 21 czerwca USA za pośrednictwem Omanu ostrzegły Iran o zbliżającej się akcji militarnej, jednocześnie zastrzegając, że prezydent Trump nie chce „wojny z Iranem”. I nie powinien jej chcieć, bo atak na szyicki Iran może wywołać liczne ataki na Amerykanów i ich sojuszników w regionie, wybuch powstania szyitów w Arabii Saudyjskiej czy zmasowany atak na cele izraelskie.

Polityka zagraniczna władz w Teheranie również pozostaje bez większych zmian. Reżim ajatollahów konsekwentnie twierdzi, że jest niewinny w każdej sprawie. Iran zaprzecza więc, by miał cokolwiek wspólnego z atakami w Zatoce Omańskiej, choć doprowadziły one do korzystnego z punktu widzenia reżimu wzrostu cen ropy. Według Teheranu amerykański latający szpieg został zaś zestrzelony, ponieważ naruszył irańską przestrzeń powietrzną (Amerykanie przekonują, że do zestrzelenia doszło w międzynarodowej przestrzeni powietrznej). O tym, że irański reżim nie chce dać Amerykanom łatwego pretekstu do wojny, świadczyć ma również to, iż według wysokiej rangi oficera Korpusu Strażników Rewolucji Islamskiej – oficjalnie uznanego w kwietniu 2019 r. przez USA za organizację terrorystyczną – w bliskiej odległości za dronem leciał inny wojskowy samolot, tym razem z 35 osobami na pokładzie. – Mogliśmy go również zestrzelić, ale tego nie zrobiliśmy – podkreślił Amir Ali Hajizadeh, cytowany przez BBC.



W połowie czerwca w Zatoce Omańskiej doszło do ataków na dwa tankowce. USA oskarżają o nie Iran FOT. U.S. DEPARTMENT OF DEFENSE/GETTY IMAGES

■ Jednocześnie – choć Iran oficjalnie zapowiedział, że nie zamierza dłużej przestrzegać ustalonych w roku 2015 limitów dotyczących zapasów wzbogaczonego uranu – to na razie nic nie wiadomo o tym, aby rzeczywiście w ostatnim czasie poczynił jakieś gwałtowne kroki, które sprawiłyby, że w niedalekiej przyszłości rzeczywiście mógłby dołączyć do ekсклюzywnego grona atomowych mocarstw.

A pozostali gracze? Większość Europy – poza Wielką Brytanią – naiwnie wierzy w bajkowy scenariusz, że gdy w końcu otworzą oczy, to zły potwór pryśnie, a dobro zwycięży. UE próbuje więc reanimować ducha umowy nuklearnej zawartej jeszcze przez Baracka Obamę i wypowiedzianej przez Donalda Trumpa, który już dawno rozmył się w gorących piaskach Zatoki Perskiej. O znikomej roli UE w geopolityce najlepiej świadczy zaś to, że gdy – przynajmniej w teorii – świat stanął na krawędzi wielkiej wojny, nieudolni eurokraci nie zaprzatają sobie głowy kryzysem irańsko-amerykańskim, skupiając się głównie na tym, kto ma zastąpić Donalda Tuska.

Tradycyjnie bezsilna Organizacja Narodów Zjednoczonych – jak zwykle w takich sytuacjach – apeluje o spokój i rozwiązywanie konfliktów za pomocą środków dyplomatycznych. Jednocześnie urzędnicy ONZ obawiają się, że Ameryka przeprowadzi jednak „taktyczny atak” na Iran.

I chociaż na cyberatak USA Iran może odpowiedzieć, wykorzystując szybkie milicje w Iraku lub w Syrii, które – na niewielką skalę, ale jednak – mogą atakować amerykańskie oddziały, to wydaje się, że żadnemu z poważnych graczy nie zależy na eskalacji konfliktu, a tym bardziej na wywołaniu otwartego konfliktu.

Działania Stanów Zjednoczonych – konsekwentne zaciskanie gospodarczej

pętli wokół Iranu – mają zminimalizować przychody kraju i zmusić jego władze do nieformalnej kapitulacji i powrotu do stołu rokowań.

Coraz ostrzejsze słowa i militarne gesty ajatollahów paradoksalnie mogą być oznaką, iż stosowana przez obecnego prezydenta USA strategia „maksymalnej presji” zaczyna przynosić rezultaty. Obu stronom – Trumpowi, który właśnie rozpoczął oficjalnie walkę o reelekcję – oraz islamskim teokratom, którzy w ciężkich gospodarczo czasach muszą starać się o poparcie narodu – zależy na tym, aby nie wszczynając wojny, z medialnego konfliktu wyjść z twarzą.

Zanim więc władze w Teheranie usiądą z powrotem do negocjacji ze zniechęconą Ameryką, muszą przekonać miliony Irańczyków, że to oni wygrali i że ajatollahowie nie dadzą „wielkiemu szatanowi” dmuchać w kaszę potomkom starożytnej Persji. Czas gra bowiem na niekorzyść ajatollahów. Systematyczna utrata ogromnych przychodów z eksportu ropy naftowej prędzej czy później musi bowiem doprowadzić do wybuchu gigantycznych protestów społecznych. Tych zaś elity wołałyby uniknąć, bo wielkie demonstracje doprowadziłyby do pogłębienia podziałów frakcyjnych, wzrostu buntu młodych zdolnych Irańczyków przeciwko stetryczalym teokratom i zaostrenia walki o władzę po ajatollahu Chamenei.

KOSZTOWNE NAPIĘCIE

Rosnące napięcie już dziś wpływa nie tylko na zmniejszenie ewentualnych zagranicznych oszczędności strażników islamskiej rewolucji, lecz także na koszty ponoszone przez światowe linie lotnicze, a co za tym idzie – koszty ponoszone przez przeciętnego Smitha czy Kowalskiego, który wyrusza na wymarzone wakacje do Azji.

Federalna Administracja Lotnictwa (FAA) zakazała amerykańskim przewoźnikom lotów nad wodami znajdującymi się w irańskiej przestrzeni powietrznej, ostrzegając, że dla lotnictwa cywilnego zagrożeniem jest nie tylko wzmożona aktywność militarna w regionie, lecz także gotowość Teheranu do użycia bez żadnego ostrzeżenia pocisków dalekiego zasięgu w międzynarodowej przestrzeni powietrznej.

Decyzję o zmianie tras przelotów do i z Singapuru podjął również m.in. polski narodowy przewoźnik. PLL LOT poinformował w komunikacie, że w związku z korektą rejsy wydłużą się o kilkadziesiąt minut. Kiedy zapadnie decyzja o powrocie na dotychczas wykorzystywaną trasę przelotów z Warszawy do Singapuru? Zostanie ona „podjęta wówczas, gdy będziemy mieli stuprocentową gwarancję bezpieczeństwa realizacji tych operacji” – czytamy w komunikacie PLL LOT.

Wzrost napięcia między USA a Iranem był też jednym z powodów ogromnego skoku cen złota, które w ubiegłym tygodniu podróżowało do najwyższych poziomów od sześciu lat i przekroczyło poziom 1420 dol. za uncję. Geopolityka doprowadziła również do wzrostu cen ropy naftowej. Potencjalny konflikt zbrojny, a nawet tylko wprowadzenie przez Iran czasowej blokady cieśniny Ormuz, istotnie wpłynęłyby również na rynek skroplonego gazu ziemnego. Wzrost cen paliw szybko doprowadziłby zaś do skoku cen pozostałych towarów.

STRACH PRZED TRUMPEM

Amerykański prezydent w rozgrywce z Iranem wykorzystuje niezwyklego jokera, którego użył również podczas negocjacji z Koreą Północną, a mianowicie swoją kompletną nieprzewidywalność.

Barack Obama z pewnością nie wywołałby wojny, która z regionalnej może przeistoczyć się w światową, ale czy przypadkiem Donald Trump – nawet kilkanaście miesięcy przed wyborami – nie posłucha swoich jastrzębich doradców, Johna Boltona i Mike’a Pompeo, i nie wyda rozkazu do ataku? Tego nie wie nikt. I ten argument musi działać na ajatollahów, którzy zdają sobie sprawę, że konflikt zbrojny oznaczałby nie tylko poważne zmiany na regionalnej i światowej szachownicy, lecz także dla Iranu mógłby rzeczywiście oznaczać unicestwienie niektórych obszarów kraju i opcję siłowej zmiany ustroju w Teheranie.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Postaw na komfort podróży

Nowa Toyota Camry



SIMPLY

SAFELY

FOR LESS



RentIS
Smart way to rent a car

+48 720 200 500

www.rentis.pl

info@rentis.pl

OGÓLNOPOLSKA WYPOŻYCZALNIA SAMOCHODÓW

📍 **BIAŁYSTOK** +48 519 535 331 📍 **BYDGOSZCZ** +48 519 535 300 📍 **GDAŃSK** +48 519 535 311 📍 **GORZÓW WLKP.** +48 519 535 327
📍 **KATOWICE** +48 519 535 301 📍 **KIELCE** +48 519 535 304 📍 **KRAKÓW** +48 519 535 305 📍 **LUBLIN** +48 519 535 318
📍 **ŁÓDŹ** +48 519 535 308 📍 **OLSZTYN** +48 519 535 314 📍 **OPOLE** +48 519 535 307 📍 **PŁOCK** +48 519 535 334 📍 **POZNAŃ** +48 519 535 303
📍 **RZESZÓW** +48 519 535 306 📍 **SZCZECIN** +48 519 535 310 📍 **WARSZAWA** +48 519 535 302 📍 **WROCŁAW** +48 519 535 307

MAŁGORZATA WOŁCZYK: Czy jest pan gotów w końcu przeprosić za to, co zrobili pana przodkowie w Meksyku, tak jak oczekuje tego prezydent Meksyku? Ponoć żyje tam 10 tys. moich rodaków, więc oni mogą przekazać wyrazy skruchy...

IVÁN VÉLEZ CIPRIANO: Nie, no skądże! Nie ma za co przepraszać, bo naród meksykański w dużej mierze jest konsekwencją podboju. To korona hiszpańska stworzyła tam naród i zaniósła swój model państwowości, cywilizacji i kultury. Wcześniej był to teren plemiennych państw-miast z dominującym imperium Azteków, kultuwującym krwawą religię ze składaniem ofiar z ludzi. Nawet gdy w pewnym okresie Meksyk uniezależnił się od Hiszpanii, nie nastąpiła przecież restauracja struktury plemiennej sprzed konkwisty. To było już społeczeństwo na wzór tych europejskich. Pierwsze, co zrobił zdobywca nowych ziem – Hernán Cortés – to nakazał wybudować ratusz.

Dlaczego podboje Imperium Rzymskiego są godne podziwu, a podboje imperium hiszpańskiego widziane są w kategorii okrutnego połączenia szabli i krzyża?

Z wielu powodów, zacznijmy od perspektywy czasowej. Początek podboju imperium Azteków to 1518 r., katolicka Hiszpania staje się obiektem zmasowanej propagandy protestanckiej za sprawą rozpowszechnienia druku. Rzymianie nie mieli wrogów z tak sprawną technologicznie maszyną propagandową.

I tak doszliśmy do kluczowego pojęcia: czarnej legendy o Hiszpanii. Czym ona jest i kto ją stworzył?

To jest konstrukcja propagandowa, ideologiczna, która zmierzała do pokonania imperium hiszpańskiego siłą, jak byśmy dziś powiedzieli, „fake newsów”. Katolicka Hiszpania, potężna i dominująca politycznie, spotkała się z ogromnym atakiem innych państw zazdrosnych o jej pozycję i zdobycze kolonialne. Schizma luterńska była kluczowym czynnikiem. Ten konflikt między światem chrześcijańskim a protestanckim realizował się także w wojnie propagandowej. Oczywiście zadziały tu także czynniki rasowej nienawiści, np. podbici Włochów czy spadkobiercami wielkiego Rzymu i trudno im było zaakceptować dominację Hiszpanów, których uważali za gorszą rasę, pogardzaną „mieszankę krwi żydowskiej i muzułmańskiej”. Nie było to zresztą myślenie charakterystyczne tylko dla Włochów.



Z Ivánem Vélezem Cipriano, architektem, publicystą, autorem książek, dyrektorem Fundacji Obrony Narodu Hiszpańskiego „Denaes” rozmawia w Madrycie Małgorzata Wołczyk

Europeizacja to dla nas zagrożenie

Barcelona, demonstracja zwolenników integralności Hiszpanii w Dniu Kolumba
FOT. CHRISTIAN MINELLI/NURPHOTO/GETTY IMAGES

A w wielkim skrócie, jakie są największe zafałszowania waszej historii, które wprowadziła czarna legenda?

Najbardziej absurdalne i utrwalone kłamstwo dotyczy rzekomego ludobójstwa podbitych ludów Ameryki. Oczywiście dyżurny temat obrosły skrajnie niesprawiedliwym kłamstwem to inkwizycja hiszpańska. Ta zaczyna być krytykowana dopiero w oświeceniu i tu akurat sporo do czarnego PR przyłożyli się Francuzi, z Voltaire’em na czele. Dla mnie jako badacza najbardziej szkodliwy jest pierwszy aspekt, ponieważ wzniesia i żywi indygenizm, czyli szkodliwe mitologizowanie przeszłości. Zupełnie jakby plemiona prekolumbijskie rozwinęły idylliczną cywilizację, którą zli najeźdźcy z Europy obrócili w pył. Zainteresowanie dawną kulturą i etnografią przeszło w idealizację kultur prymitywnych i – co tu kryć – kultuwujących zwyczaj składania masowych ofiar z ludzi.

Dla wielu współczesnych kultura Zachodu z jej symbolami, np. krzyżem, to symbole opresji.

Tymczasem nawet sztuka prekolumbijska i krwawa religia budzą przerażenie stężeniem grozy. Hiszpanie poszerzyli ówczesny świat do niebotycznych rozmiarów i zuniwersalizowali go dzięki katolickiej wierze. Czy prawdą jest, że celem Karola V było utworzenie imperio cristiano? Krzyż był więc znakiem wyzwolenia czy zniewolenia?

Cesarz Karol V poświęcił znaczną część swojego życia na walkę z herezją luteranską. Podczas jego panowania katolicyzm znacznie poszerzył swoje horyzonty. Sam Cortés rozpoczął swoją przygodę pod znakiem krzyża i próbował chrystianizować tubylców Nowego Świata, co pomogło zakończyć składanie masowych ofiar w ludziach. Dlatego trudno postrzegać inaczej symbol krzyża niż w kontekście wyzwolenia. Jednakże Cortés zakończył także ucisk Azteków nad wieloma pomniejszymi narodami Meksyku, był więc dla nich kimś w rodzaju politycznego wyzwoliciela.

Zafascynowało mnie to, że dość wcześnie powiązał pan to zaraźliwe myślenie utrwalone przez czarną legendę z nienawiścią do własnych korzeni,

do swojej historii, którą można zaobserwować wśród pana rodaków. A stąd na przykład rozliczne problemy, takie jak czarny scenariusz „bałkanizacji” Hiszpanii, rozerwania jej na kawałki. Chociaż mamy nadzieję, że do niego nie dojdzie...

Niestety w Hiszpanii istnieją liczne centra powiązane z władzą i gospodarką, które byłyby zachwycone takim obrotem spraw. To rzeczywiście realna groźba. Czterdzieści lat temu powierzono kwestie edukacji władzom regionów autonomicznych i w ten oto sposób wychowano nowe pokolenia w duchu zafałszowania historii i nienawiści do centrum. Narracja separatystów katalońskich obraca się wokół rzekomej „opresji” ze strony Madrytu. Katalończycy pod wodzą Puigdemonta czy teraz prezydenta Torry kreują się na ofiarę i szukają wsparcia ze strony zagranicy. Mogą zresztą liczyć na wsparcie pewnych wpływowych instytucji europejskich, Hiszpania wciąż nie może osądzić Puigdemonta za zamach stanu, ponieważ ten chroniony jest w Belgii.

Staram się być w pierwszym szeregu tej walki o jedność i integralność kraju, ponieważ po dwóch tysiącach lat wspólnej historii jest czymś absurdalnym, że krzykliwa mniejszość próbuje wykraść większości kawałek wspólnej ojczyzny.

Ostatnio, za sprawą polskiej opozycji, wyłonił się pomysł decentralizacji kraju, oddania większej władzy samorządom. Hiszpania jest najbardziej zdecentralizowanym krajem Europy. Czy z racji doświadczenia mógłby pan podać argumenty, dla których nie warto zaczynać dzielenia tak homogenicznego etnicznie, językowo i kulturalnie kraju?

Hiszpańskie doświadczenie z autonomiami sprawiło, że w każdym regionie ukonstytuowały się grupy silnej lokalnej władzy, które wykluczają pozostałych rodaków lub stawiają im przeszkody, chodzi np. o dostęp do służby zdrowia. Taka federalizacja doprowadziła Hiszpanię do struktury pomniejszych pseudopaństw, osłabiając, rozbijając w ten sposób cały naród. Ten podział polityczny, divide et impera, jest bardzo przydatny, aby sprzyjać dominacji innych mocarstw. Gdyby Polska podążała za modelem hiszpańskim, Rosja i Niemcy byłyby z pewnością zachwycone...

My, Polacy, także znamy problem autonienawości, ale nazywamy go inaczej – „ojkofobią” – za filozofem Rogerem Scrutonem. Mam wrażenie, że moi rodacy nigdy nie uwierzą, iż Hiszpanie mają ogromny problem z poczuciem własnej wartości. Jeździmy do was na wakacje, podziwiamy krajo-

brazy, dziedzictwo kulturowe, o futbolu już nie wspominając...

Problem jednak istnieje, rozprzestrzenił się w kulturze, nauce, zainfekował myślenie i, co najgorsze, prowadzi do autodestrukcji. To jest coś na kształt zbiorowego samobójstwa. Hiszpanie nie znają własnej historii, zresztą i tak ta oficjalna ujmuje zdarzenia z przeszłości w jakiejś karykaturze. Jestem przekonany, że gdyby moi rodacy czytali choćby świetne kroniki świadka konkwisty Bernala Díaz del Castillo, zrozumieliby kłamstwa o rzekomej masakrze Indian. Naród, który przestaje wierzyć w siebie, swoją historię, nie ma przyszłości.

Mogę zagwarantować, że my nie wierzymy w żadną czarną legendę Hiszpanii. Poza tym pamiętamy film Mela Gibsona „Apocalypso”. Może Hiszpania, tak samo jak Polska, powinna sięgać częściej po soft power?

Są dwa sposoby walki z krzywdzącymi stereotypami: jeden to sięganie do źródeł, ale niestety ludzie nie gustują już w wysiłku czytania, drugi sposób to rozpowszechnianie prawdy w kulturze, filmie, teatrze, a choćby i w komiksach. Kultura popularna powinna dawać obraz kraju i przeszłości zgodny z prawdą, zamiast żywić tendencje autonienawistne. A co do filmu Gibsona – jest świetny, wierny faktom i niezwykle przy tym realistyczny.

Pomówmy o panu. Zostawił pan wszystko, żeby przyjąć nominację na dyrektora Fundacji Obrony Narodu Hiszpańskiego „Denaes”. Nie czuje się pan czasem jak Don Kichot w starciu z wiatrakami?

Nie, nie jestem Don Kichotem. Zawsze interesowałem się filozofią idei, historią i po prostu kocham mój kraj, jakkolwiek banalnie to brzmi. To mój obowiązek, architekt nie przestaje być obywatelem, który w razie konieczności wychodzi ze strefy komfortu i pomaga tam, gdzie widzi nierówności, zaniedbania, ignorancję... Owszem, wyjście przed szereg jest ryzykowne, bycie patriotą może skazać cię na kłopoty [Iván Vélaz był kandydatem do parlamentu z ramienia partii VOX, ale nie uzyskał dostatecznej liczby głosów – przyp. red.], ale są rzeczy ważniejsze, a są nimi dobro wspólne i ojczyzna.

Wydaje się, że także dzięki skandalicznej postawie UE trudno zapanować nad separatyzmami. Kraje narodowe ze swym przywiązaniem do tradycji i korzeni są solą w oku UE. Czy federalizacja jest też wrogiem narodu hiszpańskiego?

Bez wątpienia. Federalizacja i europeizacja to dla nas zagrożenie. To dziwne, ale w Hiszpanii, w niektórych jej ośrodkach, neguje się ideę narodu hiszpańskiego, za to forsuje istnienie małych etnicznych grup ze sfalsyfikowaną przeszłością, jakoby narodową. To są wciąż regiony, ale nie narody. Lansuje się absurdalną ideę rozbicia państwa, żeby potem ukonstytuować coś w rodzaju zbioru państewek. Wielu moich rodaków uważa niestety, że Hiszpania to problem, a Europa to wybawienie. O tym pisał już dawno temu Miguel de Unamuno, nazywał to papanatismo europeista, czyli fascynacją Europą zupełnie infantylną i bezkrytyczną. Przecież UE w obecnym kształcie wydaje się projektem francusko-niemieckim, gdzie forsuje się interesy i wpływy tych dwóch krajów, z pominięciem interesów państw takich jak Hiszpania i Polska.

Z pustki po prawej stronie sceny politycznej wyłonił się VOX. Jego lider Santiago Abascal, założyciel fundacji, której teraz pan szefuje, sporo zaczerpnął z filozofii politycznej pańskiego mistrza filozofii Gustavo Bueno?

VOX nie jest antyeuropejski, ale, owszem, sprzeciwia się za Bueno pomysłom federalizacji Europy. Swego czasu miałem dyskusję z ministrem i eurodeputowanym Garcíą-Margalló, który kiedyś wyraził się publicznie, że trzeba Unii „oddać tony suwerenności”. Ja powiedziałem na to: „Ani grama!”. Wspólny rynek – tak, ale nie oznacza to rozplynięcia się w jakimś supernarodzie pilotowanym przez oś Berlin-Paryż. Bądźmy rozsądni i stanowczy wobec mrzonek lansowanych przez Brukselę.

Czego życzyć Hiszpanii?

Przetrawiania w jedność. Wnieśliśmy sporo do historii uniwersalnej, miliony ludzi na świecie mówią po hiszpańsku. Nasza autodestrukcja miałaby fatalne skutki także dla innych.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Iván Vélaz Cipriano (1972) – architekt, dyrektor Fundacji Obrony Narodu Hiszpańskiego „Denaes”, badacz dziejów, autor wielu książek i esejów historycznych specjalizujący się w temacie konkwisty i czarnej legendy Hiszpanii. Wybrane pozycje: „Konkwista Meksyku” (2019), „O czarnej legendzie” (2018), „Mit Cortésa” (2016).

Wajcha Blaira



Olivier Bault

Wielka Brytania tak bardzo chciała chronić odmienności, że dziś ma problem z wolnością słowa

Pod koniec maja brytyjski sąd wydał zakaz urządzania protestów w pobliżu szkoły podstawowej Anderton Park w mieście Birmingham. Od kilku tygodni przed szkołą tę regularnie protestowały grupy rodziców, którym nie podoba się program „No Outsiders” wprowadzony przez dyrektorkę placówki. To program, który ma oswajać dzieci w wieku 5–11 lat z istnieniem różnych orientacji seksualnych i różnych typów rodzin, np. takich, w których dziecko ma dwóch ojców czy dwie matki zamiast mamy i taty lub tylko jednego z nich.

W marcu z powodu podobnych protestów wycofano się z wprowadzenia tego samego programu w innej szkole podstawowej w Birmingham: Parkfield Community School.

W obu przypadkach protestowały głównie rodziny muzułmańskie, występujące pod hasłami: „Nasze dzieci, nasze prawa”, „Pozwólcie dzieciom być dziećmi”, „Nie seksualizacji dzieci” itd., itp. Około jednej czwartej mieszkańców w tym drugim co do wielkości mieście w Wielkiej Brytanii to muzułmanie.

USTAWA RÓWNOŚCIOWA

Programy edukacji seksualnej uwzględniające już od najmłodszego wieku podstawy ideologii LGBT staną się obowiązkowe we wszystkich angielskich szkołach od września 2020 r. W międzyczasie wiele szkół stara się wprowadzać podobne programy, czasami wbrew woli rodziców, m.in.

na podstawie brytyjskiej ustawy równościowej (ang. Equality Act) z 2010 r., która rozszerzyła zakres ustawy o tej samej nazwie z 2006 r. Ustawa równościowa ma oficjalnie na celu ochronę przed dyskryminacją, mobbingiem lub prześladowaniem m.in. ze względu na wiek, niepełnosprawność, rasę, religię, wierzenia, płeć, orientację seksualną czy zmianę płci. W 2009 r. lewicowy „Guardian” opisywał tę ustawę jako „największy pomysł Partii Pracy w ciągu 11 lat” (czyli od czasu jej powrotu do władzy), cytując anonimowego, czołowego członka rządu, który miał o niej mówić, że to „socjalizm zawarty w jednej klauzuli”.

Aby zrozumieć, jak bardzo zmieniła się Wielka Brytania w czasie ostatnich dwóch dekad pod wpływem reform zainicjowanych przez rządy Tony’ego Blaira, wystarczy przypomnieć, że ustawowy zakaz promowania homoseksualizmu w szkołach został zniesiony dopiero w 2003 r., kiedy ten przedstawiciel liberalnego skrzydła Partii Pracy był premierem od sześciu lat. Pomyśleć, że za nieco ponad rok, choć Brytyjczycy mają teraz za sobą dziewięć lat rządów partii „konserwatywnej”, promowanie homoseksualizmu w angielskich i szkockich szkołach będzie odąd obowiązkowe, a od 2022 r. taki obowiązek będzie ciążył także na szkołach w Walii.

Ustawy równościowe przyjęte przez Partię Pracy w czasach premierostwa Tony’ego Blaira (1997–2007) i Gordona Browna (2007–2010) miały także inny, bardzo przykry skutek związany z tym,



że od 2002 r. (czyli 11 lat przed ustanowieniem „homomażeństw” z inicjatywą „konserwatysty” Davida Camerona), pary homoseksualne miały już prawo adoptować dzieci. Przyznane na podstawie ustaw równościowych prawo do adopcji dzieci przez pary homoseksualne postawiło katolickie ośrodki adopcyjne przed prostym wyborem: musiały albo zamknąć działalność, albo zrezygnować ze swojego katolickiego charakteru, gdyż nie wolno im było nawet dawać pierwszeństwa małżeństwom w procesie adopcji dzieci, a co dopiero odmawiać wydawania dzieci parom jedнопłciowym, nawet jeśli robili to w przekonaniu, że jest to w najlepszym interesie dzieci. Takich instytucji w Anglii i Walii było przed 2007 r. 11, a ostatnia



Protest rodziców i dzieci w Birmingham przeciw programowi edukacji o prawach LGBT, marzec 2019 r. FOT. CATERS NEWS/FORUM

z nich, Catholic Care z diecezji w Leeds, zmuszona była zamknąć działalność w zakresie adopcji w marcu 2013 r.

W ten oto sposób ustawa, która miała znieść wszelkie dyskryminacje, doprowadziła do nowego rodzaju dyskryminacji. Czasami, w połączeniu z angielską ustawą przeciwko nienawiści rasowej i religijnej, która od 2006 r. (czyli także od czasów Tony'ego Blaira) ma chronić obywateli nie tylko ze względu na ich przynależność rasową czy religijną, lecz także ze względu na ich orientację seksualną i identyfikację płciową, prowadzi to do absurdalnych i bardzo groźnych dla swobód obywatelskich sytuacji. W lutym tego roku brytyjska gazeta „Daily Mail” ujawniła sytuację 38-letniej matki, którą policja aresztowała

w jej własnym domu na oczach 10-letniej autystycznej córki oraz 20-miesięcznego synka, którego w owym czasie pani Kate Scottow nadal karmiła piersią. Matka dwójga dzieci spędziła siedem godzin w celi policyjnej, a następnie została przesłuchana i zwolniona z ciężących na niej zarzutów rzekomego nękania za pośrednictwem Twittera mężczyzny samoidentyfikującego się jako kobieta, czyli osoby „transgenderowej”. W nowomowie narzuconej przez zwolenników neomarksistowskiej ideologii gender osoba transgenderowa to taka, która identyfikuje się z płcią odmienną od płci biologicznej, ale w odróżnieniu od transseksualisty nie przeszła operacji zmiany płci (czy raczej narządów płciowych). „Zbrodnia” pani Scottow polegała

na tym, że powiedziała owemu mężczyźnie uważającemu się za kobietę o imieniu Stephanie, że dla niej pozostaje on mężczyzną. Pani Scottow ma więc z tego tytułu sprawę w sądzie, a krótko po jej przesłuchaniu na komisariacie sędzia wydał wobec niej w trybie tymczasowym zakaz odnoszenia się do „transgendera” występującego jako Stephanie Hayden czy mówienia o nim w kategoriach męskich.

WYSYP „PRZESTĘPSTW” Z NIENAWIŚCI

Dzisiaj, zaledwie kilkanaście lat po zniesieniu przez rząd Tony'ego Blaira zakazu promowania homoseksualizmu w szkołach i dopuszczeniu gejów oraz lesbijek do służby w wojsku bez ukrywania

własnej orientacji seksualnej oraz 11 lat po ustawie z 2008 r. (przyjętej za czasów następcy Blaira – Gordona Browna, także z Partii Pracy), która zakazała tzw. mowy nienawiści w stosunku do homoseksualistów, można by mnożyć przykłady represji policyjno-sądowych przeciw tym, którzy krytykują postawy homoseksualne lub nawet tylko głoszą zgodnie z prawdą, że nie wystarczy identyfikować się z płcią przeciwną, aby do tej płci przynależeć.

Co roku brytyjska policja przyjmuje tysiące doniesień o „przestępstwie nienawiści” tylko na tle orientacji seksualnej czy identyfikacji płciowej. Angielski termin „hate crimes” brzmi tym mocniej, że słowo „crime” może także oznaczać „zbrodnię”. Przykładem „hate crime” w świetle ustaw z pierwszej dekady XXI w. jest mówienie „she” (ona – przyp. red.) do dziewczyny czy kobiety, która twierdzi, że identyfikuje się z płcią przeciwną. I vice versa. Zdarza się więc, że komuś się coś wymyśli, jak to się wydarzyło 27-letniemu protestantkiemu pastorowi i nauczycielowi matematyki Joshui Sutcliffe’owi w listopadzie 2017 r. Stracił on pracę w szkole w Oksfordzie za to, że powiedział do grupy uczennic, w której znajdowała się „transgenderowa” nastolatka, identyfikująca się jako chłopiec, chcąc je pochwalić: „Dobra robota, dziewczyny”.

Czasami może to być jednak świadome zachowanie osoby, która nie zgadza się z obowiązującą ideologią gender, jak to było w przypadku pani Scottow. I wtedy może właśnie interweniować policja, która kieruje sprawę do sądu.

Represje dotknęły np. katolicką dziennikarkę Caroline Farrow. Skargę złożyła na nią dyrektorka organizacji LGBT Mermaids, która wyjechała do Tajlandii ze swoim 16-letnim synem, aby ten mógł przejść tam operację zmiany płci. Taka operacja ze względu na jego wiek była niedozwolona w Wielkiej Brytanii. Farrow naraziła się na skargę, bo stwierdziła, że na obozach wakacyjnych chłopcom identyfikującym się jako dziewczęta nie powinno pozwalać się na spanie w namiocie razem z dziewczętami. Farrow musiała się też tłumaczyć policji z powodu używania „niewłaściwego” zaimka osobowego, gdy mówiła o „córcie” (synu po operacji w Tajlandii) pani Green.

Susie Green oskarżyła też niejaką Kellie-Jay Keen-Minshull, matkę czworga dzieci i działaczkę na rzecz praw kobiet. Chodziło o sześć wpisów na Twitterze. Policja przesłuchiwała Keen-Minshull przez kilka godzin. Ta sprawa została już zamknięta, ale przeciw Keen-Minshull toczy się druga

– za opublikowanie na YouTube dwóch filmików, w których krytykuje Green za jej rolę w (nielegalnej) zmianie płci syna.

BÓJ O WOLNOŚĆ SŁOWA

Na początku roku Caroline Farrow razem z kilkoma innymi osobami, w tym z byłym oficerem policji, założyła nową organizację, mającą na celu doprowadzić do zmiany wytycznych obowiązujących w angielskiej policji, tak aby chronić wolność słowa, którą coraz bardziej ograniczają ustawy „przeciwko nienawiści”.

Problemy z wolnością słowa w dzisiejszej Wielkiej Brytanii nie dotyczą zresztą wyłącznie kwestii związanych z „prawami” osób LGBTQ. Adrian Hart opublikował w 2009 r. raport o tym, jak obowiązkowe tropienie i zgłaszanie władzom wszelkich objawów rasistowskich zachowań w brytyjskich szkołach, wprowadzone w 2000 r. przez rząd Tony’ego Blaira na mocy poprawki do ustawy o relacjach międzyrasowych (Race Relations Amendment Act), doprowadziło do wielu nadużyć. Hart jest byłym nauczycielem i autorem kilku książek, w tym książki o wymownym tytule „That’s racist! How the regulation of speech and thought divides us all” („To jest rasistowskie! W jaki sposób regulacja mowy i myśli nas wszystkich dzieli”).

W 2015 r. Hart pisał, że ustawa równościowa z 2010 r. tak naprawdę przyczynia się do zwiększenia dyskryminacji. Zamiast dążyć do równych szans dla wszystkich, narzuciła system sztucznego konformizmu wymuszonego przez państwo, tworząc kategorie ludzi i zachowań podlegające specjalnej ochronie.

BEZPIECZNE MIEJSCA

Nawet sama pani premier Theresa May zauważyła, że kraj, którym rządzi, ma problem z wolnością słowa, gdy jesienią 2016 r. ostro skrytykowała brytyjskie uniwersytety za wymuszanie autocenzury na pracownikach akademickich i studentach i za praktykę ustanawiania coraz liczniejszych tzw. bezpiecznych przestrzeni (ang. safe spaces). Bezpieczne przestrzenie to miejsca i momenty, w których dyskusja jest regulowana w taki sposób, aby nikogo nie urazić, a zwłaszcza nie dotknąć osób należących do różnych mniejszości (rasowej, religijnej, seksualnej itd.). Przykładem zasad obowiązujących w bezpiecznych przestrzeniach są np. reguły wdrożone przez związek studentów Uniwersytetu w Edynburgu (EUSA), które nakazują uczestniczącym w dyskusjach

wstrzymać się od wszelkich wypowiedzi czy gestów pokazujących dezaprobatę tego, co ktoś mówi, lub manifestowania w jakikolwiek sposób braku zgody z treścią czyichś wypowiedzi. Często mocno lewicowe związki studenckie na brytyjskich uniwersytetach chętnie blokują udział w debatach osób, których poglądy są dla nich nieakceptowalne. Mogą to być poglądy feministek uznawanych za „transfobiczne”, jeśli uważają one, że nie wystarczy być „transgender”, aby stać się kobietą, czy poglądy osób broniących prawa do życia od poczęcia. Nawet noszenie meksykańskiego sombrero przez Europejczyka może zostać uznane za rasistowskie zachowanie i tym samym zakazane na niektórych uniwersytetach z inicjatywy związków studenckich.

Theresa May wypowiedziała się na ten temat krótko po opublikowaniu raportu, z którego wynikało, że politycznie poprawne uniwersytety w Wielkiej Brytanii po prostu „zabijają wolność słowa”. Ograniczenia nie dotyczą tylko studentów. Pokazała to sprawa psychoterapeuty Jamesa Caspiana z uniwersytetu Bath Spa. Cofnięto mu zgodę na projekt badawczy, który miał wyjaśnić, dlaczego niektóre osoby „transgenderowe” decydują się na powrót do swojej pierwotnej tożsamości płciowej. Po wstępnej zgodzie projekt został zablokowany przez komisję etyki uczelni, gdyż stwierdziła ona, że taki „politycznie niepoprawny” przedmiot badań może urazić pewne grupy osób i wywołać falę krytyki wobec uczelni. Sprawa jest jeszcze w sądzie z powództwa Caspiana, który o swojej walce mówi, że jest to walka z policją myśli brytyjskiego ruchu LGBT.

Brytyjska policja myśli działa też oczywiście w mediach tradycyjnych. Niedawno z ramówki BBC został zdjęty jeden z autorów odcinków serii telewizyjnej „Doctor Who” – pisarz Gareth Roberts, zresztą zdeklarowany homoseksualista. A zdjęto go, bo publicznie stwierdził: „Nie wierzę w tożsamość genderową. Nie jest możliwe, aby ktoś zmienił swoją płć biologiczną. Uważam, że błędem jest, aby wpisać coś fałszywego do obowiązującego prawa i zmuszać ludzi do wypowiadania słów, w które nie wierzą”. Zostało to uznane za przejaw „transfobii”, co jest równoznaczne z przestępstwem z nienawiści. BBC postanowiła zerwać z nim współpracę. Za już napisane przez niego scenariusze otrzyma on wynagrodzenie, ale nie zostaną one wykorzystane.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



SEKS „NA MESSIEGO”

Irańczyk Reza Parastesch (na zdjęciu) jest fizycznie bardzo podobny do piłkarskiej gwiazdy z Argentyny – Leo Messiego. Gdy to zauważył i zaczął dbać o detale, to dwa lata temu pod stadionem musiała go ochraniać policja, tak wielu fanów przybiegło po autograf. Teraz okazało się, że Parastesch mógł też w inny sposób wykorzystać swój wygląd. Dwadzieścia trzy kobiety oskarżają go o oszustwo. Sły z nim do łóżka przekonane, że będą uprawiać seks z Messim. Parastesch wszystkiemu zaprzecza.

FOT. JITA KENARE/APPEAST NEWS

SĄD ZMUSZA DO ABORCJI

NHS Trust, organizacja działająca w ramach brytyjskiej służby zdrowia, uznała, że niepełnosprawna intelektualnie 20-latką, która zaszła w ciążę, powinna być poddana aborcji. Matka młodej dziewczyny, która jest pielęgniarką, sprzeciwiła się temu. Sąd uznał jednak, że zabieg powinien zostać wykonany – bo stan umysłowy ciężarnej uniemożliwiał jej świadome podjęcie decyzji o macierzyństwie. Poza tym zdaniem sądu i tak dziecko trafiłoby do rodziny zastępczej, a aborcja będzie mniejszym cierpieniem niż późniejsze odebranie niemowlaka.

UNIwersytet TYLKO DLA KOBIET

Holenderski Uniwersytet Techniczny w Eindhoven w ramach programu stypendialnego będzie miał do obsadzenia ok. 150 stanowisk akademickich i zapowiedział, że nie będzie rozpatrywać aplikacji wysyłanych przez mężczyzn. Ci będą mieli szansę na pracę tylko wówczas, gdy w ciągu pół roku na stanowisko nie zgłosi się żadna kobieta.

CO CHRONI PRZED DEPORTACJĄ

Szwajcarski sąd kantonu w Bazylei zajmował się sprawą Albańczyka z Kosowa, który wiele razy naruszał prawo. Sześć razy był już skazywany za kradzieże, wymuszenia i niszczenie mienia. Ostatnio stanął przed sądem za udział w bójce, której ofiarą skończyła ze złamaną kością czaszki. Sąd uznał, że nie można 32-latkę deportować, bo ma niski poziom inteligencji i nie wiadomo, czy poradziłby sobie z ułożeniem życia na nowo w Kosowie.

PIWNY BLITZKRIEG

W niemieckim Ostritz odbył się festiwal rockowy Tarcza i Miecz, na który zjechało wielu neonazistów (tak, to dziwne, bo przecież to podobno w Polsce faszyzm jest najgroźniejszy). Sąd w Dreźnie, dbając o względy bezpieczeństwa, zakazał sprzedaży alkoholu na tej imprezie. Policja skonfiskowała uczestnikom w sumie ponad 4 tys. litrów piwa. Mieszkańcy Ostritz obawiali się, że neofaszyści przejdą się do lokalnego supermarketu, więc zorganizowali akcję, podczas której wykupili cały zapas trunku – ponad 200 skrzynek. ©

Lukasz Zboralski



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Elektorat bez partii

Zerowy PIT do 26. roku życia ładnie wygląda i nawet chciałoby się go pochwalić, mówiąc: nareszcie jakaś obniżka podatków. Chciałoby się, ale się nie da.

Po pierwsze – zerowy PIT nie dotyczy ani umów o dzieło, ani działalności gospodarczej. Czyli nie obejmuje tych form zatrudnienia, które są charakterystyczne dla wolnych zawodów albo dla ludzi najbardziej przedsiębiorczych.

Po drugie – czeka nas wysyp „optymalizacji” podatkowych z udziałem osób poniżej 26 lat. Odpowiedzią będą – a jakże – wzmożone kontrole. Socjalizm

bohatersko walczy z problemami, które sam stwarza.

Po trzecie – granica 26 lat to czytelny sygnał dla części młodych ludzi, że rząd PiS nie jest zainteresowany ich wspieraniem. Standardowo studia kończy się bowiem w wieku 25 lat. Jeśli ktoś studiuje na dwóch fakultetach, może to potrwać dłużej. W niektórych zawodach dużo dłużej (część profesji medycznych czy prawniczych). Czyli ci, którzy najwięcej w siebie zainwestują i będą się najdłużej uczyć, w najlepszym wypadku załapią się na rok bez podatku, a w najgorszym – wcale. Zyskają najwięcej ci, którzy swoją

edukację zakończą na szkole średniej. A najlepiej na podstawówce. Innymi słowy – zerowy PIT do 26 lat jest jak zaproszenie do emigracji z Polski, wystosowane do tych, na których zatrzymaniu najbardziej powinno nam zależeć.

Czy to dziwi? Nawet nie. Pozostawienie samemu sobie, wręcz otwarte lekceważenie dla zdolniejszych, zaradniejszych, więcej w siebie inwestujących jest częścią paradygmatu obecnej władzy. To po prostu nie jest jej elektorat.

Problem w tym, że ten elektorat w ogóle nie ma „swojej” partii. ©

„Postępowa” zamiana ról



Agnieszka Niewińska

Kobieta w roli Hamleta, Juliusz zamiast Julii czy pogromczynie duchów zamiast pogromców. Genderowe teorie są coraz szerzej obecne w kulturze popularnej i wysokiej

Aktorka Kathryn Hunter jako lady Timon zamiast męskiej postaci Tymona w sztuce „Tymon Ateńczyk” FOT. SIMON ANNAND/RSC

Dramat „Tymon Ateńczyk” to dzieło Williama Shakespeara, wokół którego narosło wiele pytań. Nie ma pewności, czy jest skończony, z którego roku pochodzi, a nawet czy autorem był Shakespeare, czy może była to praca zbiorowa. Pytanie – co jeśli główny bohater, Tymon, byłby kobietą – dodał do tej listy Royal Shakespeare Company (RSC), największy brytyjski zespół teatralny, zatrudniający blisko tysiąc osób i przygotowujący 20 premier rocznie.

„PRZYSŁUGA” DLA SHAKESPEARE’A

Pod koniec ubiegłego roku RSC włączył „Tymona Ateńczyka” do repertuaru, ale sztuka została przepisana na żeńskie głosy (w swoim felietonie w „Do Rzeczy” zwrócił na to uwagę Piotr Kowalczyk). Tymon to w sztuce RSC lady Timon (w tej roli Kathryn Hunter). Kobietami zostali także Alcybiades, Apemantus czy Flaminiusz.

Razem ze zmianą płci bohaterów transformacji musiał ulec tekst – stosownie do nowej płci bohaterów. Nie udało się więc utrzymać rytmu, w którym pisał Shakespeare, ale sztuka doczekała się wielu entuzjastycznych recenzji. Pisano w nich, że sam William Shakespeare z sympatią podszedłby do zmiany płci bohaterów, a może nawet sam by jej dokonał. „Prze-pisanie» Shakespeare’a sprawiło, że jego sztuka znów jest żywa” – obwieścił piórem swojego recenzenta dziennik „The Guardian”.

Reżyser spektaklu Simon Godwin nie krył, że zamiana płci w sztuce dokonała się w imię współczesnych trendów. – Mamy globalny ruch, który chce powiedzieć, że sztuki nie są o mężczyznach i dla mężczyzn. Myślę, że robimy Shakespeare’owi przysługę, świętując nowoczesność. Jest wiele sposobów na zwiększenie liczby kobiet w jego sztukach. Jednym z nich jest zachowanie płci bohaterów tekstu i zachęcenie kobiet do grania tych ról, drugim jest

dokonywanie bardzo małych zmian, tak aby pan został panią – tłumaczył w „Stratford Herald”.

Do politycznie poprawnych adaptacji swoich dzieł Shakespeare powinien był już przywyknąć. Ich wersje z zamianą płci w różnych konfiguracjach wystawiane były od Stanów Zjednoczonych po Australię. W ubiegłym roku podobnego zabiegu co RSC dokonał londyński teatr Globe. Po zmianie dyirekcji ta londyńska scena zabrała się do przygotowywania dwóch sztuk Shakespeare’a – „Hamleta” oraz „Jak wam się podoba”. Władze teatru chwaliły się, że casting do ról jest „ślepy na płeć”. I tak: najlepiej do roli Hamleta pasowała kobieta, a do roli Ofelii mężczyzna. – Casting w rzeczywistości odzwierciedla poczucie, że dziś jesteśmy poza płcią – mówił o tej specyficznej obsadzie w teatrze Globe aktor Shubham Saraf, który w „Hamlecie” zagrał Ofelię. Nie pozostawił wątpliwości, że w tego typu zabiegach nie chodzi o powrót do czasów teatru shakespeareowskiego,

kiedy to wszystkie role grali mężczyźni, ale o rozprzestrzenianie genderowych teorii w sztuce.

Dramat „Romeo i Julia” został już odegrany w wersjach z parami jednopłciowymi. W 2017 r. liverpoolski teatr Everyman na miejsce Julii wprowadził Juliusza. Reżyser Nick Bagnall stwierdził, że Shakespeare’owi taki obrót spraw by się spodobał, bo zgodnie z hipotezami Oscara Wilde’a (homoseksualnego poety) Shakespeare wszystkie role żeńskie pisał dla młodych mężczyzn, którzy byli obiektem jego uczuć.

Romeo i Julię z zamianą płci wyprodukował także The Actors’ Hub w australijskim Perth. Tyle że tu były dwie wersje – gejowska i lesbijska. Jednego dnia w rolę pary kochanków wcielało się dwóch mężczyzn, innego dwie kobiety.

BYŁ ROBERT, JEST ROBERTA

Nie tylko Shakespeare podlega genderowej reinterpretacji. Dotyczy to zarówno broadwayowskich musicali, hollywoodzkich produkcji, które doczekały się remake’ów z kobietami zamiast mężczyzn, jak i klasycznych dzieł literatury.

W 2016 r. na dużym ekranie pojawiła się nowa wersja „Pogromców duchów”, w której to Nowy Jork przed duchami ratuje zespół „naukowców”, nie zaś męska ekipa, jak w pierwowzorze z 1984 r. Pomysł na taki remake jeszcze przed premierą wzbudził w widzach mieszane uczucia. Po tym, jak film wszedł na ekrany, część z nich uznała, że nowej wersji zabrakło pomysłu i wycucia, a twórcy na kino z kobietami zdecydowali się w imię politycznej poprawności.

Nową wersję filmu „Czego pragną kobiety” z 2000 r. z Melem Gibsonem i Helen Hunt w rolach głównych można było obejrzeć na początku tego roku. Funkcjonująca pod bliźniaczym tytułem „Czego pragną mężczyźni” produkcja to opowieść o kobiecie, która podczas imprezy uderzyła się w głowę, w efekcie czego słyszy myśli mężczyzn. W ocenach filmu nie brakowało głosów, że został zrobiony na siłę, a w imię walki z seksizmem twórcy posłużyli się też seksizmem, tyle że w stosunku do mężczyzn.

Genderowej poprawności nie brakuje na Broadwayu. Jesienią nagłówki amerykańskich serwisów dla miłośników teatru krzyczały o zamianie płci w musicalu „Kelnerka” powstałym na podstawie scenariusza filmu z 2007 r. W filmie tytułowa kelnerka Jenna żyje z terroryzującym

ją mężem. Marzy o ucieczce, ale nie ma szans na finansową samodzielność. W dodatku zachodzi w ciążę. Z opresji ratuje ją zrzędlawy właściciel knajpki – staruszek Joe. Tuż przed śmiercią wręcza jej sowity czek. Jenna odchodzi od męża i przejmuje lokal Joego. Autorki broadwayowskiej „Kelnerki” postanowiły, że w części przedstawień wybawcą Jenny będzie nie stary Joe, lecz stara Josie – „silna, mądra kobieta biznesu, która daje oparcie i innej kobiecie”.

Wydana została też nowa wersja broadwayowskiego musicalu „Company” z 1970 r., która dostała rekordową liczbę 14 nominacji do nagrody teatralnej Tony Awards i zdobyła sześć statuetek. Autorzy nowej wersji libretta, by nadać jej współczesność, zamienili głównego bohatera Boba – starego kawalera z Nowego Jorku – na 35-letnią singielkę Bobbie.

Polityka zamiany płci nie ominęła literatury. Zabiegu mogli doświadczyć nawet fani sagi „Zmierzch”. W 2015 r. z okazji 10. rocznicy premiery książki jej autorka Stephenie Meyer napisała jej nową wersję, w której zamieniła głównych bohaterów rolami. Wampirem nie jest już Edward, tylko Edythe, zakochująca się w mężczyźnie – Beau. – Chciałam zrobić coś zabawnego na 10. rocznicę – tłumaczyła Meyer, dodając, że do myślenia dały jej głosy o stereotypach płciowych w pierwowzorze. Belle, w której zakochał się wampir Edward, jest bowiem dziewczyną, którą z kłopotów musi ratować ukochany.

Reżyser spektaklu Simon Godwin nie krył, że zamiana płci w sztuce dokonała się w imię współczesnych „trendów”

Genderowy lifting przeszedł nawet „Mały Książę” Antoine’a de Saint-Exupéry’ego. Słynną książkę przepisały dwie argentyńskie aktywistki kobiece. W „Małej Księżniczce” główną bohaterką jest dziewczynka, wśród postaci jest 60 proc. kobiet i 40 proc. mężczyzn. Książka, zgodnie z deklaracjami autorem, jest wolna od seksizmu, napisana „językiem, który nie wyklucza”. Argumentują one, że dzięki nowej wersji „osoby dyskryminowane będą mogły łatwiej utożsamić się z głównymi bohaterami”.

„Mała Księżniczka” została zrealizowana w ramach hiszpańskiego projektu Espejos Literarios, który zakłada przepisanie klasycznej literatury wedle prawideł politycznej poprawności. Lista arcydzieł literatury do przerobienia była długa, ale nie wiadomo, czy jeszcze coś w ramach tego projektu powstanie. Kilka miesięcy po publikacji „Małej Księżniczki” z sieci zniknęła strona internetowa Espejos Literarios, a także fanpage na Facebooku.

Małgorzatę Owczarską, która działa na rzecz kobiet, jest wiceprezesem Fundacji Życie, dziwią zabiegi zastępowania w dziełach kultury bohaterów męskich żeńskimi. – Jako kobieta nie odczuwam potrzeby, by takich zmian dokonywać. Nie bardzo wiem też, czemu to ma służyć. Pokazaniu, że w roli, którą autor przewidział dla mężczyzny, odnajdzie się kobieta? W przekonaniu innych, że jesteśmy ważniejsze? – pyta. – Kobiety potrzebują innego wsparcia – docenienia ról, które faktycznie odgrywają, również tych uznawanych za tradycyjne. Wiele z nich doskonale się w nich realizuje i wybiera je dobrowolnie, choć w takich krajach jak Polska nie ma żadnego problemu z tym, żeby kobieta wykonywała zawód uchodzący za męski. Większość kobiet jest zadowolona z tego, że są kobietami, i z tego, że mają obok siebie mężczyzn.

Jean-Paul Benglia, francuski badacz, trener i reprezentant ruchu La Manif pour Tous, zwraca uwagę na coś innego. – Rozprzestrzenianie się genderowych teorii niesie poważne konsekwencje – mówił podczas konferencji zorganizowanej w Warszawie przez Centrum Życia i Rodziny. – Wpływ teorii gender na relacje damsko-męskie badam od 15 lat. Obserwuję, że męskość jest rugowana z naszej kultury, co odbija się poważnie na rozwoju młodzieży, szczególnie na młodych mężczyznach. Są sfrustrowani z powodu niezrozumienia siebie samych i płci przeciwnej. W związku z tym ponoszą porażki w relacjach damsko-męskich, w tworzeniu trwałych związków. To z kolei prowadzi do depresji, a nawet do samobójstw.

Tymczasem genderowa poprawność nie zwalnia tempa. Nawet sieć fast foodów KFC uznała, że najwyższa pora, by założyciela sieci Colónela Sandersa (jego wizerunek znamy z kubeków KFC) w reklamie zagrała kobieta. W tej roli wystąpiła gwiazda muzyki country Reba McEntire – rzecz jasna w męskim przebraniu.



Stefan Sękowski

Giełda Papierów Wartościowych straciła swoją funkcję miejsca, w którym przedsiębiorcy pozyskują potrzebny im kapitał. Czy Pracownicze Plany Kapitałowe ją ożywią?

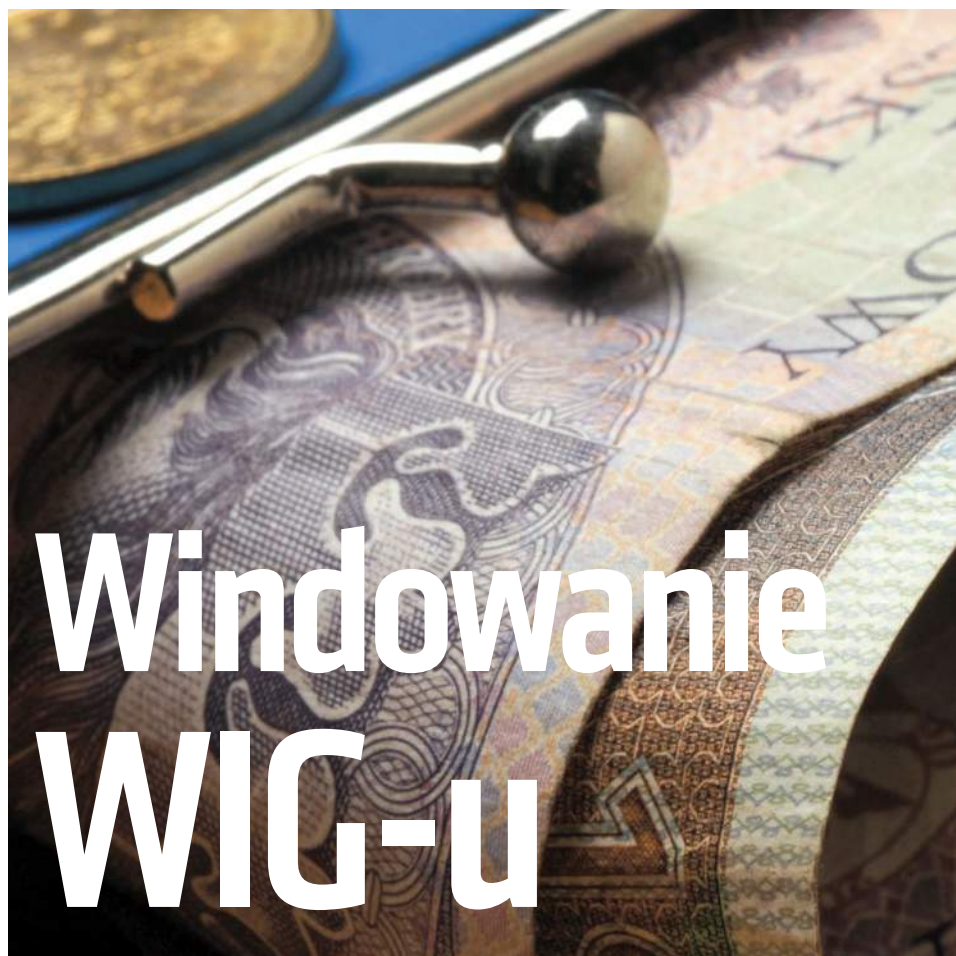
W połowie maja na Giełdzie Papierów Wartościowych pojawiła się spółka BoomBit, produkująca gry na telefony komórkowe. To był pierwszy „prawdziwy” debiut giełdowy w tym roku. Pozostałe trzy spółki, które w tym roku pojawiły się na parkiecie (drukująca nanomateriały XTPL, zajmująca się analizą danych Datawalk i produkująca kosmetyki oraz preparaty lecznicze Pharmena), przywędrowały na GPW z giełdy NewConnect, czyli giełdowego „przedszkola”, przeznaczonego dla młodszych spółek, na której wymogi formalne i koszty wejścia są mniejsze. W ubiegłym roku debiutów było łącznie siedem (z czego pięć zupełnie nowych), a jeszcze w 2015 r. trzydzieści (z czego 17 bez przeszłości na NewConnect).

Tak małego zainteresowania wchodzeniem na giełdę nie było więc od lat. W chwili pisanego tego tekstu na GPW notowanych było 460 spółek. Niedaleko od rekordu (najwięcej było w listopadzie 2016 r. – 488), ale jednak liczba ta spada, i to wyraźnie. Część spółek się wycofuje, nie widząc dla siebie szans na pozyskiwanie kapitału i obawiając się wysokich wymogów związanych z notowaniem na GPW.

Warszawski parkiet traci na atrakcyjności nie tylko wśród przedsiębiorców, lecz także wśród inwestorów. Gdy spojrzymy na indeks WIG, zobaczymy, że od kwietnia 2018 r. giełda jest faktycznie w stagnacji. Jeszcze gorzej wygląda sytuacja indeksu WIG20 (na którym notowanych jest 20 największych spółek giełdowych), który do tej pory nie wrócił do formy sprzed kryzysu finansowego, kiedy to w październiku 2007 r. notowania zaczęły gwałtownie spadać.

OFIARA ZMIAN W OFE

Dlaczego tak się dzieje? Dlaczego instytucja, która w założeniu ma służyć



pozyskiwaniu kapitału przez spółki, straciła ich zainteresowanie? Przecież nie zawsze tak było. Prawdziwy boom na polskiej giełdzie to lata 2003–2007, kiedy to indeksy szły w górę. Jednak później nastąpił kryzys, a potem, w 2013 r., wprowadzono zmiany w systemie emerytalnym. W ich efekcie ukrócona została noga kapitałowa systemu. W otwartych funduszach emerytalnych pozostało ok. 18 proc. dotychczasowych ubezpieczonych, co zmniejszyło dopływ nowych środków. Poza tym OFE zaczęły sprzedawać akcje, które trzeba było wycofać z giełdy w ramach mechanizmu „suwaka”, przesuwającego zainwestowane na giełdzie środki starszych ubezpieczonych do ZUS. – Gdy zmniejszyła się rola OFE na giełdzie, zmniejszyła się też rola giełdy. Istniała niepewność, czy OFE będą wycofywać środki z GPW – tłumaczy „Do Rzeczy” niezależny analityk rynku finansowego Piotr Kuczyński. Szczególną rolę odgrywał tu też WIG20. – Sytuacja na nim wyglądała dramatycznie. Duża część spółek notowanych na WIG20 to spółki

państwowe. Kapitałowi zagranicznemu nie podoba się zależność największych spółek od państwa – tłumaczy Kuczyński.

Swoje zrobiła także afera GetBack, która pogorszyła wizerunek giełdy. Spółka zajmująca się skupowaniem wierzytelności debiutowała na GPW w 2017 r. Jednak już w kolejnym roku okazało się, że dochodziło w niej do nadużyć przy sprzedaży obligacji spółki, a zadłużona firma podała fałszywą informację, jakoby prowadzono rozmowy z bankiem PKO BP i Polskim Funduszem Rozwoju na temat pozyskania od nich finansowania. Wtedy giełda zawiesiła na wniosek Komisji Nadzoru Finansowego obrót jej akcjami. Takie sytuacje odstraszały inwestorów, którzy wolą spokój i pewność, że giełda w interesie inwestorów zawczasu potrafi zapobiegać takim sytuacjom.

NA RATUNEK – PPK

Giełda nie jest jedynym miejscem, w którym można pozyskiwać kapitał. Z jednej strony pieniądze można pożyczyć od banku. W tej chwili może to być atrakcyjne,



Dzięki PPK na giełdę może trafić ok. 7 mld zł rocznie FOT. ADOBE STOCK

ponieważ mamy wyjątkowo niskie stopy procentowe. Można też do firmy wpuścić inwestora strategicznego. Boom przeżywają obecnie inwestycje private equity, obliczone na długo- i średnioterminowe inwestowanie.

Giełda jest rozwiązaniem dla tych, którzy nie chcą wyzbywać się kontroli nad firmą. Jednak muszą być też chętni do inwestowania na giełdzie, a z tym jest w Polsce ostatnio gorzej. – Istnieje grupa osób, które chcą się dorobić, inwestując środki. Kiedyś atrakcyjna była giełda, ale od jakiegoś czasu ma ona konkurencję w postaci np. kryptowalut takich jak bitcoin czy rynku walutowego Forex. Istnieją też platformy, które otwierają nas na rynki z całego świata – mówi „Do Rzeczy” ekonomista Wojciech Świder z Uniwersytetu Ekonomicznego w Poznaniu. Im mniej jest chętnych do inwestowania na giełdzie, tym mniej przedsiębiorstw szuka tam swoich szans. A im mniej jest debiutów i wypuszczania nowych serii akcji, tym mniej chętnych do zakupów.

Ludzie zajmujący się inwestycjami na giełdzie jak na wybawienie czekają na wejście w życie Pracowniczych Planów Kapitałowych. W lipcu do PPK mają przystąpić pierwsi pracownicy – działający w firmach powyżej 250 zatrudnionych. Po nich przyjdzie czas na zatrudnionych w coraz mniejszych firmach, a do 2021 r. program ma objąć wszystkich pracowników.

Ma to ogromne znaczenie dla GPW. Na giełdę trafić mają środki pobrane od pracowników, którzy zdecydują się na to, by poprzez PPK oszczędzać część swoich pieniędzy na emeryturę. Środki zwłaszcza młodszych pracowników mają być inwestowane w spółki notowane na GPW – przede wszystkim największe, ale nie tylko. Zdaniem prezesa Polskiego Funduszu Rozwoju Pawła Borysa byłoby to ok. 7 mld zł rocznie. Tę sumę należałoby pomniejszyć o kwoty, które wypłyną z GPW w wyniku planowanej ostatecznej likwidacji OFE, ale i tak, zdaniem Borysa, giełda będzie kilka miliardów złotych na plusie. – Gdyby to się zakończyło sukcesem, indeks WIG20 mógłby wzrosnąć nawet dwukrotnie – twierdzi Kuczyński.

Nie tylko giganci mogą jednak na tym skorzystać. Mimo że co najmniej 40 proc. części udziałowej portfela zarządzanego w ramach Pracowniczych Planów Kapitałowych mają stanowić spółki notowane w indeksie WIG20, zdaniem Świdra mogą one wpłynąć na notowania zwłaszcza mniejszych spółek. Mają niższą kapitalizację, a inwestorzy rzadziej obracają ich akcjami, w związku z czym dopływ środków może być bardziej istotny dla wartości ich udziałów.

GIEŁDA NIE ŚPI

Jednak nie wiadomo, ile ostatecznie osób rzeczywiście zdecyduje się brać udział w PPK (udział jest dobrowolny, choć domyślny – jeśli ktoś nie chce w nich uczestniczyć, to musi z nich zrezygnować). Jakkolwiek jednak będzie, dobra sytuacja na giełdzie będzie zależała od rządowego programu – tak jak wcześniej zależała od losów OFE. Siła bądź słabość giełdy nie zależy bowiem od rynku, ale od sztucznie kreowanych strumieni. Fakt ten nie razi Kuczyńskiego. – Nasza giełda jest stosunkowo młodym mechanizmem. Nie mamy takich kapitałów jak np. w USA, gdzie 60 proc. mieszkańców jest w różny sposób uzależnionych od giełdy: jako indywidualni inwestorzy, przez fundusze inwestycyjne czy fundusze emerytalne – mówi analityk.

Dopóki GPW nie będzie w większym stopniu przyciągać rynkowych inwestorów, dopóty będzie uzależniona właśnie od takich form przyływu kapitału. – Giełda stara się iść z duchem czasu i pozyskiwać nowych klientów. Chce dostarczać infrastruktury pod crowdfunding, wchodzi w technologię blockchain. Jednak dla rozwoju giełdy ważne jest to, by w Polsce istniały przedsiębiorstwa globalnie konkurencyjne, a doprowadzenie do tego jest poza jej zasięgiem – tłumaczy Świder.

Tak naprawdę bowiem w największym stopniu nowych inwestorów przyciągną przede wszystkim lepsze notowania na giełdzie. Nie jest wykluczone, że wzrosty trwające od początku czerwca są ich zapowiedzią. Jeśli do tego dodamy fakt, że rośnie inflacja, która – wbrew zapowiedziom prezesa Narodowego Banku Polskiego Adama Glapińskiego – może zwiastować podwyżkę stóp procentowych, oznacza to dobre warunki do rozwoju GPW. Choć szkoda, że w dużej mierze sztucznie wykreowane.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest zastępcą dyrektora thinkinie'u
Nowa Konfederacja.



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Emerytura+

Zawsze i wszystko można zrobić lepiej i szybciej, zawsze i w każdej sprawie można zrobić więcej dobrego. Często jednak nie robi się nic albo psuje to, co już zostało zrobione – tak jak w przypadku naszego systemu emerytalnego.

Stworzony 20 lat temu – daleki od doskonałości, lecz dający nadzieję na uchronienie się przed grożącą nam katastrofą – nowy, w założeniu powszechny system emerytalny, od tamtej pory aż do niedawna był przez polityków głównie demontowany. System oparty na trzech filarach – ZUS, otwartych funduszach emerytalnych (OFE) i ubezpieczeniu dobrowolnym – w tym Pracowniczych Planach Emerytalnych (PPE), a z czasem także Indywidualnych Kontach Zabezpieczenia Emerytalnego (IKZE) oraz Indywidualnych Kontach Emerytalnych (IKE).

Wspomnę ledwie trzy akty tego demontażu: w 2003 r. rząd Millera wyłączył z tego systemu pracowników służb mundurowych, a w 2005 r. rząd Belki – górników (przez co system przestał być powszechny), w 2013 r. zaś rząd Tuska rozpoczął likwidację OFE – zagrabił połowę (150 mld zł) oszczędności zgromadzonych tam na starość przez przyszłych emerytów.

W tym kontekście – dwóch dekad dewastowania systemu emerytalnego – stworzenie przez rządy Szydło i Morawieckiego systemu PPK – Pracowniczych Planów Kapitałowych – z założenia znów niemal powszechnego, jawi się zgoła odmiennie. Zwłaszcza w kontekście złożenia

obietnicy przelania przyszłym emerytom na ich prywatne konta w IKE pieniędzy, które pozostały im na rachunkach w OFE po grabieży dokonanej przez rząd Tuska. Choć oczywiście „zawsze i wszystko można zrobić lepiej i szybciej”.

Obecny, wielofilarowy system emerytalny, oparty na ZUS, PPK i takich instytucjach jak PPE, IKZE i IKE – w części zbudowane dzięki środkom przelanim z OFE, a w części dzięki wpłatom dokonywanym na wcześniej ustalonych zasadach – daje pewne szanse w walce z wiszącą nad nami groźbą zapaści finansów publicznych wskutek kryzysu emerytalnego. Wszelako sprawy nie załatwia, bo przewidywana wysokość stopy zastąpienia (stosunku wysokości emerytury do wysokości ostatniej pensji) w 2050 r. sytuuje Polskę – według raportu OECD – na ostatnim miejscu w Europie i przedostatnim na świecie (przed Meksykiem). A to oznacza, że przyjęte rozwiązania są dalece niewystarczające.

Tym bardziej że nawet w tej beczulce miodu nie brakuje lychy dziegciu – to w końcu rząd Szydło anulował jedną z nielicznych dobrych reform, którą przeforsował rząd Tuska – podniesienie wieku emerytalnego. I bez jego powtórnego podniesienia, a także bez wzmocnienia obecnych instytucji emerytalnych i obniżenia, a najlepiej zniesienia podatku od zysków kapitałowych, czyli podatku Belki, trudno spokojnie myśleć o losie przyszłych polskich emerytów. A więc i całej Polski. ©



KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Polski naród wymiera

Według prognoz demograficznych ONZ w 2100 r. liczba ludzi na Ziemi przekroczy 11 mld w wariantie najbardziej prawdopodobnym. Oczywiście, jak będzie, nie wiadomo. Jednakże jeżeli dzietność będzie malała wolno i do końca stulecia pozostanie na poziomie powyżej dwojga dzieci na kobietę, to liczba ludzi może przekroczyć 15 mld.

Na tym tle prognozy demograficzne dla Polski powinny przerażać, nasza sytuacja demograficzna powinna zaś być omawiana regularnie w mediach. Według najbardziej prawdopodobnej prognozy liczba Polaków pod koniec tego stulecia spadnie poniżej 24 mln (z obecnych 38 mln). Skala tej katastrofy może być jeszcze większa, bo w przypadku bardzo niskiej dzietności pod koniec stulecia może nas być tylko 15 mln. Obecnie mamy ok. 6 mln dzieci w wieku 0–14 lat. W 2100 r. w wariantie pesymistycznym ta liczba spadnie do 1 mln.

Po wprowadzeniu programu „500+” liczba urodzeń wzrosła w 2017 r. o 20 tys. do poziomu 401 tys., a następnie spadła w 2018 r. o 13 tys. – do poziomu 388 tys. Oczywiście na liczbę urodzeń wpływa wiele czynników, takich jak stabilność finansowa rodziny, sytuacja na rynku pracy, infrastruktura opieki nad dzieckiem, czynniki kulturowe. W badaniach ankietowych czynniki finansowe lokują się na pierwszym miejscu barier dla wyższej dzietności, zatem program „500+” nie tylko radykalnie poprawił sytuację finansową

polskich rodzin i zredukował poziom ubóstwa, szczególnie w rodzinach wielodzietnych, lecz także przyczynił się prawdopodobnie do poprawy dzietności.

No dobrze, ktoś zapyta, dlaczego tej poprawy nie widać w danych, przecież liczba urodzeń spadła o 13 tys. w 2018 r. Dlatego że aby dojść do poprawnych wniosków, trzeba te dane porównać ze scenariuszem, w którym nie ma programu „500+”. Nawet jeżeli wierzymy w teorię multiwersów i istnieje gdzieś świat równoległy, w którym nie wprowadzono w Polsce programu „500+”, to niestety nie mamy do niego dostępu ani nie możemy sprawdzić, ile w tamtym świecie urodziło się polskich dzieci. Alternatywnie można zbudować bardzo dokładny model polskiego społeczeństwa i przeprowadzić odpowiednią symulację, publikowane do tej pory badania nie opierają się na takich modelach, a czasami są politycznie zaangażowane.

W formie felietonu mogę jedynie napisać, że program „500+” poprawił dzietność w Polsce w porównaniu ze scenariuszem braku takiego programu. Trzeba oczywiście zadać sobie pytanie, czy środki przeznaczone na politykę prorodzinną „500+” można wydać lepiej, tak aby spełnić jednocześnie dwa kluczowe warunki: poprawić dzietność i popularność partii rządzącej. I nad dylematem tym powinni zasiąść stratedzy partii rządzącej. ©

Autor pełni funkcję chief ideator w Synerise i profesora data science w Akademii Vistula.

PRENUMERATA 2019

TYGODNIK LIŚCICKIEGO

**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA



**TYGODNIK „DO RZECZY”
I MIESIĘCZNIK
„HISTORIA DO RZECZY”**

WERSJE PAPIEROWE TYGODNIKA
I MIESIĘCZNIKA ORAZ DOSTĘP
DO E-WYDAŃ W APLIKACJI



**W PREZENCIE
KSIĄŻKA:**

KRZYSZTOF HALADYN
„OSTATNIE
NAMASZCZENIE”

~~720~~ zł



279,00 zł



**OSZCZĘDNOŚĆ
447 zł**

ZOBACZ NASZE OFERTY: **PRENUMERATA.DORZECZY.PL**

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl

W stronę Burgundii

Malownicze Chambolle-Musigny w Burgundii. Stąd Faiveley ma jedno ze swoich wielkich win – Musigny Grand Cru FOT. ARCHIWUM AUTORA



Tomasz Kaźmierowski

W ciągu najbliższych dziewięciu letnich tygodni będę dzielił się z Państwem moimi wrażeniami z rozmaitych, dalszych i bliższych miejsc w Europie i jej otulinie, w których wino nie jest produktem na półce, ale częścią kultury

Burgundia brzmi wdzięcznie w uszach wielu amatorów wina. Jest z nią jednak zasadniczy kłopot, może podobny do tego z Trójkątem Bermudzkim: niemal każdy o nim słyszał, ale prawie nikt nie wie, o co w nim chodzi.

NAJLEPSZE APELACJE

Burgundia wytwarza bardzo mało wina. Jeden kalifornijski producent, gigant Gallo, rzuca na rynek rocznie ok. 5 mln hl wina, podczas gdy całej Burgundii, włącznie z regionami satelickimi, w dobrych latach udaje się przekroczyć 1,3 mln hl. To tylko 4 proc. produkcji francuskiej (czterokrotnie mniej niż Bordeaux) i w najlepszym razie pół procent produkcji światowej.

Burgundów wytwarza się mało, są bardzo poszukiwane na całym świecie, zatem ceny są wysokie. Co gorsza, wina burgundzkie należą do tych trudnych w odbiorze. Zazwyczaj początkujący amator kończy przygodę na pierwszej butelce. Od burgundów zdecydowanie bowiem nie należy zaczynać. Od tego są wina Nowego Świata (złośliwie nazywane dżemami; mowa o czerwonych) lub, przy niewielkim stara-

niu, powiedzmy Rodan czy Pariat, a potem Piemont i Bordeaux. Czerwone burgundzkie bowiem nie imponują ani kolorem (jasne, na wpół przezroczyste), ani ciałem (wybitnie mało tam materii), ani poziomem alkoholu. Posiadają śladowe ilości słodyczy, za to zupełnie wysoką kwasowość.

Jedna sprawa jest tu raczej klarowna: podstawowe burgundzkie szczepy to, dla win czerwonych, Pinot Noir i Gamay, a dla białych – Chardonnay i Aligoté, choć nad poziomy wznoszą się wyłącznie Pinot i Chardonnay. Konsumenci z ledwością też przyswajają piramidę jakości, w uproszczeniu pnącą się od najprostszych Bourgognes przez Villages (np. Faiveley-Mercurey), premier crus (np. Lafarge-Volnay-Premier Cru) do grands crus (np. Leflaive-Bâtard-Montrachet-Grand Cru). Dla ogromnej większości nawet ogólne zorientowanie w geografii apelacji jest najzwyczajniej stratą cennego czasu.

Zeszłej jesieni odwiedziłem kolejny już raz Burgundię. Wspomnienie łowów rozpocznę od wieloryba z Nuits-Saint-Georges. Tym mianem często określa się producentów na setkach hektarów, często

też negocjantów (zazwyczaj skupujących grona producentów-hurtowników). W Burgundii do jakościowej wielorybiej czołówki należy bez wątpienia nobliwa firma Faiveley. Nazwisko jest trochę krzywdząco kojarzone bardziej z pojazdami szynowymi, które wytwarza inna gałąź rodzinnego biznesu. Wino butelkują bowiem co najmniej równie długo, bo od trzeciej dekady XIX w. Ich otwarta na winnice nowa, zachwycająca architekturą siedziba i przepiękne, przepastne piwnice wprost zwalają z nóg. W kwestii ich win stanąłem przed zasadniczym wyzwaniem. Kilka starszych butelek Faiveley ze średniej półki, które pamiętałem, nijak nie lico wało ze smakami i z aromatami, którymi atakowały szczerze serwowane płyny z beczek. Płyną, bo raczej nie wina jeszcze. Spróbowałem większości ich czołowych czerwonych win.

Wyjątkowo szczerza przedstawicielka firmy pozwałała mi wybierać w grands crus i premiers crus, których Faiveley ma razem... ze 40! Płyn jest jednak wyłącznie w nowych beczkach ze znanego z wysokiej garbnikowości francuskiego dębu,

przeznaczonych do dojrzewania najlepszych win. Dojrzewające w takich beczkach czołowe burgundy stają się ledwie pijalne po czterech–ośmiu latach, a osiągają dojrzałość i pełnię charakteru po 12, 15 i więcej. Gdy już znajdą się w butelce, wina Faiveley zazwyczaj zawierają w granicach 60 proc. płynów z nowej beczki, co sprawia znaczną różnicę.

W Gevrey Chambertin (tak, to ta ulubiona apelacja cesarza) od połowy ubiegłego wieku powstają wina rodziny Heresztyn rodem spod Kalisza. Degustację poprowadziła po francusku Florence Heresztyn-Mazzini, jednak z trudem, gdyż jej polska mama co rusz wpadała jej w słowo z pytaniami i uwagami po polsku. Florence twardo tymczasem podkreśliła, że od 2012 r., od kiedy wraz z mężem przejęła stery, wiele się tu zmieniło. Domaine Heresztyn-Mazzini to dziś 5,5 ha rozproszone w Gevrey Chambertin, Morey Saint-Denis i Chambolle-Musigny. Florence, obok bardziej skoncentrowanego stylu – który zasadniczo mniej cenię (rynek amerykański zaś zupełnie odwrotnie) – od 2016 r. przestawiła uprawę na biodynamiczną.

Mocno stojąca na ziemi enolożka zdaje się przeorientowywać domenę na rynki amerykański i japoński. Dawała to do zrozumienia, komentując wspomnienia matki. „To już nie ten rynek” – rzuciła, a ja zastanawiałem się, jak bardzo otoczenie fiskalno-gospodarcze Francji musiało się zmienić, że nawet winiarze tacy jak Heresztyn narzekają, choć przecież ceny ich burgundów (tak jak większości innych co bardziej znanych etykiet) w ciągu ostatniej dekady poszybowały o dobre 100 proc.

OD CZASÓW ŚREDNIOWIECZA

Za absolutną czołówkę wśród winiarzy burgundzkich, w winach czerwonych, od dawna uważam Frédérica Lafarge’a. Lafarge nie tak znów często przez czołowe winiarskie periodyki jest do niej zaliczany, lecz postanowiłem się tym nie przejmować, tym bardziej że tych paru znawców burgundów, których przywiozłem do niego z Polski, po nieśpiesznej, pełnej historycznych odwołań i enologicznych szczegółów degustacji w wąskim gronie zdaje się przychylić do mojej opinii. Nie ukrywam, że właśnie Lafarge był dla mnie bramą do poznania czołowych burgundów.

Domena wciąż rośnie, kupuje kolejne parcelki, a nawet eksperymentuje ostatnimi czasy z Beaujolais! Wytwarza od lat zaskakująco dobre białe Aligoté i wyśmienite

Meursault (roczniki 2013 i 2015 bezwzględnie to potwierdzają), ale przyjechałem do niego dla czerwonych win z Volnay.

Z żalem wychodziłem od Frédérica Lafarge’a. Wcale nie dlatego, że Volnay było skąpane w zimnym kapuśniaku, a podane na koniec Clos du Chateau des Ducs, słynny premier cru z Volnay z 2013 r., nie przebiło – wbrew moim oczekiwaniom – Les Caillerets. Cóż, trzeba na nie dłużej poczekać. Mając jednak na uwadze sposób pojmowania czasu w sennym Volnay, relatywnie krótko.

Jak nieśpiesznie gawędził Frédéric Lafarge, według zachowanych źródeł pisanych rodzina uprawia w okolicy wino od średniowiecza, najpewniej od końca XIII w., a wcześniej winnice zakładali tu cystersi, u których potomkowie Lafarge’a terminowali. Ich macierzyste Côteaux, siostrzane La Ferté i świetnie zachowany klasztor w Fontenay są przecież nieopodal. Może u podstaw jakości burgunda leży właśnie mnisia cierpliwość.

Od 1717 r. uprawiano wino w położonym w Puligny-Montrachet Domaine Leflaive. Po epidemii filoksery zapaść trwała długo, jednak pod koniec XIX w. rodzina wyprowadziła winnicę na prostą. Trudno dziś uwierzyć, że te dwie emblematyczne dla burgundzkiej jakości nazwy – tak miejscowości, jak i domeny – to pieśń zaledwie ostatnich stu lat. Wcześniej, przez co najmniej dwa wieki, grona zebrane w Puligny-Montrachet sprzedawano negocjantom z Beaune i Meursault. Dopiero gdy efektywność materiałów izolacyjnych i nadejście technologii klimatyzacji pozwoliły na winifikację nie tylko w posiadających odpowiednie warunki skalnych piwnicach, lecz także w budynkach naziemnych, przyszyły dla nich dni chwały i finansowej prosperity.

W połowie lat 80. ubiegłego wieku Vincent i Joseph Leflaive wprowadzają swoje Montrachet na podium białych win, od razu światowe. Dziś gros znawców uważa butelki Leflaive za najlepsze białe wytrawne wina świata. Dla mnie, podkreślę, ledwie zdeterminowanego amatora, to najwspanialsze chardonnay, które piłem.

Na wschodnich podejściach do zalesionego Combe des Laveaux znajdują się doskonale zachowane wczesnogotyckie piwnice, zbudowane przez mnichów w XII w. Rodzina Dugat używa ich od blisko 400 lat.

Domaine Dugat-Py produkuje swoje aptekarskie ilości wina bez szeroko stosowanych procesów szpitalizacji i filtracji. Żadnych – z dozwolonych przez prawo

blisko 70 – „suplementów” oczywiście do wina nie dodaje. Produkują od ponad dekad w pełni organicznie. Są raczej dyskretni, a w kwestii winifikacji bardzo tajemniczy. Loïc Dugat-Py wół się jak piskorz, byleby nie skomentować obecności uczciwych rozmiarów amfory w kącie piwnicy.

WINO W CENIE SAMOCHODU

Dugat-Py uprawiają winorośl na maleńkich parcelkach; bywa, że z jednej są w stanie otrzymać ledwie jedną beczkę wina, co przestaje dziwić, gdy przypominmy sobie ich rygorystycznie niską wydajność na poziomie 16 hl z 1 ha. Dla porównania podam, że w kalifornijskim Napa Valley wynosi ona ok. 40 hl z 1 ha, a w niedalekim od niego Fresno jeszcze dwa razy więcej.

Miałem możliwość, a raczej zaszczyt, spróbowania win Dugat-Py z rocznika 2017, oczywiście z beczek. W pamiętającej benedyktynów, wykutej w skale piwnicy Loïc nieśpiesznie prowadził degustację, za każdym razem mieszając wino z danej etykiety z różnych beczek, przy tym solidnie je napowietrzając. Od początku z trudnością znajdowałem punkty odniesienia, zgubiłem skalę. Nie spróbowałem – i najpewniej nie spróbuję – win drugiego obok Dugat-Py pretendenta do burgundzkiej – i światowej – korony, Domaine Romanée-Conti, do którego dostać się nie sposób, a butelki dla zwykłych śmiertelników są nieosiągalne. Nie licząc rzadkich aukcji, wina te są praktycznie nie do kupienia. Jakby tego było mało – cena jednej butelki jest równa wartości porządnego samochodu.

Największą grupę konsumentów burgundów – również tych czołowych – stanowią Francuzi. Teraz już tylko ci najbogatsi. Stawiałbym na to, że w przeciwieństwie do kolekcjonerskich (a bywa, że i niższych) motywacji dużej części zamorskich kupujących wciąż spora część francuskich klientów rujnuje się na drogie burgundy po to, by je samemu wypić w odpowiednim momencie i we właściwej kompanii.

We Francji jednak pamięta się – i stosuje w praktyce – maksymę marszałka Richelieu (nie chodzi o słynnego kardynała, wręcz przeciwnie, marszałek był pierwowzorem hrabiego de Valmont z „Niebezpiecznych związków”), który zademonstrował logikę nie do pobicia: „Jeśli Bóg chciałby zabronić picia, czy uczyniłby wino tak dobrym?!”. © © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest założycielem Fundacji Identitas, która od 2014 r. przyznaje Nagrody Identitas w dziedzinach literatury i historii. Ostatnio wydał „Podróże z kwasem, garbnikiem i słodyczą” (wyd. Zys i S-ka, 2016), „Winnik. Krople z podróży” i „To było teraz” (wyd. Noart, 2017 i 2019). Pije wino od późnego Messnera.



FOT. MANDEL NGAN/AP/EAST NEWS



Joanna Bojańczyk

Nawet szczerza wola dokopania polskiej parze prezydenckiej musi spełznąć na niczym, gdy chodzi o wygląd

Wizyta pary prezydenckiej w Stanach Zjednoczonych była głównie wydarzeniem natury politycznej, przy którym oczywiście niektórzy nie odmówili sobie przyjemności przyczepienia się do tego lub owego. Trudno jednak byłoby się przyczepić do wyglądu prezydenckiej pary. Garnitury Andrzeja Dudy były bez zarzutu (zwłaszcza w porównaniu z workowatymi spodniami prezydenta

Trumpa), a sylwetka jego żony może spowodować u wielu pań decyzję przejścia na natychmiastową dietę.

Przyznam, że z kilku amerykańskich odsłon ubraniowych pani Dudy jej czarno-biała suknia z ostrymi ukośnymi cięciami wzbudziła mój najmniejszy entuzjazm. Opartowskie kontrasty podkreślały wysmukłość i talię, ale efekt był zbyt jaskrawy – a nie o to chodzi w tego rodzaju ubraniu i przy takiej okazji. Natomiast świetnie wyglądała czarna suknia z ukośnym dekoltem – do tej minimalistycznej i podkreślającej kształty kreacji trzeba mieć figurę pani prezydentowej. Nie gorzej wypadła dwurzędowa różowa marynarka z Zary z czarnymi guzikami, za 399 zł, jak od razu doszukały się portale plotkarskie. Bardzo dobrze, że pani Duda zakłada rzeczy z sieciówki. Właściwie dlaczego miałyby ich nie nosić?

Coś takiego na wysokim szczable przechodzi od niedawna. Panie prezydentowe i premierowe są zbyt ważne, żeby pozwolono im ubierać się według swego gustu i u swoich krawcowych, a co dopiero w sieciówkach. Władzę nad ich wyglądem przejęli specje od wizerunku, wizażyści, fryzjerzy, kosmetyczki. Każdy szczegół ma znaczenie i jest interpretowany politycznie na wszystkich możliwych poziomach. Wszystko odbija się głośnym echem w mediach. Kolor, krój, cena, nawet łupież na marynarce i oczko w rajstopach.

SIECIÓWKI NA SALONACH

Agata Duda także znajduje się pod skrupulatnym okiem, a raczej oceną opinii publicznej, czyli głównie portali. Pierwsza dama, jak wiadomo, nie jest specjalnie rozmowna, a już na temat własnych ubrań nie wydobyła z siebie ani jednego komentarza. Ostatnio portal naTemat.pl przeprowadził

wywiad z projektantką Dorotą Goldpoint, która ubiera panią prezydentową. Gdy spojrzysz na inne dokonania tej projektantki, trzeba docenić, że pani Duda nie dała sobie narzucić fantazyjnego stylu „bohème”. W ogóle ciekawe, że zdecydowała się na tę właśnie projektantkę, która do czołówek nie należy, a zapewne otrzymała świetną reklamę dzięki współpracy z panią Dudą. Na szczęście pani prezydentowa narzuciła własny styl, zdyscyplinowany, z upodobaniem do czystego kroju i wyrazistych kolorów.

Za granicą ubrania, buty i okulary osób politycznych analizują nie tylko brukowce, magazyny kobiece i portale plotkarskie, lecz także poważne gazety. W Stanach opiniotwórczy blog Huffington Post wypomnił kandydatowi na prezydenta USA, Johnowi McCainowi, mokasyny firmy Salvatore Ferragamo za 520 dol. Barackowi Obamie dostało się za to, że pokazuje się w ciemnych okularach, jak jakiś celebryta. Pani Barbara Bush pozostała odporna na krytykę swoich sztucznych pereł, Hillary Clinton nie ugięła się pod ostrzałem i zachowała pastelowe kostiumy, w których rzekomo „wyglądała jak kłown”, nie zrezygnowała z fryzur à la pieczarka. Jackie Kennedy swoje kostiumy zamawiała w Paryżu przez siostrę Lee Radziwiłł, żeby nie irytować Amerykanów. Michelle Obama była pierwszą kobietą zajmującą tę pozycję, która przyznała, że nosi rzeczy z sieciówek, choć w rzeczywistości ubierała ją najlepsi i najdrożsi kreatorzy Ameryki: Thakoon Panichgul, Óscar de la Renta, Ralph Lauren, Vera Wang. Nie bała się wyrazistej biżuterii, ostrych kolorów, pokazała, że kobieta z jej pozycją niekoniecznie musi chodzić na płaskich obcasach. W domu widywano ją w ciuchach Gap, H&M, Target. Publiczność podbiła jednak sweterkami z sieci J.Crew.

W 2008 r. Michelle Obama, wówczas żona demokratycznego kandydata na prezydenta, była gościem w programie znanego dziennikarza Jaya Leno. Właśnie prasa ujawniła, że stroje Sarah Palin na tę kampanię kosztowały 150 tys. dol.

– A pani ile na nie wydała? – dopytywał Leno. Spróbuję zgadnąć: 60 tys., 70?

– Nie zgadł pan – odpowiedziała pani Obama i pokazała jedwabną bluzkę, złotą spódnicę i sweterek marki J.Crew. W sumie za kilkaset dolarów.

Tą odpowiedzią pani Obama zapoczątkowała nową strategię – demokratyczny strój pierwszej damy. Tego wcześniej nie było. Przyznanie się do sieciówek dotych-

czas żadnej z pierwszych dam nie przeszłoby przez gardło. Dobrze uszyte, gładkie kostiumy na dzień, z rzadka suknie. Nic własnego, nic bardziej wyrazistego.

CO KOMU WYPADA

Panie, które wcześniej nieszczególnie interesowały się modą, kiedy obejmują eksponowane stanowisko w polityce, chociażby tylko w roli żon, starają się wypracować własny styl ubierania. Samodzielnie lub z pomocą. Czasem styl trzeba uszkościć, jak musiała to zrobić Carla Bruni, gdy z modelki i piosenkarki stała się żoną prezydenta, czasem dodać mu wyrazistości, tak jak w przypadku premier Szydło; jednak prawie zawsze stanowisko pociąga za sobą zmianę wizerunku na bardziej elegancki. Naszym paniom nie zawsze się to udaje. Ewa Kopacz w swoich kostiumach pozbawionych charakteru i w czarnych rajstopach... Dlaczego nikt jej nie doradził? Premier Suchocka walcząca ze zsuwającym się z ramion szalem... Do historii przeszła już sukienka Aleksandry Miller w napisy „sexy love romance”, którą włożyła na powitanie cesarskiej pary z Japonii.

Bywa, że słabość do ekstrawagancji pozostaje, tylko marki stają się bardziej luksusowe, tak jak jest w przypadku premier Wielkiej Brytanii Theresy May. Emocje wzbudzały jej kolorowe płaszcze od znanych brytyjskich kreatorów, na skórzane spodnie za 995 funtów spadła mocna krytyka. „Nie mam skórzanych spodni, a nigdy nic poza suknią ślubną nie kupiłam sobie za 1000 funtów” – skomentowała zjadliwie posłanka Partii Konserwatywnej Nicky Morgan.

Francuskie media są na ogół lojalne i solidarnie bezkrytyczne, gdy chodzi o toalety pani Brigitte Macron. W końcu w grze jest prestiż kraju, który uważa się za number one mody. Pierwszą damę ubiera jedna z czołowych marek francuskich, Louis Vuitton. Jej szef, niezbyt lubiany przez Francuzów miliarder, pan Arnault, sponsorował prezydenta w kampanii wyborczej. Jego synowie chodzili do liceum Franklina, gdzie uczyła pani Macron. Jeśli stroje pani prezydentowej krytkowano, to głównie za cenę – niektóre kosztowały 15 tys. euro. – To są rzeczy spożywczone. Ja nie wiem, ile kosztują – broniła się Brigitte. Według zasad Pałacu Elizejskiego wszystkie prezenty o wartości powyżej 150 euro muszą być zwrócone.

Na naszej scenie politycznej ani panie pełniące funkcje ministerialne, ani

posłanki nie mają wiele do zaoferowania osobom szukającym wzorów estetycznych. Króluje wszechobecny banal garsonki. W tym gronie trudno na kimś zawiesić oko. Może to i lepiej, bo w końcu rządzenie to nie rewia mody. Szkoda tylko, że taka nuda...

I pewnie dlatego główną atrakcją wizualną w polskich mediach jest Monika Olejnik. Dziennikarka to nie urzędnik państwowy, może sobie pozwolić na wyrazistość. Monika jest superwyrazista.

TVN zaciera ręce, gdy oglądalność rośnie nie tylko dzięki awanturom politycznym na wizji, lecz także zbliżeniom na jej buty. Olejnik jest barwnym ptakiem telewizora. Ma temperament, pasję do mody i sylwetkę, na której wszystko dobrze wygląda. Nie boi się ekstrawagancji, nowości, drogich marek. Pudełek śledzi z zapalem jej wszystkie poczynania, wyliczając, co i za ile ma na sobie, oraz skwapliwie podkreślając wiek – 62 lata. W domyśle – czy osobie w takim wieku wszystko wypada?

Generalnie z takiego obrotu sprawy zadowoleni są wszyscy. Media, publiczność i główna bohaterka.

DYKTATORKI STYLU

Jednak dzisiaj to nie wzory z rządu, telewizora, nawet nie influencerki, modelki i aktorki wywierają największy wpływ na kształt ludowego pojęcia o modzie i smaku w wielkiej skali. Największymi, niekwestionowanymi, globalnymi dyktatorkami mody są dzisiaj członkowie brytyjskiej rodziny królewskiej. Księżna Cambridge Kate i jej szwagierka księżna Sussexu Meghan znajdują się pod lupą od pierwszej minuty publicznego pokazania się. Od dnia zaręczyn przez śluby własne i cudze do uroczystości rodzinnych i publicznych. Każdy szczegół ich ubrania jest rejestrowany, recenzowany przez media i poddawany publicznej ocenie. Każda sukienka na pniu wykupiona, skopioną lepiej lub gorzej, ale w tysiącach egzemplarzy.

Kate i Meghan nie urodziły się jako księżniczki, ale zostały księżniczkami. W domyśle – ty też masz szansę. Są piękne, szczupłe, bogate i światowe. Ubierają się elegancko. Reguły narzucone przez etykietę wykluczają ekstrawagancję i zbyt modne rozwiązania. Otrzymujemy elegancką, poprawną przeciętność. I to się właśnie najbardziej podoba.



Cyfrowa rewolucja w polskiej medycynie

Nowe technologie oraz dostęp do elektronicznego rejestru pacjenta odgrywają istotną rolę w opinii pracowników polskiej służby zdrowia oraz samych pacjentów – wynika z czwartej edycji raportu Future Health Index (FHI), przygotowanego na zlecenie firmy Philips. W tegorocznej edycji pierwszy raz wśród 15 krajów z pięciu kontynentów znalazła się Polska

Raport FHI 2019 pokazuje wyraźnie: cyfrowa rewolucja w polskiej medycynie już się rozpoczęła. Aż 79 proc. wśród ankietowanych Polaków używa cyfrowych technologii oraz mobilnych aplikacji monitorujących stan zdrowia w celu kontrolowania przynajmniej jednego parametru zdrowotnego (m.in. mierzenia tętna, monitorowania aktywności fizycznej czy kontroli diety). Nadal jednak co trzecia osoba (36 proc.) korzystająca z tego typu rozwiązań nigdy nie podzieliła się zebranych danymi z lekarzem. 42 proc. badanych dzieli się tego typu danymi w przypadku konkretnego zagrożenia zdrowia, 17 proc. przekazuje je zawsze lub prawie zawsze podczas wizyty u lekarza, a 6 proc. przesyła swoje wyniki na bieżąco (także między wizytami).

Tymczasem z raportu wynika, że aż 82 proc. Polaków, którzy wskazują, że nie mają dostępu do swoich danych medycznych, chciałaby mieć taki dostęp. (Średnia z 15 badanych krajów to 63 proc.). 69 proc. wśród tych Polaków, którzy mają dostęp do swoich danych medycznych, deklaruje zaś, że chciałoby, aby dostęp do tych danych miał także ich lekarz.

DIGITALIZACJA: KORZYŚCI DLA LEKARZY

Według badania Future Health Index 2019 w Polsce już ponad połowa lekarzy, którzy mają dostęp do historii pacjenta dzięki cyfrowym danym medycznym, wskazuje na ich pozytywny wpływ na jakość swojej pracy (62 proc.), satysfakcję z niej (54 proc.) i zadowolenie z rezultatów samych pacjentów (56 proc.).

Prawie połowa lekarzy w Polsce radzi więc pacjentom, aby za pomocą aplikacji mobilnych mierzyli podstawowe parametry zdrowotne, takie jak ciśnienie, aktywność ruchowa czy dieta.

Przedstawiciele personelu medycznego sami również korzystają z cyfrowej rewolucji. Przynajmniej z jednego rozwiązania w obszarze cyfrowych technologii medycznych lub aplikacji mobilnych korzysta 77 proc. polskich lekarzy (średnia dla 15 państw wynosi 78 proc.).

Równocześnie polscy lekarze dostrzegają coraz więcej korzyści płynących z wykorzystania sztucznej inteligencji (AI). Aż 70 proc. z ankietowanych czułoby się najbardziej komfortowo, używając AI do monitorowania zdrowia pacjenta (średnia dla 15 krajów to 63 proc.), tylko 14 proc. do poprawy trafności diagnozy (średnia dla 15 krajów to 21 proc.), a 16 proc. do wykrywania nieprawidłowości w stanie zdrowia (średnia wynosi 21 proc.).

Niestety, chociaż 64 proc. lekarzy w dużych (50–199 pracowników) i bardzo dużych (powyżej 200 pracowników)

podmiotach leczniczych dzieli się informacjami medycznymi o stanie zdrowia pacjentów w obrębie własnej placówki, to zaledwie 11 proc. z nich udostępnia takie dane specjalistom spoza ich placówki. W tym przypadku średnia 15 krajów wynosi odpowiednio 80 proc. i 32 proc. Najczęściej wskazywane przez polskich lekarzy powody takiego stanu rzeczy to brak dostępu do systemów przesyłania danych (62 proc.), brak interoperacyjności między systemami (55 proc.), a także obawy o prywatność i bezpieczeństwo danych (53 proc. i 52 proc.).

GLOBALNE TRENDY

Kolejne edycje raportów Future Health Index umożliwiają porównanie poziomu dostosowania służby zdrowia w danym kraju do globalnych trendów poprzez wprowadzanie do użytku innowacyjnych technologii medycznych.

Jak pokazuje raport FHI 2019, Polska znajduje się w gronie krajów, w których zarówno pracownicy służby zdrowia, jak i pacjenci dostrzegają pozytywny wpływ wdrażania rozwiązań cyfrowych na poprawę stanu zdrowia. Cztery edycje raportu Future Health Index pozwoliły wyłonić kraje z potencjałem do prześcignięcia innych we wdrażaniu cyfrowych technologii medycznych. Respondenci w Chinach (81 proc.), Arabii Saudyjskiej (74 proc.) i Indiach (70 proc.) przyznali, że chętniej podejmują działania związane z własnym zdrowiem i kontaktują się z lekarzem, mając dane na temat swoich wyników, które mogą sami monitorować. W tej kategorii średnia dla 15 krajów to 47 proc. (taki wynik zanotowała też Polska). Europejczycy nadal nieufnie podchodzą też do telemedycyny. Choć aż 44 proc. Chińczyków i 38 proc. Saudów wybrałoby zdalną konsultację z lekarzem w sprawie niewymagającej udzielenia pilnej pomocy medycznej, to średnia dla 15 krajów wynosi tylko 27 proc.

Ankiety Future Health Index były realizowane od 4 marca do 19 maja 2019 r. w Australii, Brazylii, Chinach, we Francji, w Niemczech, Indiach, we Włoszech, w Holandii, Rosji, Arabii Saudyjskiej, Singapurze, Republice Południowej Afryki, Polsce, Wielkiej Brytanii i USA. Całkowita próba badania obejmuje 3194 pracowników służby zdrowia oraz 15 114 osób, które reprezentują dorosłą populację ogólną.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

KOMENTARZE EKSPERTÓW:



REINIER SCHLATTMANN, prezes Philips w krajach Europy Środkowo-Wschodniej

Digitalizacja jest kluczem do sukcesu transformacji służby zdrowia i odpowiedzi na wyzwania, które przed nią stoją. Dlatego otwartość, pacjentów i lekarzy, na nowoczesne technologie, widoczna w wynikach raportu Future Health Index 2019 to ważny i pozytywny sygnał dla cyfryzacji tego sektora w Polsce. Sprawna, kompleksowa wymiana informacji między wszystkimi uczestnikami tego systemu będzie miała nie tylko wpływ na poprawę efektywności terapeutycznej, jak i kosztowej, ale pozwoli też pacjentom świadomie zarządzać swoim zdrowiem. W ujęciu długofalowym zaś, przyczyni się do wzrostu jakości usług w polskiej służbie zdrowia. Digitalizacja obszaru opieki medycznej jest także jednym z podstawowych wymogów dla wdrożenia modelu Value-Based Care. To obecnie szeroko dyskutowana koncepcja w wielu krajach Europy. Jestem pewien, że Polska i inne kraje regionu, będą czerpać korzyści z cyfrowej transformacji i poczynią znaczący postęp w tym obszarze, dzięki swojej otwartości na zmiany.



DR N. MED. ŁUKASZ KOŁTOWSKI, kardiolog z Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego i członek zarządu Europejskiego Towarzystwa Kardiologicznego, ekspert ds. nowych technologii i zdrowia cyfrowego

Jesteśmy świadkami historycznej transformacji opieki medycznej, która dokonuje się wskutek cyfryzacji medycyny. To przełom podobny do wynalezienia druku przez Johanna Gutenberga w XV w. Analizując wyniki opracowania, uwagę zwraca wysoka gotowość polskich profesjonalistów medycznych do korzystania z technologii cyfrowych w praktyce klinicznej. Prawie dwie trzecie z nich już dziś deklaruje monitorowanie przynajmniej jednego parametru zdrowotnego za pomocą cyfrowych urządzeń medycznych, w czym dorównujemy średniej badanych krajów. O 7 proc. przewyższamy średni wynik 15 krajów pod względem oceny korzyści płynących z zastosowania sztucznej inteligencji do monitorowania zdrowia pacjentów. Oczywiście, jest też nadal dużo do zrobienia, bo zaledwie 11 proc. profesjonalistów medycznych współdzieli dane pacjentów z kolegami z innych placówek. Nie ma jednak wątpliwości, że wyniki tegorocznego raportu napawają optymizmem. Polska jest krajem otwartym na technologie cyfrowe w medycynie, chcą ich zarówno lekarze, jak i pacjenci. To duża szansa na poprawę jakości i bezpieczeństwa opieki medycznej w naszym kraju. Warto, byśmy ją wykorzystali.



BEATA AMBROZIEWICZ, prezes Polskiej Unii Organizacji Pacjentów „Obywatele dla Zdrowia”

Bez wątpienia nowoczesna, skuteczna i spersonalizowana opieka zdrowotna opiera się na cyfryzacji, digitalizacji oraz analizie danych. Dostęp do informacji zarówno dla pacjenta, jak i lekarza pozwala budować relacje oparte na zaufaniu i partnerstwie, jednocześnie usprawnia proces stawiania poprawnej diagnozy, planowanie leczenia i monitoring stanu zdrowia. Niestety nadal duża część pacjentów chodzi do lekarza z teczkami pełnymi dokumentów, w których trudno się zorientować nawet samym lekarzom. Mając na uwadze proces starzenia się społeczeństwa, wielochorobowość czy swobodny wybór miejsca leczenia, zintegrowany dostęp do danych medycznych to konieczność. Dlatego wszyscy powinniśmy wspierać działania zmierzające do tworzenia takich interaktywnych narzędzi.

Odpowiada pan za nadzór merytoryczny nad przygotowaniem raportów Future Health Index. Jakie są kluczowe wnioski z tegorocznego badania?

Wyniki utwierdzają nas w przekonaniu, że nowoczesne, cyfrowe metody ochrony zdrowia pozytywnie wpływają na współpracę i relację pacjenta z lekarzem oraz na jakość usług medycznych.

Są trzy główne wnioski z najnowszego raportu. Pierwszy dotyczy doświadczeń pracowników ochrony zdrowia z cyfrowymi technologiami i ze sztuczną inteligencją. W poprzednich latach widzieliśmy, że lekarze obawiają się AI. Obecnie dużo lepiej podchodzą do jej wykorzystania, choć nadal czują się bardziej komfortowo, używając AI do poprawy efektywności pracy niż w bezpośredniej opiece nad pacjentem. Coraz chętniej lekarze używają też różnego rodzaju cyfrowych narzędzi.

Drugi ważny wniosek: digitalizacja dodała siły pacjentom. Większość z nich chce mieć dostęp do swojej dokumentacji medycznej. Wielu dzieli się zbraniami przez siebie danymi ze swoimi lekarzami i jest dzięki temu bardziej zadowolonych z jakości opieki. Trzeci wniosek: uczymy się od rynków wschodzących. Państwom takim jak Chiny, Indie, Rosja czy Arabia Saudyjska łatwiej jest od razu przejść na cyfrowe technologie niż uprzemysłowionym krajom zachodnim, które mają za sobą długą historię tradycyjnej opieki zdrowotnej.

Jaki wpływ ma dziś na medycynę sztuczna inteligencja?

AI ma coraz większy wpływ, chociaż lekarze wciąż uczą się ją wykorzystywać. Na razie sztuczna inteligencja pomaga więc im w lepszym wykonywaniu obowiązków. W Philips stosujemy AI np. w urządzeniach wspomagających badania z zakresu patologii cyfrowej. Dzięki temu sztuczna inteligencja może pomóc patologowi w szybkim rozpoznaniu nieprawidłowości

Rozmowa z Janem Kimpenem,
globalnym dyrektorem ds. medycznych w firmie Philips

Nie ma alternatywy dla digitalizacji

FOF PHILIPS

w biopsji. Podobnie AI działa w innych naszych produktach, ułatwiając lekarzom przeglądanie zdjęć czy odczytywanie wyników badań.

Sztuczna inteligencja może też pomóc pacjentom w tym, aby sami lepiej o siebie dbali. Dobrym przykładem jest bezdech senny. W Polsce ten problem dotyczy około 2 mln osób. Często stosowanym sposobem leczenia jest terapia CPAP z użyciem specjalnej maski. Kłopot w tym, że pacjenci zamiast je zakładać, wolą, aby leżały na stoliku nocnym. Bezprzewodowo łączymy się więc z ich smartfonami i wykorzystujemy sztuczną inteligencję do analizy jakości snu. Pacjenci mogą sprawdzić swoje wyniki zaraz po przebudzeniu. To motywuje ich do założenia maski następnej nocy i kolejnej. Dzięki AI odsetek pacjentów przestrzegających zaleceń rośnie więc o 20–25 proc.

Czy AI może pomóc lekarzom w zapobieganiu chorobom?

Jesteśmy o krok od tego, by było to możliwe. Już teraz możemy jednak wykorzystywać sztuczną inteligencję, aby pomóc ludziom podjąć niezbędne środki ostrożności, jeśli należą do grupy ryzyka. Na przykład osobom otyłym, które mają kłopot z wysokim ciśnieniem krwi, a do tego cierpią na cukrzycę

i mają problemy z bezsennością, sztuczna inteligencja w aplikacjach na smartfonie może pomóc w zmianie stylu życia, w zrzuconiu nadmiaru kilogramów i rozpoczęciu zdrowszego życia. Smartfon uzbrojony w AI można też połączyć ze szczoteczką do zębów, aby lepiej dbać o higienę jamy ustnej. W naszych rozwiązaniach używamy też AI np. do monitorowania jakości powietrza w domu, a to tylko niektóre przykłady.

Według raportu Philips Future Health Index coraz bardziej popularna w krajach takich jak Chiny jest telemedycyna. Czy może odgrywać ona również ważną rolę w takich państwach jak Polska czy Wielka Brytania?

Oczywiście. Telemedycyna ułatwia konsultacje lekarskie nie tylko, gdy pacjent jest daleko od szpitala. Pomaga również, gdy ma on trudność w odwiedzeniu placówki z powodów zdrowotnych czy np. wieku. Telemedycyna sprawdza się także u kobiet w ciąży, którym lekarz, analizując objawy, może odpowiednio wcześniej doradzić udanie się do szpitala.

Z raportu wynika, że wielu lekarzy obawia się o bezpieczeństwo danych pacjentów.

To poważny problem. W jego rozwiązanie powinny zaangażować się zarówno rządy – uchwalając odpowiednie przepisy

dotyczące tego, jak powinny być zabezpieczane informacje od pacjentów – jak i firmy działające w obszarze medycyny i technologii medycznych, które muszą dbać o to, aby technologie były bezpieczne. Trzeba znaleźć rozwiązanie, które ochroni dane pacjentów, ale jednocześnie pozwoli na dzielenie się nimi przez różnych specjalistów z różnych placówek. W firmie Philips dbamy o to, aby nasze narzędzia do współdzielenia informacji spełniały najwyższe standardy bezpieczeństwa i prywatności. I takiego podejścia należy oczekiwać od całej branży.

To już czwarta edycja Future Health Index. Jakie trendy są widoczne?

Pierwszy trend to digitalizacja. W opiece zdrowotnej stosuje się coraz więcej i więcej cyfrowych rozwiązań. Po drugie, obserwujemy proces przechodzenia przez szpitale z systemu płatności za usługi na opiekę opartą na wartościach (VBC). Digitalizacja jest zaś jednym ze sposobów na obniżenie kosztów opieki, przy zachowaniu jej wysokiej jakości. Po trzecie widzimy, że pacjenci chcą mieć większą kontrolę nad swoim zdrowiem, a dzięki cyfrowym narzędziom mogą to robić lepiej niż kiedykolwiek wcześniej.

W najnowszej edycji raportu pierwszy raz uwzględniono Polskę. Dlaczego?

Chcemy badać najważniejsze rynki ochrony zdrowia na świecie, które stawiają na rozwój nowych technologii. Polska niewątpliwie jest jednym z nich.

Jak będzie wyglądać opieka zdrowotna za 10 lat?

Trudno przewidzieć szczegółowe rozwiązania. Jestem jednak pewien, że pożegnamy się z tradycyjnym spojrzeniem na opiekę zdrowotną. Mniej istotną rolę niż dziś będą odgrywały szpitale. Wzrośnie za to znaczenie opieki domowej. Pacjenci w dużo większym stopniu będą mogli dbać o własne zdrowie, a także lepiej kontrolować to, co się z nimi dzieje, kiedy zachorują.

NASZ TEST: YUNEEC MANTIS Q

Dobry czas pracy na baterii, łatwa do transportu konstrukcja, solidna budowa i dająca sporo radości prędkość maksymalna w trybie sport – to największe zalety „podróżnego” drona chińskiej firmy Yuneec.

„Modliszka” – tak po przetłumaczeniu brzmi nazwa tego modelu – to maszyna o wadze 480 g i składanych ramionach, dzięki czemu bez trudu można ją zabrać na wycieczkę w góry, plażowanie nad Bałtykiem czy kajakowy spływ. Bezzałogowiec jest bajecznie prosty w obsłudze. Drążki są krótkie, ale wygodne w sterowaniu. Dron szybko reaguje też na wszelkie polecenia, zwłaszcza te wydawane za pomocą kontrolera (sterowanie poprzez aplikację jest o wiele mniej precyzyjne). Niestety, nawet przy niewielkim wietrze nie jest tak stabilny jak konkurencyjne modele.

Do nawigacji i stabilizacji wykorzystywane są m.in.: barometr, magnetometr, GPS, czujnik IPS oraz ultradźwiękowy czujnik odległości, dzięki któremu nieco bezpieczniejsze staje się lądowanie, a także latanie w pomieszczeniach. Do obsługi służy aplikacja Yuneec Pilot (na iOS i Androida) – smartfona łączymy z kontrolerem kablem USB.

„Modliszka” zapisuje zdjęcia o maksymalnej rozdzielczości 4800 x 2700 (16:9) lub 4160 x 3120 (4:3) w formacie JPEG lub DNG. Zintegrowana kamera może być pochylona w czasie

lotu o 90 stopni w dół lub 200 stopni w górę. Jakość lotniczych fotografii jest bardzo dobra, co w połączeniu z funkcją Instant Sharing – ułatwiającą wrzucanie zdjęć na media społecznościowe – z pewnością pomoże w zrobieniu wrażenia na znajomych.

Świetny jest również czas pracy na baterii. W teorii dron w trybie Angle może latać nawet przez 33 min. W praktyce po 20–25 min lotu stan baterii spada poniżej 20 proc. i uruchamia się procedura awaryjnego powrotu do domu.

Deklarowana prędkość maksymalna wynosi 72 km/godz. w trybie Sport oraz 21 km/godz. w trybie Angle. Podczas testu prędkości te były nieco niższe, ale zbliżone do podanych przez Chińczyków. Jeśli chodzi o zasięg, to udało mi się odlecieć ok. 500 m od miejsca startu.

Dobrze działają także takie funkcje jak Journey (dron oddala się na ustaloną odległość, po czym sam do nas wraca), Point of Interest (dron krąży nad wybranym obiektem) czy Follow Me (dron podąża za oznaczonym na ekranie obiektem).

Bez zarzutu działa też procedura automatycznego powrotu do domu – wystarczy przytrzymać przycisk RTH i „modliszka” sama grzecznie wraca na miejsce startu. I to wraca ustawiona tyłem do operatora, co osobom początkującym ułatwi zapewne manewrowanie,

gdyby chciały przejąć kontrolę w końcowej fazie lotu. Jedną z potencjalnych zalet Mantis Q jest też możliwość sterowania głosem, ale jest to raczej niepotrzebny bajer.

Minusy? Największy to jakość nagrań wideo. Wprawdzie filmy mogą być zapisywane w rozdzielczości 4K, ale brak stabilizacji sprawia, że oglądanie „surowych” nagrań jest tak frustrujące, że niemal bolesne. Aby z „modliszki” wycisnąć fajne filmy, trzeba więc zejść z rozdzielczością do 1080 p (mamy wówczas chociaż cyfrową stabilizację) i poświęcić sporo czasu na postprodukcję. Oczywiście przy w miarę bezwietrznej pogodzie doświadczony operator da radę zminimalizować drgania, ale i tak nie uzyskamy takiego efektu jak w dronach ze stabilizacją mechaniczną. Poza tym „modliszka” brakuje sensorów przeszkód (przez co trzeba dużo bardziej uważać). Nie ma też zaślepek na umieszczone w dronie gniazdo USB-C oraz slot karty SD, więc do środka mogą docierać wilgoć oraz kurz.

Podsumowując, Yuneec Mantis Q to w swojej klasie cenowej całkiem przyzwoity dron dla osób, które rozpoczynają przygodę z bezzałogowcami. Profesjonalistom nie polecam. Cena: 1699 zł. ©

Jacek Przybylski



MAŁE MOŻE BYĆ PIĘKNE

Laptop o rozmiarach nieco większego smartfona, ale z niezłą wydajnością? Taki właśnie ma być Chuwi Hi8 SE, czyli tablet z systemem Windows i ekranem o przekątnej 8 cali, który w okamgnieniu może stać się funkcjonalnym laptopem lub stacją roboczą. A to wszystko dzięki zintegrowanej klawiaturze YOGA z możliwością obracania o 360 st. W środku – procesor Intel Core m3-8100Y, 8 GB pamięci LPDDR3 RAM i 128 GB pamięci masowej. Będzie można popracować, pograć (karta graficzna Intel HD

615/600), pooglądać filmy i uruchomić większość programów.

Do tego oczywiście gniazdo karty SSD M.2 (dzięki czemu użytkownicy tego minibooka mogą rozszerzyć jego pamięć masową) i wbudowana kamera wideo.

Cena, którą trzeba zapłacić za ten gadżet, to ok. 1850 zł. Zamawiać można na Indiegogo, a dostawa w sierpniu tego roku.



STABILNY KIJEK

Selfie sticki i stabilizatory do smartfonów umożliwiające robienie zdjęć z pewnej odległości już co prawda wychodzą z mody, zastępowane coraz lepszymi i niedrogimi dronami do zdjęć selfie, ale producenci jeszcze walczą na rynku. I tak wchodzi na niego IMMO, czyli, jak twierdzą twórcy, najlepszy obecnie, najbardziej ponoć stabilny „kijek” do robienia zdjęć, pozwalający na przechwytywanie fotografii, a dzięki połączeniu Bluetooth również na obsługę całego przy użyciu jednego przycisku. Nihil novi, ale dla porządku odnotowujemy. Plusem IMMO jest niewątpliwie to, że można go złożyć do naprawdę kompaktowych rozmiarów i schować do kieszeni. Wreszcie „silnik rolkowy” stabilizatora, który rzeczywiście szybko wyrównuje smartfon podczas robienia zdjęć w ruchu czy przy realizacji transmisji „strumieniowej”.

IMMO kosztuje ok. 120 zł i zamawiać go można na Kickstarterze. Dostawa we wrześniu. ©

Wojciech Wybranowski



Dominika Sacharuk ostatnio pokazała klasę w marcu, kiedy na mistrzostwach Polski do lat 20 w podnoszeniu ciężarów zdobyła złoty medal. Ma 19 lat, waży 55 kg, a jej życiowe rekordy to w rwaniu 70 kg, a w podrzucie 90 kg. Jest rekordzistką Polski w swojej kategorii wagowej w podrzucie i w dwuboju.

Był to już piąty złoty medal w mistrzostwach Polski w karierze Dominiki, a drugi, od kiedy choruje na cukrzycę typu 1.

DWIE ZGRZEWKI WODY DZIENNIE

Do podnoszenia ciężarów namówił ją ojciec, który kiedyś uprawiał ten sport, i wujek, który trenuje zawodników w klubie sportowym AZS AWF Biała Podlaska. – Wielu osobom wydaje się, że to męski sport i żeby go trenować, trzeba samemu dużo ważyć. Na świecie bardzo wiele kobiet go uprawia, nawet szczuplejszych ode mnie. Ja startuję w kategorii do 55 kg, a są jeszcze kategorie do 48 i do 53 kg – opowiada Dominika.

Problemy zaczęły się półtora roku temu. Wypijała dziennie dwie zgrzewki wody, często biegła do łazienki. Jadła, a mimo to w ciągu miesiąca schudła z 55 do 49 kg. Była ciągle zmęczona. – Miesiąc wcześniej miałam wykonywane wszystkie badania, także poziom cukru, i nic nie wskazywało na problemy – dodaje. Trafiła do szpitala, gdzie szybko postawiono diagnozę – cukrzyca typu 1. To choroba autoimmunologiczna. Atakuje z nieznaną przyczyną: organizm niszczy komórki beta trzustki produkujące insulinę. Najczęściej na „jedynek” zapadają dzieci i osoby młode. Niezbędne jest podawanie insuliny w zastrzykach lub przez tzw. pompę insulinową.

MISTRZYNI

Dominika nigdy wcześniej na nie chorowała, nie była w szpitalu, nikt w rodzinie nie miał żadnych przewlekłych chorób. Diagnoza była szokiem. Sport uczy jednak samodyscypliny, dlatego 17-latką szybko nauczyła się mierzyć sobie poziom cukru, przeliczać to, co zjada, na wymieniki węglowodanowe i obliczać, ile insuliny musi sobie podać. – Lekarze w szpitalu początkowo nie wiedzieli, czy będę mogła dalej uprawiać podnoszenie ciężarów, ale po rozmowie z moimi trenerami stwierdzili, że tak. Wychodzi mi to na dobre: poziom cukru mam w normie, badania są bardzo dobre – mówi Dominika.

Podnoszenie ciężarów wymaga nie tylko siły, lecz także szybkości, refleksu i do-



FOT. ARCHIWUM DOMINIKI SACHARUK

Siłaczka



Katarzyna Pinkosz

Szczupła, filigranowa dziewczyna – mogłaby marzyć o pokazach mody. Zamiast tego wybrała sport, który wymaga siły. Pomaga jej to żyć z chorobą tak, jakby jej nie było

skonałej sprawności fizycznej, by nie zrobić sobie krzywdy, podnosząc ciężar większy niż własne ciało. Dominika trenuje sześć razy w tygodniu. Uciążliwości? Sprawdzanie poziomu cukru we krwi, nawet 10 razy na dobę. Musi uważać, by za bardzo nie spadł i nie pojawiła się hipoglikemia, co grozi omdleniem, utratą przytomności. Insulinę podaje sobie przez pompę – co godzina automatycznie dostaje tzw. dawkę bazową, a przed posiłkiem musi zaprogramować dodatkowe podanie insuliny szybko działającej. – Cukrzyca nie ogranicza mnie, robię wszystko to, co wcześniej, bardziej tylko się kontroluję – opowiada. W tym roku zdała maturę, chce studiować fizjoterapię i nadal trenować podnoszenie ciężarów.

Ma trochę żalu, że nie udało jej się w tym roku pojechać na mistrzostwa świata. – Na takie zawody musiałabym pojechać z trenerami, którzy mnie znają. Nie było na to jednak pieniędzy ani w moim klubie, ani w Polskim Związku Podnoszenia Ciężarów. Otoczenie musi być nauczone pomagania zawodnikom z cukrzycą, obawiałabym się pojechać z trenerami, którzy nie wiedzą nic o tej chorobie. Musi być ktoś, kto patrzy z boku, bo czasem nie jestem w stanie zauważyć pierwszych symptomów, że coś złego zaczyna się dzieć – przekonuje.

Marzy, że w październiku będzie mogła jechać na mistrzostwa Europy. Nie chce, by cukrzyca w czymś w życiu jej przeszkodziła.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Z prof. Tomaszem Klupą, kierownikiem Pracowni
Zaawansowanych Technologii Diabetologicznych Katedry Chorób
Metabolicznych UJ

rozmawia Katarzyna Pinkosz

Bez ograniczeń

KATARZYNA PINKOSZ: Osoby z cukrzycą typu 1 powinny uprawiać sport? To bezpieczne?

TOMASZ KLUPA: Każdy nastolatek, dwudziestokilkulatek powinien uprawiać sport: to okres, kiedy powinniśmy być bardzo aktywni fizycznie. Dotyczy to osób zdrowych, ale też osób z cukrzycą typu 1. Im jest trudniej, ponieważ uprawianie sportu może utrudniać utrzymanie glikemii na takim poziomie, na którym gwarantuje on skuteczne zapobieganie przewlekłym powikłaniom cukrzycy. Trudniej jednak utrzymać glikemię w normie, jeśli aktywności fizycznej nie ma. Dlatego zachęcamy młode osoby z cukrzycą typu 1 do uprawiania sportu.

Są sporty zalecane i zakazane?

Nie ma rodzaju sportu bezwzględnie zakazanego. Nie zachęcamy do uprawiania takich dyscyplin, w których niedocukrzenie mogłoby narazić pacjenta na niebezpieczeństwo, czyli np. do sportów ekstremalnych. Jeśli chodzi o sporty siłowe, takie jak podnoszenie ciężarów, to tego rodzaju wysiłek fizyczny powoduje raczej niewielki wzrost niż spadek glikemii. Najbardziej polecamy sporty zespołowe: wysiłek ma charakter interwałowy, to znaczy są okresy przyspieszenia i zwolnienia, a to powoduje, że glikemia jest bardziej stabilna niż wówczas, kiedy mamy czysty wysiłek tlenowy, jakim jest np. bieganie, jazda na rowerze. Chociaż z tym też można sobie poradzić.

Czyli: siatkówka, koszykówka, piłka ręczna, piłka nożna?

Tak, choć piłka nożna jest sportem bardziej urazowym. Na urazy są narażeni zawodnicy zarówno z cukrzycą, jak i bez cukrzycy, tyle że dla osoby z cukrzycą uraz oznacza nieco więcej problemów z opanowaniem glikemii, bo nagle następuje spadek aktywności fizycznej, czego efektem może być wzrost poziomu cukru.

Kiedyś uważano, że osoby z cukrzycą typu 1 raczej nie powinny uprawiać sportu wyczynowego. Michał Jeliński był jednym z wyjątków. Dzisiaj wydaje się, że coraz więcej osób z cukrzycą typu 1 zdobywa góry, jeździ na rowerze, uprawia sport.

To prawda. Kiedyś przeprowadziłem takie nieoficjalne podsumowanie, okazało się, że moi pacjenci z cukrzycą typu 1 są bardziej aktywni fizycznie niż ich rówieśnicy – studenci medycyny. Często gdy pierwszy raz spotykamy się z pacjentem, pytamy, jaki sport uprawia. Nie pytamy, czy uprawia sport, tylko jaki. Jeśli żadnego, to staram się zachęcać, mówię, że to optymalny moment w życiu, by wyrobić sobie nawyk aktywności fizycznej. Później, w wieku 30–40 lat, znacznie łatwiej będzie ją podtrzymać, niż rozpocząć. Łatwiej utrzymać prawidłową masę ciała, będąc aktywnym fizycznie. Wiele osób korzysta z tych rad, a dodatkową zachętą jest dla nich to, że mogą więcej zjeść, a zaburzenia glikemii po posiłku są łatwiejsze do opanowania.

Jakie sporty uprawiają pana pacjenci?

Większość biega: wielu półmaraton, maratony, ultramaratony. Mamy dwóch piłkarzy, hokeistę, siatkarza, jedna osoba uprawia szermierkę, inna podnoszenie ciężarów, kilkoro – sporty walki. Jest też wicemistrz Polski w psich zaprzęgach.

Na pewno są też osoby, które chcą poprobować swoich sił w sportach ekstremalnych?

Mam pacjenta, który wszedł na siedmiotysięcznik, ukończył Bieg Rzeźnika (to podwójny maraton w górach). Weszłym roku ukończył wyścig rowerowy Bałtyk-Bieszczady – w ciągu trzech dni trzeba przejechać 1080 km, czyli praktycznie nie ma czasu na sen ani jedzenie. Udało mu się.

Jednak trzeba dobrze kontrolować cukrzycę?

Tak, wysiłek fizyczny na takim poziomie mogą podejmować tylko pacjenci, którzy na co dzień są świadomi choroby i ją dobrze kontrolują. Gdy organizowałem wyprawę w góry Iranu dla chorych na cukrzycę, warunkiem uczestnictwa był dobry wynik hemoglobiny glikowanej.

W 2016 r. poprowadził pan wyprawę na najwyższy szczyt Iranu – Demavend: ponad 5,6 tys. m n.p.m. To było przełamanie stereotypu.

Nigdy wcześniej tak duża grupa chorych na cukrzycę nie zdobyła tak wysokiego szczytu. Chcieliśmy sprawdzić na dużej grupie pacjentów, jaki wpływ na glikemię będzie miało niedotlenienie związane z krótką aklimatyzacją i jak to się przełoży na leczenie cukrzycy. Chcieliśmy też udowodnić, że grupa przeciętnie aktywnych osób z cukrzycą typu 1 jest w stanie po niewielkim przygotowaniu wejść na niemal sześciotysięcznik. Oba cele zostały zrealizowane. Zdjęcia z wejścia na szczyt były pokazywane podczas otwarcia największego europejskiego zjazdu diabetologicznego. Opublikowaliśmy dwie prace naukowe z tej wyprawy, trzecia jest w trakcie.

Łatwiej podjąć wysiłek osobie, która już wcześniej była aktywna. Często to jednak dopiero choroba powoduje zmianę stylu życia?

Tak było w przypadku pacjenta, o którym wspominałem, że uprawia sporty ekstremalne. Chciał udowodnić sobie i innym, że cukrzyca nie musi ograniczać.

Pewnie nic nie motywuje pacjenta jak lekarz, który też jest aktywny fizycznie. A pan jaki sport uprawia?

Uprawiałem piłkę ręczną i różnego rodzaju sztuki walki: karate, kick-boxing. Dziś na co dzień jeżdżę intensywnie na rowerze, dojeżdżam na nim do pracy. A w weekendy jeżdżę na rowerze po górach.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Prof. dr hab. Tomasz Klupa
– kierownik Pracowni
Zaawansowanych Technologii
Diabetologicznych Katedry
Chorób Metabolicznych
Uniwersytetu Jagiellońskiego.



JACEK KOMUDA

RYCERZE I WARCHOŁY

Eastern we Lwowie

Hucznie i wesoło bawił się na halickim przedmieściu we Lwowie Samuel Niemirycz, z możnej ruskiej rodziny szlacheckiej spod Kijowa. Palił do mieszczan z półhaków, siał postrach, wywoływał bójki i zwady. Na koniec zaś zgwałcił niewiastę roznoszącą placki. Nic więc dziwnego, że burmistrz Bartłomiej Uberowicz postanowił pokazać, że królewskie wolne miasto nie da się terroryzować byle szlachetce i jego kompanii skończonych hultajów. Wysłał, jak podaje Władysław Łoziński, „cepaków miejskich”, którzy pojмали Niemirycza, stłukli kogo mogli z jego towarzystwa,

nnych pachółków” i pożyczwszy zbrojny poczet od swego szwagra Jerzego Lasoty, zasadził się pod miastem na któregoś z możliwiejszych łyczków lwowskich. Traf chciał, że 23 lipca 1619 r. w Skniówku (obecnie prawdopodobnie Skniów) pod miastem przebywał sam burmistrz Uberowicz. Dowiedziawszy się o tym, Niemirycz podjechał do niego w nocy, zastukał do drzwi dworu, podając się za Swoszowskiego, pisarza ziemskiego lwowskiego, bardzo wówczas znanego. A kiedy burmistrz otworzył, kazał go schwytać, związać nogi pod brzuchem końskim, co jest wielce bolesne, a potem uwiózł go do swych majątności.

Stary Uberowicz ledwie to wytrzymał, jak sam pisze – omdlewał i prosił już, aby go raczej ściąć, niż narażać na dalsze tortury. W tym czasie jednak porwanie wyszło na jaw i już dzień później jeden z rajców – Jan Julian Lorencowicz – poprosił o pomoc... kawalerię, czyli towarzyszy z chorągwi księcia Zasławskiego. Niemirycz uchodził przez Żurów, Gliniany, Gołogóry, Inopole, Zasław, jednak pod Wołkowicami dopadnięto go i uwolniono jeńca. Władysław Łoziński pisze, że czyn upamiętniono statuą lwa, która znajdowała się przed starym ratuszem, a pod koniec wieku przeniesiono ją pod kopiec Unii Lubelskiej, nie dałbym jednak głowy, że jest to jeden z dwóch lwów, które i dziś stoją koło Wysokiego Zamku.

Chociaż uwolniony, Uberowicz był w szoku, bał się wrócić do miasta, dopiero hetman Stanisław Żółkiewski zapewnił mu bezpieczeństwo po powrocie i przydzielił straż. Natychmiast też rozpętała się burza prawna, bo Lwów nie dał się terroryzować tak jak pod koniec XVI stulecia angielska Northumbria banicie i łupieżcy Kinmontowi Williemu Armstron-

gowi. Na Niemirycza posypały się pozwiny, a w trakcie dalszego procesu na szlachcica nałożono banicję.

W końcu interweniował wspomniany wyżej Lasota, który szukał po całej Rzeczypospolitej mediatorów, którzy umożliwiliby krewnemu pojednanie z miastem. Wysyłając liczne pisma, jak zwykle składał wybryki szwagra na karb jego młodości. „Poświadcza za młodymi i Kochanowski – pisał – jakoby ludzie rok bez wiosny chcieć mieli, żeby młodzi nie szaleli. I Paweł św. powiada o sobie, że gdy był młody, młodość miał przed oczyma”. Pisz, wręcz śmiesznie, że młody Samuel „z żalem pojmał był mieszczanina lwowskiego”, że urodziwszy się „znacznym szlachcicem, zmaży żadnej na sobie mieć nie chce i one prawem spychać gotów”. Niemirycz błagał i prosił, widać owe sponiewierane przezeń lwowskie łyczki dobrze mu dojadły. Poprzez Lasotę poruszał niebo i ziemię, aby ktoś umożliwił mu pojednanie z mieszczanami lwowskimi. Nie wiadomo dziś, jaki był finał tej historii; dość wspomnieć, że Samuel Niemirycz dalej już w „Prawem i lewem” nie figuruje.

Sprawa Niemirycza pokazuje, że na początku XVII w. miasta w Rzeczypospolitej wciąż miały znaczną siłę i bogactwo, by przeciwstawić się nawet możnym szlachcicom i magnatom. I tylko Jurij Andruchowycz napisał po latach w „Literaturze na Świecie” wspomnienie o tej awanturze, wybielając Niemirycza i zarzucając Łozińskiemu tendencyjność. Zdawać by się mogło, że tym samym szuka nowego bohatera do ukraińskiego panteonu.

Odważny to i dzielny, trzeba przyznać, bohater, który gwałcił kobiety roznoszące placki i strzelał do mieszczan. ©



FOT. WIKIPEDIA

a samego osadzili w więzieniu w ratuszu. Potem czekał szlachcica sąd mieszany, który jako schwytanego na gorącym uczynku skazał go na śmierć. Oczywiście znaleźli się zaraz tacy miejscowi panowie bracia, którzy wstawili się za awanturnikiem i uchronili go przed karą gardła. Niemirycz dostał wyrok odsiedzenia wieży na Wysokim Zamku i zapłacenia kary pieniężnej. Dalej wszystko było prawie jak w prawdziwym easternie, przepraszam – westernie; przychodzą mi bowiem na myśl zaraz „15.10 do Yumy” albo „Tombstone”.

Wypuszczony z loszku Niemirycz poprzysiągł bowiem zemstę miastu Lwów. Natychmiast zebrał, jak podaje Łoziński, „kilkunastu jak on sam rezolut-

SŁODKA PRZEKĄSKA NIE TYLKO DLA DZIECI OD ELŻBIETY RAFALSKIEJ

Kiedy niespodziewanie odwiedzają mnie moje wnuki, często przygotowuję słodkie kluseczki, którymi nie tylko zajądają się zresztą dzieci, lecz także nie pogardzą moi dorośli synowie, jeśli tylko coś zostanie. W komunie wymyślało się różne proste rzeczy, niektóre przetrwały i zachowały swoje walory do dziś. Takie właśnie są te kluseczki. Przygotowuje się je w kilka minut. Danie idealne na wakacje, gdy chcemy miło wykorzystać wolne chwile i nie chcemy stać długo przy garnkach.

Składniki:

- waniliowy serek homogenizowany
- jajko
- mąka
- masło
- bułka tarta
- cukier
- wanilia

Przygotowanie:

Kluseczki można zrobić ze zmielonego drobno białego sera, ale najlepiej użyć waniliowego serka homogenizowanego. Przekładamy serek do niedużego naczynia i wbijamy do niego jajko (na jeden serek o wadze ok. 200 g jedno jajko). Dosładzamy i koniecznie dodajemy wanilię. Ubijamy widelcem, aby wszystkie składniki połączyły się ze sobą, i dodajemy mąki. Ciasto powinno być gęściejsze od tego na

lane kluski, żeby dało się nabrać łyżeczką i się na niej trzymało, ale nie za gęste. Dodajemy więc mąki z wyczuciem. Na małym ogniu gotujemy wodę. Małą łyżeczkę zamaczamy w tej wodzie, nabieramy na nią ciasto i „wpuszczamy” je do wody.

Kluski wypłyną bardzo szybko, wystarczy je gotować przez ok. minutę. Najlepiej sprawdzić jedną, czy nie jest surowa w środku. Odciedzamy je delikatnie lub zbieramy łyżką cedzakową. Kluseczki podajemy polane podgrzanym na patelni masłem (ale takim prawdziwym) z przesmażoną bułką tartą. Jeśli chcemy, można jeszcze lekko dosłodzić. ☺☺

oprac. raw

Elżbieta Rafalska, europosełka PiS, wcześniej minister rodziny, pracy i polityki społecznej.



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Na obiad chipsy, na deser żelki

Leśne jezioro, parę kilometrów od niewielkiego miasteczka na Pojezierzu Brodnickim. Zaczyna plaża, na którą przyjeżdżają lokalsi – niektórzy rowerami, niektórzy samochodami. W ten upał piechotą iść niemiło. Wokół las, woda cudowna, czysta, piaszczyste wejście, 10 m od brzegu nie głębiej niż 150 cm. Jednym słowem warunki idealne dla dzieci. No i oczywiście przychodzą licznie rodziny z dziećmi.

Dzieci szaleją w wodzie. Na mniej więcej dziesięcioro maluchów, które dziś się tam kąpały, naliczyłam sześcioro z widoczną nadwagą. Jeszcze nie otyłych, ale gdy na oko ośmioletnia dziewczynka ma sadło wylewające się z kostiumu, chłopcy w podobnym wieku – brzuch i uda, które się o siebie ocierają, to jak to nazwać?

Co mamusi przyniosły dzieciom do picia i jeżdżenia? Zgadli państwo: napój „truskawkowy” i chipsy. Truskawkowy oczywiście obok truskawek nie leżał, choć sezon jeszcze trwa. Dzieci chipsy wchłonęły w 10 minut, w nagrodę dostały żelki. Widać, że rodziny dbają o dzieci. Mają ładne kostiumy, sprzęt do pływania, są smarowane kremem, żeby się nie popaliły. Mamy opalają się na leżakach (choć i tak już są opalone), paląc papierosy. Tylko my świecimy warszawską bledzizną (zwłaszcza ja, bo nigdy się nie opalam, choć całe życie o tym marzę).

Nasze dzieci, czyli wnuki w wieku lat sześciu, siedmiu i ośmiu, są jedyne, które piją wodę z bidonów i jedzą kanapkę z razowego chleba z sałatą i żółtym serem. Oczywiście na chipsy spoglądają z zazdrością, też by chciały, ale już mają wdrukowane w głowę, że chipsy to ciche zabójca.

Jak podaje Światowa Organizacja Zdrowia, problem otyłości i nadwagi dotyczy

już 10 proc. dzieci

i młodzieży na świecie. Szacuje się, że do 2025 r. będzie 177 mln 5-17-latków z nadwagą oraz 91 mln z otyłością.

Główne powody

znamy: słodkie napoje, fast foody, mało warzyw, brak ruchu, komputery, komórki.

Badania dowodzą, że większość młodych ludzi nie wyrasta z problemu otyłości, a czterech na pięciu otyłych nastolatków będzie miało problemy z wagą w wieku dorosłym. Dziewczynki znad jeziora na razie są małe, ale za chwilę będą nastolatkami i zaczną się odchudzać. Nie ma wtedy miejsca na normalne zainteresowania tego wieku. Wpada się w obsesję jedzeniową, nią żyją gimnazja i licea. Nie jest łatwo wyglądać jak księżna Meghan, gdy startuje się z ponad dziesięcioma kilogramami nadwagi, a wokół kusi żarcie. Zaczynają się anoreksje, bulimie.

Czy mamusi na leżakach z torbami pełnymi chipsów mogłyby chwilę o tym pomyśleć? ☺☺



FOT. ADOBE STOCK



URUS DLA SZYBKICH

Bestseller Lamborghini już w podstawowej wersji jest ciekawym SUV-em. Egzemplarz przerobiony przez niemiecką firmę tuningową ABT robi jeszcze lepsze wrażenie. Auto w stalowym kolorze wraz z ozdobnymi listwami w kolorze ciemnego chromu powinno spodobać się eleganckim klientom. Pod maską zabawki dla bogatych

chłopców zamontowano czterolitrowy silnik V8 z podwójnym doładowaniem, którego moc została przez Niemców podkreślona ze standardowych 640 KM do 710 KM. Maksymalny moment obrotowy po tuningu wynosi z kolei aż 910 Nm.

Dzięki takim parametrom włoski SUV z niemiecką mocą może rozpędzać się od

zera do pierwszej setki w ciągu zaledwie 3,4 s. Prędkość maksymalna tego cacka wynosi zaś 310 km/godz.

Miłośników podrasowanych włoskich SUV-ów, którzy chcą mieć superszybkie auto prosto z fabryki, ucieszy plotka, że Lamborghini już ponoć pracuje nad przygotowaniem do produkcji nowej serii Urus Performante.



NOWY KONCEPT BMW

Vision M Next Concept to stworzona przez konstruktorów z BMW 600-konna hybryda opracowana jako samochód koncepcyjny. W aucie, które od zera do pierwszej setki rozpędza się w zaledwie 3 s, zastosowano nowoczesne światła z włókna szklanego. Zupełnie nowe jest także ekstrawaganckie malowanie auta o rewolucyjnej nazwie „Thrilling Orange”. Jak podaje portal Autonews, koncepcyjny samochód z Bawarii zwraca uwagę nie tylko wyglądem. Podnoszone do góry drzwi potrzebują



kierowcy – otwierają się po rozpoznaniu twarzy właściciela. We wnętrzu zamiast kierownicy zamontowano zaś urządzenie przypominające ster wyciągnięty ze statku kosmicznego. Wszystkie potrzebne do jazdy informacje ukazują się na wyświetlaczu przeziernym, który wykorzystuje rozszerzoną rzeczywistość.

Dla tych, którzy zdążyli już zapragnąć takiego auta, mamy dobrą wiadomość: chociaż to samochód koncepcyjny, to menedżerowie niemieckiego koncernu rozważają skierowanie go do sprzedaży. Warunek jest prosty: wystarczająco dużo kupujących.

TESLA 3 W POLSCE

To prawdziwa gratka dla polskich miłośników samochodów elektrycznych. Oferująca auta na abonament firma Qarson od końca czerwca wprowadziła do oferty w Polsce najnowszą Teslę Model 3 w dwóch wersjach: Standard Range Plus (o zasięgu wynoszącym ok. 400 km na jednym ładowaniu i maksymalnej prędkości wynoszącej 225 km/godz.) oraz Long Range AWD (z zasięgiem przekraczającym 500 km i maksymalną prędkością 233 km/godz.). ©© **Jacek Przybylski**





zaprasza
Katarzyna Gójska



Niedziela 9:06

JEDYNA debata polityków najważniejszych opcji parlamentarnych,
współtworzona przez widzów i słuchaczy

NA ŻYWO z Polskiego Radia 24, na antenie **TV Republika**

Nagraj pytanie, zostaw komentarz - 24h na dobę, 7 dni w tygodniu

ZADZWOŃ 22 645 24 00

GRZEGORZ
KUCHARCZYK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

To może konferencja?

Na początku czerwca ukazał się list otwarty podpisany przez reprezentantów świata nauki przeciw „dyskredytowaniu Gdańska” przez obecną władzę i sprzyjające jej media. Autorzy listu inkryminują stronę rządową i jej medialnemu otoczeniu używanie „niemieckiego straszaka” w krytyce byłego i obecnego włodarza miasta. Tak jakby był to wymysł na użytek propagandowego ataku na miasto.

Nie sposób jednak nie zauważyć, że przynajmniej od 2015 r. – jeśli nie wcześniej – władze Gdańska niebezpiecznie igrają z przeszłością, promując własną, swoiście pojętą politykę historyczną. Obejmuje ona nie tylko zachowywanie niemieckich napisów na budynkach publicznych czy wystawianie warty honorowej ubranej w pruskie mundury, lecz także ciągłe nawiązywanie do nazwy „Wolne Miasto Gdańsk”. Gdybyż tylko chodziło o akcentowanie przymiotnika umieszczonego w nazwie jako ukrytej polemiki z „opresywną” Warszawą, gdzie zagnieździł się od jesieni 2015 r. „PiS-owski rząd” (co z tego, że z woli wyborców). Zważywszy jednak na to, że towarzyszą temu inne, wspomniane

wyżej przedsięwzięcia, należy domniemywać, że nie tylko o ten bieżący kontekst polityczny tutaj chodzi.

Krótko mówiąc, akcentuje się to, co ma separować Gdańsk od Polski, a nie to, co łączy i przez wieki łączyło to miasto z polską Koroną, a potem Rzeczpospolitą. Dlaczego władze Gdańska nie uczciły w 2014 r. 560. rocznicy poddania się miasta pod rządy króla Kazimierza Jagiellończyka czy w 2016 r. 650-lecia zawarcia drugiego pokoju toruńskiego, który przypieczętował powrót z własnej woli Gdańska do Polski? Czy dlatego, że przypomnienie tych wydarzeń kłóciłoby się z forsowaną tezą, że „my w Gdańsku trochę jesteśmy odizolowani”, i falsyfikowało opinię, że „polskość to nienormalność”, przypominając, że polskość dla Gdańska oznaczała wolność. I tak było przez wieki.

Niedawno ukazało się wznowienie wspomnień gdańszczanki Johanny Schopenhauer, matki znanego filozofa Arthura Schopenhauera. Opisuje ona, z jakim przerażeniem niemieckie mieszczaństwo przyjmowało w okresie pierwszego rozbioru Polski perspektywę dostania się pod rządy pruskiego „króla-filozofa” Fryderyka II. Ostatecznie miasto dostało się pod rządy Hohenzollernów w 1793 r., jednak w wyniku rozerwania jedności gospodarczej dorzecza Wisły na skutek rozbiorów utraciło swoje gospodarcze zaplecze. Wraz z destrukcją państwa polskiego skończyła się nie tylko wolność, lecz także ekonomiczna pomyślność miasta nad Motławą. W XIX w. zyskiwał Szczecin mający jednolite (dorzecze Odry) zaplecze. Gdańsk bez Polski popadł w stagnację.

Ponieważ wśród sygnatariuszy listu jest wielu wybitnych histo-

ryków, którzy oskarżają stronę rządową o promowanie „jednej wizji historii” przy okazji nadzoru właścicielskiego nad Westerplatte (a jaka miałaby być inna wizja historii, która rozpoczęła się rano 1 września 1939 r.), może warto, by zorganizować pod patronatem IPN lub innej instytucji naukowej na początku przyszłego roku konferencję naukową o tych i innych aspektach związanych z przynależnością (lub jej brakiem) Gdańska do Polski. Okazja będzie bardzo dobra, bo na początku przyszłego roku przypadnie sto lat od objęcia przez polską administrację władzy na przyznanym Polsce na mocy traktatu wersalskiego Pomorzu Nadwiślańskim (niestety bez Gdańska) oraz stulecie zaślubin odrodzonej Polski z Bałtykiem (słynny gest gen. Józefa Hallera). Będzie można naukowo odnieść się na przykład do fenomenu wzrostu sympatii dla NSDAP wśród niemieckiej ludności Gdańska na początku lat 30. i zastanowić się, na ile można w tym przypadku mówić o wpływie „idei 1919 r.”, czyli powszechnego odrzucenia przez Niemców (także tych mieszkających w Gdańsku) traktatu wersalskiego, który sankcjonował powrót Polski jako niepodległego państwa na mapy Europy i jej powrót nad Bałtyk. Będzie można powrócić do słów Romana Dmowskiego, który jako polski delegat na paryską konferencję pokojową w gorzkich słowach komentował brytyjską dywersję owocującą powstaniem sto lat temu tworu pt. Wolne Miasto Gdańsk. Decyzję tę porównywał do „zadania nam rany w najżywniejszym punkcie budowanego przez nas ustroju państwowego”. Czy miał rację? Zrobmy konferencję. Zbadajmy sprawę i publikujmy wyniki niekoniecznie w formie listów otwartych. ©

Globalna wioska
tętni życiem



RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

OKIEM JASTRZĘBIA

Manuela, Polacy,
Paryż i metro

Lubię artystów, gdy pitolą. Oczywiście nie wszyscy i nie zawsze pitolą (muszą przecież trochę spać), ale pitolą na tyle często, że można ich za to lubić. Albo można ich za to nie lubić.

Polska to kraj wolny z mottem „Lubta, co chceta”, więc jest wybór. Jest też Manuela Gretkowska, artystka barwna oraz od lat świadomie prowokująca. Kiedyś próbowała sił w polityce i do dziś nikt nie wie, jak to się skończyło, czy się skończyło, czy się zaczęło, czy w ogóle trwało, czy była w polityce, nikt się nie chce podjąć wyjaśnień. Może i dobrze.

Zostawmy złośliwości i zajmijmy się Manuellą Gretkowską (w tabloidzie dodaliby natychmiast w nawiasie „54 lata”, co mogłoby świadczyć o bagażu życiowych doświadczeń, który nie jest jeszcze nadbagażem, ale może być lekką nadwagą, choć Manuela raczej chuda). Więc ktoś mógłby pomyśleć, że Gretkowska, prowokatorka i polityczka antyrządowa, pitoliła, mówiąc niedawno publicznie: „Polacy tak lubią, po swojemu, staropolsko w słomianych łapciach i gaciach, dupczyć po bożemu i dawać tej d... każdemu, kto ją posmaruje, 500 plus albo obietnicą zbawienia”. Otóż śmiem postawić obrazoburczą tezę (dostosowując się do Manuely), że nie jest to zwykłe pitolenie, a być może ekspercka wiedza płynąca z doświadczenia.

Swego czasu Gretkowska popełniła bowiem rodzaj biograficznej powieści „Trans” o fizjologicznym romansie

w Paryżu młodej dziewczyny ze starym reżyserem. Zastosowała dość sprytny trik, żeby wszyscy wiedzieli, że główna bohaterka to prawdziwa ona i jej na ileś tam prawdziwe przeżycia, a bohater to prawdziwy reżyser Andrzej Żuławski. Trik został zastosowany po to, żeby się książka sprzedawała jako skandalizujący pamiętnik, ale żeby nikt do sądu pozwać nie mógł, bo „to przecież fikcja i literatura”.

Sprawiedliwości oddając zadość, należy wspomnieć, że dokładnie taki sam numer wypisał Andrzej Żuławski w swojej książce „Nocnik” pannie Weronice Rosati (tak, tej córce tego Rosatiego), z którą raczył posiadać romans wielowarstwowy. Na książkę „Nocnik” panna Rosati się pogniewała, widząc chyba w głównej bohaterce Esterce siebie, i kazała tę książkę sądowi skonfiskować, co też sąd uczynił. Książkę można kupić dziś wyłącznie na aukcjach po cenach zawyżonych.

Wróćmy jednak do Manuely, która w „Vivie” w rozmowie o swojej książce „Trans” zapytana została: „Naprawdę uprawiałaś seks z nieznanym w metrze?”. Na co Manuela: „W metrze, na rogu ulicy, i brałam za to pieniądze! Daj spokój, tak jest w powieści, ale to nie moja historia. Powieść jest literackim kundlem, mieszańcem fantazji, eseju i realu”. Taaak. Sztuka jest nauczycielką życia i kluczem do interpretacji rzeczywistości. Pani Manuelo, a tak na marginesie, przecież w tym paryskim metrze to straszne przeciagi... ©©

MARCIN
MAKOWSKI

JAK MAKIEM ZASIĄŁ

Teologia i...
rysunki sromów

Marcin Luter, zrażony biernością Kościoła, 31 października 1517 r. przybija słynne 95 tez do drzwi katedry zamkowej w Wittenberdze. Wśród postulatów augustiani na znajdują się m.in.: potępienie sprzedaży odpustów, wezwanie do czynienia autentycznej pokuty i życia zgodnie z Ewangelią. Tak rodzi się ruch sprzeciwu wobec Stolicy Piotrowej, zwany protestantyzmem lub ewangelikalizmem. Niespełna 502 lata później w Dortmundzie odbywa się Niemiecki Zjazd Ewangelików, prezentujący teologiczne i społeczne dziedzictwo Marcina Lutera. Co jest jego najszerzej komentowanym punktem programu? Klimat, uchodzący, prawa mniejszości seksualnych i... „warsztaty z rysowania sromów”.

Jak donosi polskojęzyczna redakcja portalu Deutsche Welle, szczególnie ten ostatni event wzbudził wśród gości poruszenie, sprawiając, że wejściówki na wydarzenie rozeszły się jak świeże bułeczki. „Prowadząca warsztaty Lea Klischat studiuje w Halle teologię ewangelicką. Wrzawa wokół warsztatów rysowania sromów bardzo ją nuży” – relacjonowali dziennikarze, oddając głos zainteresowanej: – Jeżeli w każdej szkole na ścianach toalet nabazgrane są penisy, to dlaczego takim skandalem jest rysowanie kobiecych sromów? – stwierdziła, wyjaśniając, że zajęcia zostały pomyślane jako „uświadczenie i wsparcie dla kobiet”.

– Atmosfera była bardzo luźna i nasycona zaufaniem

– zwierzyła się po zajęciach inna teolożka, Hanna Jacobs. Co działo się za zamkniętymi drzwiami? „Uczestniczki na podstawie rysunków analizowały budowę kobiecych zewnętrznych narządów płciowych, potem każda miała narysować kredkami własną wersję sromu” – uchylił rąbka tajemnicy reporterzy Deutsche Welle. – Zaczęłam odczuwać taką pewność siebie, kiedy rozmawiałam z obcymi kobietami o sromach – rzekła Hanna i dodała, że było to dla niej jak „akt wyzwolenia, kiedy na luzie i otwarcie mówi się o czymś, co powinno być właściwie normalne, ale w społeczeństwie wciąż uważane jest za tabu”.

Niestety, nie każdemu było dane uczestniczyć w tym wydarzeniu. Miejsca zabrakło m.in. dla Natalii i Marleny, które już w 2017 r. na Niemieckim Zjeździe Ewangelików „na ogromnym mobilnym kościele namalowały okazałych rozmiarów srom w stylu sylwetki Madonny”. Na tegoroczny zjazd przyjechały z dwoma kolegami. Jonah i Janko na chodniku przed teatrem w Dortmundzie narysowali kredą duże penisy i sromy. Jak wyjaśnili mediom, „w geście solidarności” z Leą i koleżankami.

Oczywiście całe wydarzenie nie było zdominowane tematyką seksu. Dla spragnionych autentycznej duchowości organizatorzy przewidzieli również „pierwszy chrześcijański sklep erotyczny” oraz forum dyskusyjne pt. „Lepszy orgazm”.

Do wyboru, do koloru. ©©



KATARYNA

OKIEM BLOGERKI

Vega otwiera oczy

ZBIGNIEW ZAMACHOWSKI: *Mam nadzieję, że ten elektorat, który tak twardo i murem stoi za obecną władzą, wreszcie przejrzy na oczy, zobaczy, że nie wszystko, co się mu proponuje, jest tego warte.*

Zbigniew Zamachowski lata aktorskiej świetności ma już dawno za sobą i ostatnio jest bardziej znany z obyczajowych niedyskrecji swojej obecnej żony regularnie toczącej na plotkarskich portalach korespondencyjny pojedynek o alimenty z jego byłą. Zawodowa posucha może usprawiedliwić przyjmowanie ról w takich gniotach, na jaki zapowiada się najnowsze dzieło Patryka Vegi, ale nie powinna całkiem odbierać zdrowego rozsądku. Naprawdę pokazanie, że Macierewicz leci na Misiewiczza, ma pomóc zmienić polską politykę i przegrać PiS wybory? Nie wydaje mi się, ale może ja się nie znam i pokazanie Antoniego Macierewicza jako homoseksualisty wciągającego kokę i sypiającego z Misiewiczem faktycznie będzie game changerem, po którym polska polityka już nigdy nie będzie taka sama.

Gdy Antoni Krauze – reżyser w przeciwieństwie do Vegi wybitny – przymierzał się do zrobienia „Smoleńska”, miał duży problem z namówieniem do gry aktorów,

a ci, których namówił, mieli potem problemy w swoim środowisku. Nie dlatego, że film był zły (a był), bo akurat udział w złych filmach polskiego aktora nie dyskwalifikuje, ale dlatego, że był tak bardzo niepoprawny politycznie. „Nie mogę jako osoba myśląca godzić się na udział w czymś takim” – tak Marian Opania tłumaczył, dlaczego odmówił zagrania Lecha Kaczyńskiego. „Zdałem sobie sprawę, że ta wypowiedź, choć dotyczy filmowej roli, jest tak naprawdę deklaracją polityczną. Wiedziałem, że wywołam burzę. Nie spodziewałem się tylko, że aż taką. Trudno, pewne rzeczy trzeba mówić jasno i odważnie”. U Krauzego w „PiS-owskim” filmie po prostu nie wypadało zagrać.

Dzisiaj Vega nie ma najmniejszego problemu z obsadzeniem filmu „antypisowskiego”, aktorom nie przeszkadza nawet to, że Antoni Macierewicz, który nigdy nie był bohaterem nawet najmniejszego skandalu obyczajowego, został przedstawiony jako naćpany homoseksualista. Jeśli coś mi ten styl w polskim kinie przypomina, to chyba „Urowadzenie Agaty” Piwowskiego – zrobiony na polityczne zamówienie i zbudowany na oszczerstwach film, którego celem miało być zniszczenie mar-

szalka Andrzeja Kerna, co zresztą się w dużej mierze udało. Vegi nie podejrzewam o żadne polityczne intencje, raczej po prostu pozazdrościł Smarzowskiemu sławy i pieniędzy, które mu przyniósł „Kler”, i postanowił zmonetyzować nienawiść do PiS, robiąc coś pomiędzy „Klerem” a „Uchem prezesa”, na miarę własnego talentu. Nie wątpię, że amatorzy się znajdą, o ile do jesieni zostanie z tego filmu jeszcze coś, czego reżyser nie pokazał w Internecie w ramach jego promowania.

Kilka miesięcy temu Patryk Vega odebrał od prawnikowego „Nowego Państwa” Nagrodę im. św. Grzegorza I Wielkiego. „To wyróżnienie dla tych, którzy mężnie stawali w obronie prawdy w życiu publicznym w minionym roku. W dobie poprawności politycznej, niekiedy wręcz terroru jednej wykładni właściwych poglądów, naszemu Laureatowi udało się iść własną drogą i odnieść spektakularny sukces. U Vegi zło jest złem, a dobro dobrem. Nie ma propagandowej matrycy. Jest prawda” – czytamy w laudacji. No to mają tę „prawdę”. A za rok z dokładnym takim samym uzasadnieniem Vega może spokojnie odebrać Paszport „Polityki”. Za „prawdę” o PiS. ©©

PODSŁUCHANE

Na kłopoty... Sierakowski

Kasiu, niedobrze, że powiedziałaś o tych orangutanach. Nie rozumiem, Madziu, dlaczego? Bo myśmy wtedy ten protest zrobili z bananami. No wiesz, przed muzeum. Ja sobie zdjęcie zrobiłam, jak sobie banana do głowy przykładam. Wszędzie

wtedy ta fotka była. Tego się nie skasuje.

A faktycznie... Ale myślisz, że to jakoś przeszkadza?

No przeszkadza. Do mnie już napisało WWF, jak się z tego wytłumaczyć.

Nie pomyślałam...

Rozumiem, rozumiem... Tak myślę, że może z tego zdjęcia jeszcze jakoś mogę. Powiem, że to był sztuczny banan.

Nie możesz.

Dlaczego?

Bo jak sztuczny, to plastikowy. Z plastiku!

Rzeczywiście. To powiem, że był z drewna.

Ale jak to? Czyli ścięto jakieś drzewo!

No to ja już nie wiem...

Mam pomysł: poproszę Sierakowskiego, żeby to jakoś zgrabnie opisał, to rozdarcie między obroną wolności sztuki a obroną orangutanów. Wiesz, z cytatami z tych wszystkich filozofów, pokrętnie, niejasno, jak to on umie. Nikt się wtedy nie zorientuje, o co tak naprawdę chodzi, ale będą się wstydzili zapytać. ©©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„PiS obiecuje program ZAMORDYZM PLUS”.

TOMASZ LIS, publicysta na Twitterze

foto. Jerzy Gumowski



FiSkus

cuzi, którym lewacki rząd przysolił daninę 75-procentową. Cała unijna Europa trzęsa się wtedy przez parę lat od medialnych ataków na „opresję państwa fiskalnego”; możemy jako przykład dwa głosy (cudzoziemski i polski) z 2012 roku. Znany niemiecki kulturoznawca Peter Sloterdijk (wywiad dla niemieckiego dziennika gospodarczo-finansowego „**Das Handelsblatt**”): „Żyjemy dziś w postdemokracji bazującej na podatkach wymuszanych przez państwo stosujące przemoc fiskalną o charakterze destrukcyjnym, czyli na grabieży obywateli sankcjonowanej złym prawem (...) Zintegrowana Europa to monstrum złożone z państw fiskalnych”. Polski komentator Tomasz Gabiś: „Do patologii państwa fiskalnego prowadzi fantastyczne rozszerzenie strefy progresywnego opodatkowania, które jest ekwiwalentem socjalistycznego wywłaszczenia”. Rok później (2013) Andrzej Sadowski (wiceprezydent Centrum im. Adama Smitha) narzekał: „Większość ze 100 najbogatszych Polaków płaci podatki za granicą, a to dowodzi, że system podatkowy w Polsce jest radykalnie niekorzystny”. Jest co prawda wolny od takich szokujących przegięć jak lokalne włoskie podatki za „cień rzucany na ziemię przez sklepowe szyldy i markizy” (sic!), ale wskutek różnych powodów wkurza.



„Śmierć i podatki”



III RP nie zna jednego choćby roku kiedy nie wkurzał. Początek może najmniej, bo to był „transformacyjny” Dziś Zachód; Robert Krasowski: „W tych pierwszych latach wolnej Polski działały się rzeczy dziwne i dziwne. Wielka zmiana wprowadziła do gry stada esbeków oraz mafiozów, którzy przez kilka lat bezkarnie okradali państwo” (2005). W takiej mętnej wodzie — w klimacie założycielskiego entuzjazmu i nuworyszowskiego chaosu — nie sposób było zbyt szybko się czepiać kulawego fiskusa, początki zawsze są trudne. Później miał przyjść podatkowy ład. Kolejne partie zdobywające władzę reformowały system, i bilans tych osiągnięć w sferze fiskalnej jest dzisiaj klarowny: najgorsza była PO, szajka „liberalów”, a najlepszy SLD, gang „komuchów”. Tak, SLD, który według licznych komentatorów (również prawniczych!) stworzył „najbardziej prawniczy rząd III RP”, bo wsadził Polskę do UE i do NATO, kupił amerykańskie myśliwce F-16, izraelskie rakiety przeciwpancerne Spike i fińskie transportery Rosomaki, wreszcie wprowadził 19-procentowy podatek liniowy od działalności gospodarczej i obniżył wszelkie akcyzy (co dało państwu wpływy rewelacyjne), stając się dla gospodarki i obywateli dobroczyńcą na miarę genialnego peerelowca Wilczyka.

A czemu najgorsza była PO? Bo władzę zdobyła łgarstwem, obiecując, że zmniejszą

szczy podatki, lecz kiedy wygrała — straszliwie przykręciła śrubę fiskalną (prof. Ryszard Bugaj z Instytutu Nauk Ekonomicznych PAN: „— *Cóż, po prostu cynicznie oszukali wyborców*”, 2014), nie respektując do tego (osławiony Vincent Rostowski i jemu PODOBNI) elementarnych praw ekonomicznych, jak np. „*krzywa Laffera*” mająca tzw. „*punkt E*”, czyli krytyczny poziom windowania obciążeń fiskalnych, po przekroczeniu którego wpływy budżetowe, miast rosnać, spadają, a przedsiębiorcy uciekają ku „*szarej strefie*” i za granicę. PiS-owska „*dobra zmiana*” miała to uzdrowić, jednak efekty terapii są mizerne. Po 30 miesiącach władzy PiS-u Robert Gwiazdowski (znany prawnik i ekonomista) diagnozuje surowo: „— *Poziom opodatkowania pracy w Polsce jest jakąś aberracją ekonomiczną i społeczną, intelektualnym nieporozumieniem wiodącym do katastrofy*” (2018). Inni eksperci nie mogą się nadziwić czemu nie nasładowujemy państw, które osiągnęły wzrost PKB dzięki radykalnie obniżce wszelkich podatków. Utyskiwań jest ciągle dużo, bo miast obniżek notujemy podwyżki, mamy chyba najniższą w Europie kwotę wolną od podatku (!), itp.

Zbyt wysokim bezpośrednim obciążeniem fiskalnym towarzyszą także pośrednie, vide akcyzy (benzyna to prawie 60% ceny!), pełne zresztą politycznych kombinacji i manewrów, jak choćby ostatnio sejmowe lobbowanie dla projektu drastycznego zwiększenia akcyzy na piwa (za czym stoi pono właściciel połowy polskiego rynku wódek, będący kumplem Putina rosyjski oligarcha, którego przykrywką jest firma zarejestrowana w Stanach Zjednoczonych).

Wszelakie gierki podatkowe czy akcyzowe (także jursdykcyjne i lobbingsowe) ułatwia jakoś prawników wykorzystywanych do gry — powszechnie wiadomo, że „*Skarbowka*” woli nie zadzierać z gigantami obsługiwaniymi przez renomowane kancelarie prawne (a pomniejszych frajerom zwracającym się do Ministerstwa Finansów o „*indywidualną interpretację podatkową*” rząd PiS-u zwiększył opłatę za nią z 40 złotych na 20 000 złotych, czyli o 50 000%!!!).

Wspomnianym komandom prawniczych arcymagików robotę ułatwia horrendalne polskie prawo podatkowe. Według międzynarodowej firmy audytorskiej Grant Thornton nasz system podatkowy to isticie kuriozalny gąszcz ponad 6 tys. stron maszynopisu zawierających ustawy plus rozporządzenia, ciągle zresztą tasowany („*nowelizowany*”). Tomasz Wróblewski na łamach „**Do Rzeczy**”: „*Ustawa z 2004 r. o podatku od towarów i usług była zmieniana już 54 razy. Ustawa z 1991 r. o podatku dochodowym od osób fizycznych była zmieniana 268 razy (...) Te nieustanne zmiany mocno uszczuplają wpływy podatkowe*” (2017). Nic się nie zmieniło — wciąż jesteśmy europejskim liderem zawiloci podatkowego systemu („*Tax complexity*”). Tkwiąmy w czarnej d... dziurze, oczywiście. ©

Waldemar Łysiak

Istnieją pono tylko dwie rzeczy nieuniknione: śmierć i podatki. A propos tych drugich ja bym wtrącił: zależy dla kogo. Właśnie się dowiedziałem, że Amazon, najlucracyjniejsza firma świata (największe zyski), nie zapłaciła za 2018 rok ani dolara podatku! Czyli zgodnie z tym co mówi Leona M. Helmsley (bizneswoman, duży gracz na rynku nieruchomości): „— *My nie płacimy podatków. Tylko mali ludzie je płacą*”. Megarekiny, również te globalnie sławne (Zuckerberg, Gates, Bezos, Soros, Buffet, Turner, i reszta) zamiast uiszczać „*taxes*” wolą mieć głowę całemu światu pierdołami o „*sprawiedliwości społecznej*”, która w praktyce polega na tym, że gros podatków buli „*klasa średnia*”. Próbuąc wymusić u siebie opodatkowanie wielkich firm połamali sobie zęby nawet waleczny Orbán, zaś Kaczyński, choć się stara, ma wciąż kłopoty z unijną biurokracją, więc póki co jest jak jest. Trwa to nad Wisłą już długo, kilka lat temu Szymon Krawiec sarknął: „*Przez ostatnie dwie dekady Fiat nie płaci u nas podatku dochodowego, i rząd zwolni włoskiego producenta samochodów od podatku na kolejne 12 lat. Polska daje się obłowić zagranicznym inwestorom, a oni wyciskają nasz kraj niby cytrynę*” (2014).

Takie problemy z rozpanoszonymi globalnie korporacjami „*za dużymi do opodatkowania*” („*too-big-to-tax*”) — frustrują nie tylko Polaków, i wszędzie są interpretowane jako gry polityczne. Toksyczna więź zawsze funkcjonowała między fiskusem a polityką. Standardowym chwytem ubiegających się o elekcję kuglarzy jest gwarantowanie wyborcom, że nie będzie nowych podatków, a istniejące podatki zostaną obniżone. Status swoistego symbolu takich obiecanek-cacaneek zyskał przypadek prezydenta Busha-Seniora, który wygrał dzięki głoszonej w tv obietnicy: „— *Czytajcie z moich ust: żadnych podatków więcej!*” („— *Read my lips: no more taxes!*”), i dwa lata później przyrzeczenie to złamał. Stąd nikogo teraz nie dziwi jedno z bojowych hasel francuskich „*żółtych kamizelek*”: „*Jeśli w kampanii przedwyborczej zapewnialiś, że obniżysz podatki, a w parlamencie zagłosowałeś za nowym podatkiem — z automatu tracisz mandat parlamentarny*”.

Bohaterką najpopularniejszej anegdoty o uciisku podatkowym jest Astrid Lindgren, głośna pisarka szwedzka, której szwedzki fiskus wyliczył w roku 1976 podatek 102%, czyli większy od jej dochodów. Takie złoje podatkowe zmuszały wówczas zamożnych Szwedów (właścicieli koncernu IKEA Ingmar Kamprad, tenisista Björn Borg, i in.) do ucieczek z ojczyzny. Kilka dekad później podobnie ewakuowali się majątni Fran-

carsmile

Samochód w abonamencie. To wygodniejsze niż zakup auta!

Rata Wszystkomająca zawiera:

Ubezpieczenie OC, AC, NNW i Assistance

Opony Letnie i zimowe, montaż, przechowanie

Serwis Bieżące serwisowanie i naprawy



Nissan Qashqai

już od **740** PLN /mies.



Wszystkie marki i modele, dowolne konfiguracje. Zamów online. Sprawdź na carsmile.pl

Koniec z kupowaniem aut na własność, to się nie opłaca

Traktuj samochód jak telefon. Używaj go i płać miesięczny abonament. Nie inwestuj w samochód własnych oszczędności i nie bierz kredytu. Dzięki temu będziesz mógł poruszać się nowym, lepszym i bezpieczniejszym autem.

– Wielu Polaków traktuje samochód jak inwestycję, często wydając na zakup auta oszczędności życia. Nie warto. Po 3 latach auto traci połowę wartości. Samochód powinno się traktować jak telefon i płać za niego miesięczny abonament – przekonuje Łukasz Domański, prezes i współzałożyciel Carsmile, internetowej platformy, za pośrednictwem której można wynająć lub wyleasingować samochód.

Wirtualny salon

Użytkownicy platformy mają do wyboru ponad 500 modeli samochodów o różnej sylwetce, przeznaczeniu, wersji silnikowej i wyposażeniu. Carsmile współpracuje z większością marek samochodowych, dzięki czemu na platformie dostępne są zarówno małe samochody miejskie czy auta kompaktowe, niezwykle popularne dziś crossovery i SUVy, po samochody klasy premium oraz auta dostawcze. Alfa Romeo, Audi, BMW, Citroen, Dacia, Fiat, Ford, Honda, Hyundai, Iveco, Jaguar, Jeep, KIA, Land Rover, Lexus, Mazda, Mercedes, Mini, Mitsubishi, Nissan, Opel, Peugeot, Renault, Seat, Skoda,

Toyota, Volkswagen, Volvo – auta tych marek można skonfigurować i zamówić korzystając z platformy Carsmile.

Dlaczego abonament? – Bo to najbardziej ekonomiczny i jednocześnie najwygodniejszy model użytkowania auta. Nie ponosimy kosztu utraty wartości, kosztu ubezpieczenia, napraw czy wymiany opon. Jeździmy nowym, zaawansowanym technologicznie, bezpiecznym samochodem – podkreśla Michał Knitter, drugi ze współzałożycieli i wiceprezes Carsmile.

Z Opla Corsy do Nissana Qashqai

Korzystając z wynajmu długoterminowego możemy przesiąść się do nowego, lepszego i bezpieczniejszego auta. Prześledźmy to na przykładzie. Trzyosobowa rodzina osiągająca dochód na poziomie średniej krajowej, czyli ok. 10 tys. PLN, ma dziś zdolność kredytową na poziomie ok. 50 tys. zł przy zadłużeniu (typowy kredyt samochodowy) na 5 lat. Za tę kwotę może kupić np. nowego Opla Corsę, który trzeba następnie zarejestrować, ubezpieczyć i serwisować. Ta sama rodzina mogłaby w abo-

namencie jeździć Oplem Astrą, Nissanem Qashqai lub Skodą Octavią, czyli samochodami z wyższej półki, a dodatkowo nie ponosić kosztów ubezpieczenia, serwisu ani opon – szacując eksperci Carsmile.

Zamów auto bez wychodzenia z domu

Co trzeba zrobić żeby wsiąść do jednego z tych modeli? Ile czasu zajmie mi znalezienie i zamówienie wymarzonego samochodu? Jakie dokumenty są potrzebne? – zastanawiają się użytkownicy.

Cały proces zamówienia samochodu w Carsmile odbywa się online, na komputerze lub smartfonie. Nie trzeba nigdzie jeździć, ani odwiedzać salonów czy galerii handlowych. Specjalne narzędzie weryfikuje nasze dane i sprawdza naszą historię w bazach dłużników. Jeżeli decyzja jest pozytywna, następuje potwierdzenie warunków, a następnie na ekranie wyświetla się 1-stronicowa, bardzo prosta umowa, której treść użytkownik akceptuje otrzymanym kodem sms. Weryfikacja tożsamości następuje poprzez przelew bankowy pierwszej raty. Zamówiony samochód może być dostarczony pod wskazany adres.

Elastyczne warunki

Umowę abonamentu można zawrzeć na okres od roku do 5 lat. Nie jest wymagany wkład własny. Użytkownik nie ponosi żadnych dodatkowych kosztów – Carsmile finansuje zakup ubezpieczenia, serwisu, zakup i wymianę opon, bierze też na siebie koszt utraty wartości. Jedynym istotnym wydatkiem, jak musi ponieść użytkownik jest zakup paliwa. Po okresie najmu samochód jest zwracany i można wynająć nowy.

Wpisz kod rabatowy DORZECZY200 na carsmile.pl i płać mniej przez cały okres umowy.

Podana cena dotyczy najmu na okres 36 miesięcy przy wpłacie własnej 10% wartości samochodu. Roczny limit kilometrów wynosi 20 000 km. Regulamin promocji na carsmile.pl